BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

JĘDRZEJ ŚNIADECKI.



PISMA SATYRYCZNE

DO DRUKU PRZYGOTOWAŁ
I PRZEDMOWĄ OPATRZYŁ
Dr ADAM WRZOSEK.



CZĘŚĆ III.



WARSZAWA
DRUKARNIA ED. NICZ i S-ka, NOWY-ŚWIAT 70.
1908.

XXXI.

S. Jerzy [1]).

Co kraj to obyczaj, mówili poczciwi nasi przodkowie. Co kraj to choroba, mówią niektóre uczone doktory. I prawda!—Był czas, kochany czytelniku, kiedym ci opisał *Juromanią,* własną naszę choróbkę; i zdawało się, żeby dość było tej jednej biedy na nas ciężkich grzeszników. Ale trudno walszyć z przeznaczeniem. Oto zbijając od lat kilkunastu bruki wileńskie i uczciwie praktykując próżniactwo, postrzegłem jeszcze jakąś nową w kraju naszym chorobę. A wreszcie nie wiem czy chorobę, czy inne jakieś licho; bo bywają czasem rzeczy trudne do zgadnienia i najlepszym nawet mistrzom pomylić się zdarza. Dlatego też, nie chcąc postępować płocho i reputacyi mojej na szwank narażać, nie pisałem o tem od razu, jak robią niektóre porywcze autory, których zbyteczna dręczy piśmiączka, i którzy, aby dopadli pióra i papieru, bazgrzą a ba-

---

[1]) Wiadomości Brukowe Nr. 181 z dn. 22 maja 1820 r. str. 81—84 (P. W.)

zgrzą.—Oh nie!... Ja, nie chwaląc się, mam pewną miarę autorskiego statku, i nie piszę, aż gdy się dobrze o mojej rzeczy zapewnię; a przynajmniej gdy się należycie usposobię, gdy zgromadzę podostatkiem postrzeżeń, doświadczeń, uwag; gdy nawypisuję z rozmaitych autorów starych i nowych, których wymienię lub nie wymienię; słowem, gdy się opatrzę w ów materyał uczony, z którego się, kochany czytelniku, klecą i budują książki. Bo ja nie chcę bliźniego zawodzić; nie chcę twojej, kochany czytelniku, cierpliwości nadużywać, i nie chcę ci za lada co dziesięciu groszy z kieszeni wyciągać.

Otóż tak postępując mądrze, zgromadzałem powoli moje postrzeżenia coroczne, i pakując, a pakując, układałem je w mojej głowie jak mogłem. A że to nie najobszerniejszy magazyn, więc się lękam, żeby się nie przepełnił. A zatém daruj, poczciwy czytelniku; ale co tam jest, muszę dla ciebie wyładować, a ty rad nie rad musisz przyjąć. Niech to będzie, jeżeli można, mnie na chwałę, a tobie na pożytek.

Ale nadewszystko proszę kolegów moich, wszelkiego rodzaju i nazwiska doktorów, nawet i doktorek, na których u nas nie zbywa, niech się też namyślą, naradzą i postanowią, co to jest za rodzaj cierpienia? czy to doprawdy choroba? czy jakie nawiedzenie, albo dolegliwość *psychiczna?* Bo ja, dalibóg nie mogę zgadnąć i nie powiem co to znaczy. Kto nie był w Wilnie około 23 kwietnia, nie będzie nigdy miał wyobrażenia, nigdy nie pojmie, żeby jeden dzień w roku mógł być przyczyną powszechnej choroby; żeby mógł wszystkim głowy zawracać i przewracać. Powiedziano, że gdyby jaki Afrykanin lnb mieszka-

niec Azyi patrzał na Włochów w ostatnie dni zapustne; rozumiałby, że cały naród oszalał, albo się upił. Cóżbyto dopiero ów mniemany barbarzyniec powiedział na nas Litwinów w dzień św. Jerzego? Tuby widział prawdziwy karnawał; tu maskaradę powszechną; jakiej, upewniam, żadne miasto włoskie lepiej nie wyda. Cudzoziemcze!... patrzaj jaki niesłychany zgiełk! jaka wrzawa! jaki ruch w mieście! Ci biegają jak oparzeni od domu domu; ci zadumani rozprawiają pod murem, na rynku, lub na rogach ulicy. Ci machają rękami i jak opętani wrzeszczą, owi biegną zadyszeni i potem oblani. Ten się pyta o adwokata, ów o kancelaryą. Jedni drugich zatrzymują, chwytają, wołają Tu słychać, *Panie Sędzio!* tam *Panie Starosto!* tam znowu *Panie Marszałku, Rotmistrzu* lub *Szambelanicu!* Tymczasem latają po wszystkich ulicach dorożki, kręcą się kocze, bryczki i karety; a wpośród tego zgiełku wloką się poważnie z rozmaitego rodzaju i kształtu gratami, to bryki, to karety, to wozy i kałamaszki. Ten dźwiga na grzbiecie kufer, tamten skrzynkę drewnianą; ten unosi nogi od łóżka, ów od starej kanapy, lub zydla, ten znowu wlecze szufladę od komody lub szafę od byłego niegdyś zegara [1]. Tutajto można się napatrzeć dochowanych jeszcze od zygmuntowskich czasów stołków, stolików,łóżek, zydlów, kołysek, a na-

---

[1] Trzeba każdemu i każdéj rzeczy, podług narodowego zwyczaju, dochować tytułu i rangi. Wszak u nas pełno byłych sędziów, marszałków, a nadewszystko jenerałów, majorów i rotmistrzów. — Zacóżby nie miało być byłych karet, koczów, cugowych koni i t. d., zwłaszcza gdy takie zabytki szanowne często spotykać i widzieć się daje.

wet misek i garnków odwiecznych, z jakiemi się uczeni starożytnicy niełatwo gdzie indziej spotkają, a o których mogliby pisać równie ważne i uczone rozprawy jak o etruskich.

Nie mógłby nas wszakże ten cudzoziemiec, gdyby miał jasne rzeczy pojęcia i zdrowe zdanie, wszystkich pomieścić w jednej klasie, w jednej komnacie, czy w jednym szpitalu; i prosto za szalonych, pijanych lub chorych na gorączkę, poczytać. Nie. Musiałbym rad nie rad podzielić nas na pewne klasy i rodzaje, a nasze ciercienia duszne i cielesne dałyby mu obfitą materyą do napisania ogromnego tomu Ś-to Jerskiej *Nozologii* [1]), na którąby mógł od jakiego niemieckiego księgarza przystojny zaciągnąć kapitalik. Oprócz tego, gdyby nam chciał oddać sprawiedliwość (co się cudzoziemcom rzadko przytrafia); przyznaćby musiał: iż, choć się nam wprawdzie wszystkim kręci w głowach, aleśmy dlatego nie wszyscy stracili rozum; bo go owszem niektórzy tak mają wiele, żeby warto dla spokojności bliźniego ująć choć połowę.

Choroba zaś ś. Jerzego [2]) zaczyna się w dni kilka lub kilkanaście przed samym ś. Jerzym, a kończy się zaledwo w dni kilka lub kilkanaście potem. Wszyscy dotknięci tą zarazą, (a rzadki jest od niej

---

[1]) Jeżeliś czytelniku nie słuchał kursu medycyny, to musisz wiedzieć z traktatu o *Juromanii*, że *Nozologia* jest rodzajem taktyki lékarskiej, w której się choroby szykują na pułki i roty.

[2]) Choroby rozmaite mają nazwiska, które się odmieniają jak mody. Niektóre mają imiona od świętych jak np. choroba ś. Wita, albo ś. Walentego. Zacóżby się więc nasza nie miała nazywać chorobą ś. Jerzego?

wolny), zamyślają się mocno na kilka tygodni przed wybuchnieniem samej choroby, dumają głęboko to przechodząc się, to siedząc, szepcą i mruczą pod nosem, rachują na palcach lub kreślą rozmaite liczby na papierze; rozpisują listy, rozsyłają posłańców i zdają się jakimś ważnym zaprzątnieni zamysłem. Powoli, zaczynają wyraźnie cierpieć na głowę; często albowiem chwytają się za nię; często, to się biją w czoło, to je rozcierają na wszystkie strony, to się drapią za uchem, to kiwają głową lub trzęsą, jak gdyby komuś potakiwali lub przeczyli. Wpadają potem w rozmaite marzenia, o kapitałach, procentach, majątkach, dzierżawie, zastawach, słowem o różnego gatunku, niekiedy nawet śmiesznych zamysłach, które chorowitym, ale powszechnie przyjętym wyrazem *facyendami* nazywają.

Są, którzy trawią nocy bezsenne, myśląc czy to, co sobie od kogoś odebrać ułożyli, odbiorą; a tą śmieszną myślą zajęci, nie piją i nie jedzą. Inni którzy niby oddać coś mają, piją smaczno, jedzą jak najęci i chrapią jak zabiei. Na pozór mają postać najzdrowszych ludzi; worki ich jak najdoskonalej trawią [1]), i myślą tylko zkąd i jak dopaść nowej do trawienia materyi. Wszelako ta myśl tak jest w nich natężona i tak ich dręczy, że stanowi prawdziwą i bardzo ciężką chorobę, którą dawniej można było około ś. Jerzego jakkolwiek podleczyć; ale teraz, czy przez nieuwagę doktorów, czy wreszcie dla innej przyczyny, i pamięć tego lékarstwa

---

[1]) Światły czytelnik wie, że żołądek, do którego z urzędu należy strawność, tak jak do marszałka porządek i nieporządek w powiecie, nic innego nie jest jak worek skórzany

zaginęła.—Dlatego nie przestał się odzywać głos zawsze dobrej i mądrej natury. Chorzy sami czują potrzebę tego lekarstwa i, jak oparzeni, wszędzie biegają za niem. Szukają go po ulicach, szukają po domach; szukają u przyjaciół i nieprzyjaciół; kołacą do wszystkich drzwi; uśmiechają się lub wzdychają z głębokości serca na widok szkatuł lub kufrów. — Ale to są wzdychania i zabiegi daremne: szukają i nie znajdują, upatrują i nie widzą; i chyba trafem niespodzianym lub ślepym losem wpadają na tak pożądane lekarstwo.

Kiedy się zaś zbliża wybuchnienie saméj choroby; wszyscy nawiedzeni, jak gdyby im ktoś szepnął do ucha, z najodleglejszych nawet zakątków, ruszają do miasta. Ten wlecze się wspaniale karetą i sześcią wywiędłemi szkapami; a za nim kocze, bryczki i kałamaszki. Ów jedzie sam lub z Jejmością wytartym koczem i podartemi szorami. I to są grafy, których połowa ma oświadczyć eksdywizyą i pokryć się jejmościnemi zapisami. PP. sędziowie, zwłaszcza eksdywizorscy, ruszają porządnemi bryczkami, obok zaprzężoną trójką lub czwórką, należycie wytuczoną kredytorskim obrokiem. Mina u PP. sędziów tęga, *rezon* dobry; nawet ich woźnica pokręca wąsa, głośno biczem plaszcze i nikomu nie ustępuje z drogi. Z tyłu wloką się kredytorowie, byli niegdyś panowie, teraz ledwo mają stare wytarte koczyska z dobieranemi kołami; jeżeli jeszcze nie zeszli do kałamaszek o jednym koniu, lub do torby i kija — wywiędli! przeszli z łaski dłużników na kurs filozofii praktycznej i na najczystszą strawę *psychiczną;* bo samą tylko karmią się na-

dzieją, od której, ile wiem, jeszcze nikt na niestrawność nie zapadł.

Ledwo ta czereda wjedzie do miasta, alić choroba wybucha w całej swojej mocy. A lubo dolegliwość zdaje się ta sama we wszystkich, bo wszyscy czegoś szukają; wszelako w różnych rozmaicie się objawia.—W jednych albowiem, ma niejakie podobieństwo do wyniszczenia, albo suchot; co pospolicie pochodzi ze zbytecznej strawności, lub takiego rozwolnienia trawiącego worka, że się w nim nic zatrzymać i długo ostać nie może. Ci chorują najciężej i rzadko który z nich da się wyleczyć. W podeszłym albowiem wieku, słabość staje się konstytucyjną, a zatem do wyleczenia niepodobną. W damach jest chorobą nałogową, a więc bez żadnego ratunku. W młodzieży zaś, ma pomagać, jak twierdzą niektórzy uczeni lékarze, ten sam specyfik, który się w Juromanii pokazał skutecznym. Ale że w naukach dokładnych, nie na próżnych teoryach i czczej gadaninie, ale na doświadczeniu polegać należy; przeto nic nie stanowiąc, życzyłbym tego lékarstwa sprobować. Wszyscy zaś tego rodzaju chorzy rozprawiają o najlepszym stanie swoich interesów, o znacznych dobrach, summach i obrotach. Wszędzie targują i niby kupują majątki, a na dopełnienie tylko cokolwiek potrzebując pieniędzy, od każdego je przyjąć dla przyjaźni gotowi.—

Niektórzy z nich chodzą zadumani, i niby w ważnych pogrążeni myślach, z których niekiedy tylko jak przebudzeni przemawiają do sług albo znajomych.—Tak np. *P. Panfil* stał na koncercie głęboko zamyślony i o kolumnę oparty, często z głębi serca wzdychając; co niektóre damy, nadzwyczajnej

czułości i wielkim muzycznym uszom przypisały. Ale ja wiem pewno, że *P. Panfil* nic a nic nie słuchał, wszedł zaś na koncert chory i uczynił to jedynie z choroby.—Tak widziałem biednego szambelana, który, idąc pogrążony w myślach, zawadził bokiem o róg kanapy, gdy ją przez ulicę niesiono. Tak starosta spotkał się głową z nogą od stołka, których tuzin ciągniono na karach. W takim stanie był mój przyjaciel Tyburcy, który na ulicy w kupie rozmawiających stał z głową zwieszoną podpierając od niechcenia brodę opadłą. Spostrzegł mię biedny, kiedym przechodząc oczy obrócił na niego, z wielkim wdziękiem wyciągnął do mnie rękę i rzekł głosem pełnym dobroci: „Jak się masz? — A czy masz do lokowania kapitał? -- Jam go gotów przyjąć. Uczynię dla ciebie".—„Wiem, odpowiedziałem, żeby mi go nikt u ciebie nie zabrał, szkoda że nic nie mam". Słyszałem zaś rozprawiających uczonych kolegów moich, i sam poniekąd jestem tego zdania, że cierpienia tych biednych pochodzą z przepełnienia, nie humorów, ale żyta, pszenicy, grochu i jęczmienia, których strawić ani pozbyć się żadnym sposobem nie mogą. — Potrzebaby więc jakiegoś bardzo mocnego lekarstwa, któreby wypróżnienie tych surowości przez zwyczajne drogi (np. Rygę i Królewiec) ułatwiło. Ale ja na to nie doktor.

Są także przybyli na bryczkach chorzy, którzy mało mówią ale wszystko uważają, i wszystkiemu się przysłuchują pilnie. Rozumiałbyś, że do miasta na same podsłuchy lub zwiady przyjechali. Ci zbliżają się znienacka do każdej rozmawiającej kupki, mieszają się w każde grono i pilnie nadstawują ucha. Niektórzy z nich noszą na sobie trzo-

sy, lub kluczyki, albo papierki, które chowają pod sercem. Wspinają się oni na paluszki, jeżeli kto wspomni o majątku na zastaw lub kilkoletniej arędzie; a jako ludzie moralni i bardzo pobożni, wypytują się zaraz o wielości i stanie dusz. Jeżeli się albowiem nie mylę, taki jest w ogólności obrót i kierunek myśli w ś. Jerskiej chorobie, żeby można wszystkich chorych podzielić na alchemików, duchownych i kominiarzy. Pierwsi albowiem mówią tylko o srebrze i złocie; drudzy ciągle rozprawiają o duszach, a ostatni o dymach. Pierwszych nie uleczysz inaczej, jak gołym kruszcem, za który dadzą ci papierek tak nazwany *walorowy*, to jest: tak ceniony wysoko, iż go nigdy zapłacić nie myślą. Drugich choroba jest okropna i obrzydliwa; nie uleczysz jej inaczej jak dając im do wyssania kilkadziesiąt lub kilkaset dusz, a to przynajmniej na trzy lata, żeby się nassali dowoli [1]). Kominiarze zaś, przestają na kilkadziesiąt dymach, które tak wymiatają czysto, że żaden inny kominiarz nic po nich do poprawienia nie znajdzie.

Są wszakże pomiędzy chorymi i mówcy, którzy jak gorączką jaką zagrzani, gdzie wpadną, prawią o nadzwyczajnej dobroci ziemi, a obszerności i gatunku sianożęci (łąk), o naturze i rozciągłości lasów, słowem, o tysiącznych z ich majątku pożytkach. Chwalą, zalecają, i tak językiem obracają majętności i dobra ziemskie, tak pokazują najlepszą ich

---

[1]) Musisz czytelniku wiedzieć, że to nie jest postrzeżenie nowe, choć bardzo okropne: Tak *Dante* widział na własne oczy hrabiego *Ugolino*, jak ssał duszę biednego arcybiskupa *Ruggieri*.—„La bocca sollevò dal fiero pasto”.

stronę, jak ów żyd, który naszemu chłopu przedaje czapkę, i którą mu pokazuje coraz inaczej, a zawsze z tej samej strony.

Inni znowu nakształt zagranicznych szarlatanów, pchają każdemu w rękę papierek, na którym widać w całej świetności statystyczną jakiegoś kawałka ziemi tablicę. Za tysiąc lub półtora tysiąca rubli na rok, można mieć złote góry i proceder na lat kilkanaście. Wszakże ten rodzaj szarlatanów nosi się z swojemi papierkami z miasta do miasta, z domu do domu; drukuje je w „Kuryjerze” lubo niekiedy, jeżeli już całkiem podupadli na siłach, drukuje za nich marszałek. Owszem ten, niby powiatowy gospodarz, jako już po nieboszczykach, oddaje na licytacyą lub dyssekcyą anatomiczną ich zwłoki. Ciężko dla tych chorych znaleźć lekarstwo, bo choroba kłamstw statystycznych zdaje się teraz panować epidemicznie w całej Europie i już się zamieniła w naukę, a zatem wypadałoby raczej autorom i mędrcom tego rodzaju naznaczyć jakąś kwarantanę, lub przepisać dyetę.

Otóż masz, czytelniku kochany, w krótkości moje postrzeżenia i myśli, o dolegliwościach s. Jerskich, które nie wiem czy nazwać chorobą. Zastanów się proszę nad niemi z uwagą, pomyśl jakby temu złemu zaradzić, a jeżeli masz jakie własne uwagi i zdanie, podziel się zemną. Przecież rzecz warta, żeby się nad nią zastanowić, bo tu idzie o ratunek bliźniego, a co nas jeszcze więcej obchodzi, ten bliźni jest naszym ziomkiem i bratem (d. c. p.)

XXXII.

Druga lekcya w Trokach [1]).

Piękna to rzecz coś umieć; a niekiedy i pożyteczna. Ale któraż umiejętność może pójść w porównanie z alchemiją, nieoszacowaną sztuką robienia złota? — Mijam jéj grubsze powaby i ciągnącą do złota pokusę; bo któryżby filozof ubiegał się za tém;... za pozorami;... za próżnością światową i czczą mamoną. Ale publiczny pożytek! — Ale złotko jako wizerunek wszelkiego dobra... to grunt! to cała treść rzeczy. — Nie mówię dla nas, bo świat wie, iż żaden filozof o sobie nie myśli; ale dla całego rodzaju ludzkiego, o który się, czytelniku, wszyscy uczeni dzień i noc troszczą.

Dlatego i mój podróżny kolega, który się gwałtem pnie do filozofii i któryby rad robił złoto jedynie przez miłość bliźniego, od owego czasu jak był pod jeziorem, nie zna snu ani odpoczynku. Ustawicznie mu się snuje po głowie gruntowna filozofija i dobro społeczności. Wyglądał więc z największą niecierpliwością momentu widzenia się znowu z Karaimem. — Z czego wszystkiego ja wnoszę (bo przecie trzeba z każdego zdarzenia wyciągnąć jakąś mądrą maksymę); otóż, mówię, wnoszę, że żądza i miłość nauki są człowiekowi wrodzone i stanowią istotną część jego jestestwa. Nie bez tego, czytelniku, żeby się też nie przebijała i ludzka słabość; żeby się nie odezwała cielesność. Bo ja sam, cho-

[1]) „Wiadomości Brukowe" Nr. 189 z d. 17 lipca 1820 r. str 113-116. (P. W.).

ciaż, jak wiesz, od stóp do głowy w filozofiją uzbrojony; wszelako ilem razy sobie wystawił w umyśle ów pożądany moment, kiedy złoto robić i garncami mierzyć zacznę, kiedy się niem cały obsypię, zazamyślałem się i wpadałem w rzetelną pokusę. Roiły mi się po głowie tysiączne widoki i zamysły. Kupowałem zaraz wioski; naprzód wprawdzie, po literacku, bardzo ubogie, ale potem coraz lepsze. Powoli, większe a większe dobra; nakoniec prowincye i państwa, a rozochociwszy się wreszcie, światbym kupił, ale i ten mi się zdawał zamały. Stawiałem potem pyszne i dotąd niewidziane gmachy; żyłem z nadzwyczajną okazałością i przepychem; otaczał mię tłum dworskich ubiegających się o moje względy, wyglądających z utęsknieniem mojego uśmiechu lub spojrzenia, oczekujących niecierpliwie pańskiego słowa. A ja piłem tymczasem puhar umysłowej roskoszy; nadymałem się mniemanem znaczeniem i używałem w myśli, patrząc jak mi wszystko było podległe i posłuszne; jak się ruszały na moje skinienia tysiące ludzi; jak drżały i upokorzały się drugie tysiące. Mówiąc, czytelniku, między nami, ja tak trzymam oddawna (choć to podobno nie mój wynalazek), że nic wygodniejszego nad świat umysłowy. Człowiek go sobie sam tworzy podług swojej myśli; siebie w nim umieszcza, posaży i opatruje podług własnego życzenia i gustu. Słowem, tak w nim żyje jak sam chce. Wiem ja dawno ten sekret i dlatego jak mi tylko coś na tym rzetelnym świecie dokucza, zaraz się zamykam, a ułożywszy się na kanapie lub łóżku, ruszam na mój własny świat umysłowy. I tobie życzę tak robić, czytelniku kochany. — Potrzebne są w tem ży-

ciu doczesnem jakieś pociechy, jakieś roztargnienia. Ot dobrze sobie czasem choć na półgodzinki z tego świata wyjechać. Bo teżto czyste utrapienie!— Nic człowiekowi nie idzie jakby sam chciał, ale wszystko na przekor. Do wszystkiego się trzeba przystosować, wszystko cierpliwie znosić, wszędzie cię napominają, szczypią; wszędzie skubią. Dziękuję ja za taki świat! — Trzebaby go koniecznie poprawić, a że to niepodobna, więc go sobie trzeba zrobić powolnym. Ale jakże tego dokazać bez alchemii? Więc niech żyje złoto! Niech żyje nad naukami nauka, nad mądrościami mądrość! Podobno się i tobie, czytelniku, już coś snuje po głowie;... jużbyś rad słuchał drugiej lekcyi. Ale cóż, kiedy nasz filozof krętemi prowadzi do szczęścia i mądrości drogami, i powtórne widzenie się pod jeziorem trockiem do miesiąca odłożył.

Nakoniec przyszedł naznaczony czas. — Mój kolega ani minuty nie chybił; a skromny nauczyciel zawiązawszy mu oczy, zaprowadził do pracowni. Tu, skoro przywdział ubiór swojej godności właściwy, i mojemu koledze słuchać rozkazał, tak mówić począł: „Jeżeli chcesz być poważanym, uczonym i mianym za takiego powszechnie; naprzód wierz mocno, a choćbyś nie wierzył, do upadłego utrzymuj, że cała mądrość była u starożytnych, i że nowocześni nic nie umieli, nie umieją i umieć nie będą. Nie uwierzysz, jaką ci to da powagę. A gdyby cię zapytano, w czem tak byli mądrzy? odpowiedz, że we wszystkiem, a mianowicie w tem co zaginęło. A ponieważ im odleglejsza starożytność, tym była uczeńsza; więc ludzie najrozumniejsi byli

po samem stworzeniu świata, a potem głupieli powoli aż do nas samych".

Jakże? odezwał się żałosnym głosem mój kolega, to my najmniej umiemy i nic się nie nauczymy więcej? — „Nie troszcz się, odpowiedział mędrzec; za dwa tysiące lat będziemy i my mieli rozum, i znajdziemy komentatorów, którzy na naszę mądrość aż ręce załamią i gęby rozedrą". — Chwała Bogu, odpowiedział mój kolega z westchnieniem!— Wolałbym jednak, żeby to było prędzej.

„Alboż nie wiesz, rzekł nauczyciel, że ci co mają albo rozum albo zasługę, nie mogą ich nigdy mieć inaczej aż po śmierci! — albo tam gdzie ich nie ma? — Tak, a nie inaczej. Tymczasem trzeba żebyś wiedział, iż najuczeńsi, to jest, najpierwsi przodkowie nasi, nic nie pisali. Bo i dziś najmędrsi ludzie nic nie piszą, albo piszą nic do rzeczy; ale dla tego bardzo są mądrzy. Nic tedy nie pisząc, nic nas o alchemii nie nauczyli, a to co niektórzy mędrcy pisali i nauczali przed potopem, kiedy i alchemiją najlepiej umiano i kiedy wszystkie umiejętności były najdoskonalsze, zatonęło i na dnie morskiem pogrążone leży. Rozum ludzki, jak widzisz mój synu, tak był w początkach ogromny, iż go tylko morze objąć i pochłonąć mogło. Z naszym niema tyle ambarasu; można go, jak wiesz, i w butelce utopić. — W kolei zaś następujących coraz ciemniejszych wieków i ludów najwięcej nas nauczyli Egipcyanie, wielcy i nigdy niezrównani alchemicy. Uciekając od nich i my Izraelici wykradliśmy cokolwiek alchemii. Dowodem tego jest zrobienie na pustyni złotego cielca, któremuśmy się wszyscy kłaniali, dając przez to poznać głębokie uszanowanie,

jakie miał dla alchemii cały nasz naród; a jakie aż dotąd, pomimo tylu odmian i nieszczęść, pozostało i trwa w krwi naszej niezmienne. Bo choćeśmy głupiejąc po trosze złota robić zapomnieli, ale je za to umiemy obrzynać i wymaczać; a czasem i naśladować niezgorzej, udając miedź za złoto, podług praw przemienienia metalicznego (transmutatio).

„Egipcyanie mieli bardzo wielu alchemików, ale najpierwszymi byli ich kapłani i królowie, a zpomiędzy tych, najznakomitszym był *Hermes*, nauczyciel i ojciec wszystkich; którego my, filozofowie prawdziwi, jesteśmy prawymi synami. Był to człowiek niezmiernie uczony. Był królem, robił złoto, i napisał bardzo wiele ksiąg okrutnie uczonych, bo wszystkie a wszystkie zaginęły. Ale to nic nie szkodzi, dla tego my wiémy co w nich było; z nich wzięliśmy całą naszę naukę i wszystko co dziś umiemy, było naprzód w książkach przedpotopowych, a potem egipskich.

„Najpierwsza zaś w owych księgach maksyma, która i do naszych czasów doszła nietknięta, a która od potopu była, jest i będzie zasadą i duszą całej nauki, jest: iż z niczego nic się nie robi“.

Jak, to, zawołał mój kolega zdziwiony, albož ci co nic nie mają, alchemikami zostać i złota robić nie mogą? — „Tak, a nie inaczej, odpowiedział mędrzec z pokorą; ale trzeba żebyś to, mój synu, zrozumiał jak należy. Jeżeli albowiem nie mają nic w kieszeni, powinni mieć coś w głowie, albo jakiś talent w ręku. Słowem, powinni mieć tę naukę, którą Francuzi najpierwej i najlepiej pojęli, i nazywają *savoir faire.* Ale, jeżeli w żadnym względzie nic nie mają, alchemikami nigdy nie będą i ca-

ła alchemija nic z nich nie zrobi. Dlatego też wielcy mistrzowie nasi uciekali od gołych i nigdy ich nie przyjmowali za uczniów, a wszyscy filozowie gruntowni szli i idą za tem zdaniem nieodstępnie. Najznakomitsza filozoficzna szkoła przyjęła była za niewzruszoną prawdę: że przyrodzenie ma wstręt do czczości [1]). Otóż, jeżeli przyrodzenie ma do niej wstręt, uczeni mają nierównie większy, i dlatego cały rozum natężają na to, i ruszają wszystkich filozoficznych sprężyn, żeby jej nigdy nie dopuścić w kieszeni i żołądku. Mniejsza, mój synu, o resztę".

„Jest zaś alchemija umiejętnością przemian i przenosin; a złota przyrodzenie jest takie, iż zawsze krążyć powinno. Jestto owo *perpetuum mobile*, którego uczeni z takim szukali mozołem, a którego prawdziwą naturę my tylko zgłębiliśmy alchemicy.— Od tych więc, co mają zapas tylko w kieszeni, przechodzi powoli złoto do owych, u których kieszenie i worki próżne, ale którzy mają obrót w głowie (*savoir faire*). Tu znowu w tym stosunku jak się napełniają kieszenie, psuje się w głowie: przez co worki nanowo się wypróżniać zaczynają". — Czy znasz ów zegar szklanny, który nazywają klepsydrą? — Widziałem. — „Otóż widziałeś, że skoro się piasek z jednego słoika wysypie w drugi, odwracają narzędzie czasu, a piasek znowu się przesypuje zkąd wyszedł. Tak i złoto, sypie się wciąż z jednego worka do drugiego, z jednej kieszeni do drugiej, a zawsze się sypie do tej przy której jest alchemiczna głowa. Bo i tego oddawna doszli

---

[1]) Natura horret vacuum.

mędrcowie, że w przyrodzeniu wszystko się wraca do swego źródła“.

„Wielka zaś owa filozoficzna prawda: iż się nic z niczego nie robi, daleko się da obszerniej przystosować i daleko ma większe użycie, niżby mógł kto na pierwsze wejrzenie rozumieć. Jestto oś, na której się świat obraca. Ten co nic nie ma, jest prawdziwie niczem, a zatem i nic z niego zrobić nie można. A jak skoro się nic z niego nie robi, więc się nie może zrobić ani złoto. A zatem widzisz i łatwo teraz pojąć możesz, że alchemija nie jest sztuką robienia złota z niczego, jak wielu prostaków rozumieć może; ale jest umiejętnością wydobywania go gładko, zręcznie i uczenie, zewsząd, gdzie się może znajdować. Sposoby zaś wydobywania mogą być tysiączne, tak jak są tysiączne źródła, z których się wydobywać daje. Dlatego nie masz rozmaitszej i obszerniejszej umiejętności nad alchemiją“.

Na to uczeń, skłoniwszy się nizko, rzekł: „Zdaje mi się, mistrzu szanowny, że teraz zaczynam cokolwiek pojmować; a jeżeli się nie mylę, jest u nas dosyć alchemików, i ja podobno już nieraz byłem w ich ręku, alem się na ich nauce nie poznał. Oto *np.* miałem teraz świeżo sprawę, którą wygrałem. Winszowali mi wszyscy; mianowicie W. regent Dobrodziej, który odemnie stawał; W. regent Dobrodziej, który dekret pisał i WW. kancellarzyści i sędziowie Dobrodzieje; dla których jako dobrych i przychylnych przyjaciół, dałem był obiad. Na obiedzie, piliśmy suto porter i szampana; a potem, nagrodziwszy przyzwoicie W. regenta Dobrodzieja, który mię bronił; zapłaciwszy hojnie za dekret; opła-

ciwszy poszliny i t. d. i t. d., pokazało się z obrachunku, żem wydał dwa razy tyle, ile rzecz była warta, zwłaszcza, że sam dekret z szacownych rąk W. regenta Dobrodzieja, niemal tyle kosztował ile cały interes. Chciej mię więc, szanowny nauczycielu, objaśnić, azali W. regent Dobrodziej nie był alchemikiem"?

„Młodszy mój brat, przeświadczony, iż dobrze urodzona młodzież koniecznie za granicą bez celu pojeździć powinna, mając rok dwódziesty pierwszy wybrał się do Paryża. A że miał dość piękny majątek; przeto z rady przyjaciół zrobił W. sędziego *Kruczka* jeneralnym plenipotentem, i opatrzony od niego w gotowiznę puścił się w drogę. We dwa lata, nie odbierając od W. sędziego żadnych posiłków, dla ciężkiego niedostatku pieniędzy w kraju; sprzedawszy wszystko, co miał z sobą, na życie i zapłacenie długów drobniejszych, powrócił do kraju goły i głodny. Tymczasem nie mógł trafić do majątku, który wierzyciele zajęli. Przeto za radą W. jeneralnego plenipotenta Dobrodzieja i jego przyjaciół, brat mój upewniony, iż tym jedynie sposobem do majątku powrócić może, oświadczył eksdywizyą; a opatrzony znowu cokolwiek przez starанność W. plenipotenta Dobrodzieja, za granicę powrócił. Podczas tej wędrówki, gdy WW. sędziowie Dobrodzieje, przy hojnem wyposażeniu wierzycieli, na utrzymanie sądu trzykroć stotysięcy wydać za zgodą W. plenipotenta Dobrodzieja, raczyli; nic się bratu mojemu nie zostało, oprócz tytułu dziedzictwa. Tytuł, JW. już na ów czas plenipotent Dobrodziej, jedynie przez przychylność do brata mojego, za małą rzecz nabył, i dziś JW. plenipotent Dobrodziej

jest panem całego tego majątku. Racz mi więc, szanowny nauczycielu, wytłumaczyć, czy JW. plenipotent Dobrodziej i Prześwietny sąd Taksatorsko—eksdywizorski do alchemików należą“? — „Strzeż się bluźnierstwa! odpowiedział Karaim poważnie. Wasze wprawdzie sądy i kancellarye, wasi rzecznicy, wasze jurysdykcye, wasi plenipotenci i jenerałni kommissarze, przyjęli oddawna ów wielki alchemiczny początek: iż się nic z niczego nie robi, i tą maksymą rządzą się najwięcej. Są to poniekąd alchemicy i alchemiczne pracownie, gdzie się robi złoto i srebro, ale to nie są uczone warstaty. To są prości empirycy, którzy wiedzą jak robić złoto, ale nie rozumieją samej nauki. Spytaj się którego z nich: co jest alchemija? zkąd ta nauka wzięła swój początek i wzrost? jak się daleko rozciąga? jak doskonali? Żaden ci na to nie odpowie. Trzeba albowiem żebyś wiedział, iż prawdziwi filozofowie, którzy znają najpierwsze sprężyny w przyrodzeniu i wiedzą każdej rzeczy przyczynę, gardzą empirykami od wieków, jako podłym motłochem, który działa naoślep, ale nigdy nie wie i nie powie dlaczego i na jakim fundamencie co robi“.

„Pięknie to jest, odpowiedział uczeń, ale czy nie oddaliby czasem teoryi za praktykę, i czy nie dla tego tak się rozmiłowali w pierwszej, iż nie mają sposobności poświęcić się drugiej? Lecz gdyby ich *np.* posadzić na warstacie jak tamtych? gdyby ich wpuścić do owych empirycznych pracowni“?

„To co innego, rzekł mędrzec, wtenczas robiliby złoto bardzo uczenie, lubo nie wiem czy gładko i zgrabnie: bo zręczność nie tylko od nauki, ale i od wprawy zależy. Najszczęśliwsi, co łączą te-

oryą z praktyką. Gdyż prości empirycy, nie znając prawdziwych dróg i postępując omackiem albo zuchwale, często się sami gubią. Są albowiem niektóre roboty alchemiczne cale niebezpieczne; dlaczego zbłądziwszy niejeden z nich trafił do kozy, szpitala lub domu poprawy: co się prawdziwie uczonym nie przytrafia. Empiryzm więc zdaje się pożyteczniejszy na pozór, ale zawsze jest niebezpieczny. Widzisz jak empirycy zasiadający za stołem i z urzędu złoto robiący, najczęściej trafiają pod sąd, albo prosto do turmy; zkąd ledwo po zupełnem oczyszczeniu się (wszak mię rozumiesz?) wychodzą. Jakaż tego przyczyna? — Bo to są rzemieślnicy, a nie uczeni".

„Starożytni robili złoto i srebro na wielkim warstacie za pomocą miedzi lub żelaza. Najpierwsi w tej sztuce mistrzowie wydobywali je i zbierali po całej ziemi, a lud zadziwiony ubóstwiał ich za to i posągami lub świątyniami ich pamięć uwieczniał. W czasach zaś późniejszych wynaleziono kompozycyą proszku, za którego pomocą wydobywa się złoto i robi, a którego ci tajemnicę później objawię. My, uczeni niższego rzędu, nie możemy przejąć i użyć tych sposobów, ponieważ nie mamy potrzebnych do tego apparatów, i nie możemy się zdobyć na nie. Aleśmy natomiast wynaleźli papier. Jestto odkrycie całkiem nowe, którego starożytność najmniejszego nie miała pojęcia. Jeden kawałek przyznanego i podpisanego papieru, jest częstokroć w doświadczonym ręku niewyczerpanym materyałem skarbów i dostatków. Z łaski papieru kancellarya i juryzdykcye opływają we wszystko. Papier robi złoto, srebro i ludzi; bo nie jeden z jego jedynie

łaski jest człowiekiem. Dlaczego byli tacy, którzy go chcieli uważać za prawdziwy filozoficzny kamień, o którym później rozmawiać będziemy. Ale skoro ci całą o tym klejnocie filozoficznym objawię naukę, sam się przekonasz, że to jest całe co innego.

XXXIII.

Znowu wyprawa—i krótkie zastanowienie się nad napisami. [1])

Często przechodząc się po mieście w dzień pogodny i ciepły, jak wychodzę bez celu, tak sam nie wiem, gdzie idę i poco. Błąkam się więc po różnych ulicach i uliczkach, czyli po naszemu *zaułkach*; a znużony, zastanawiam się niekiedy gdzie mi wypadnie. Ci więc i te, co się tak ustawicznie kręcą po bruku, albo kamieniem siedzą przy stolikach, ławkach, obwarzankach, bułkach, sałacie lub pietruszce i t. d., często mię widzą to przechodzącego, to zatrzymującego się na środku ulicy, rynku lub ryneczku; albo opartego o mur i rachującego szybki w oknach. Wszyscy mię znają jak zły szeląg, chociaż nikt nie wie mojego nazwiska, a przynajmniej mojego powołania; bo w tej mierze tobiem się tylko zwierzył, czytelniku kochany.

Otóż tak rozmyślając i chodząc, przypatruję się to bramom, to facyatom, to rozmaitym szyneczkom i sklepikom: wiem położenie każdego; wiem jakie w nich towary; wiem na pamięć jak który

[1]) Wiadomości Brukowe Nr. 193 z dn. 14 sierpnia 1820 r. str. 129—132. (P. W.).

dom malowany; znam skład i wielkość każdego gzymsu, znam formę wszystkich okien i szyb każdego okna. Wszystko to stanowi gatunek własnej mojej umiejętności, z wielkim nabytej mozołem, a niezmiernie obszernej i ważnej, którą kiedyś *in folio* z kosztownemi rycinami wydać zamyślam. Przypatruję się także rozmaitym tablicom i tabliczkom; czytam napisy, które, mi często nastręczają ważne uwagi. Rozmyślałem *np.* nie raz, że jednakże potrzeba niepospolitego i kraju i miasta, żeby w niem mówiono i pisano tak wielu językami, a tak dobrze i czysto. Mamy albowiem napisy w rozmaitych, tak żyjących jako i umarłych językach. Mamy je w języku dawnych Rzymian, choć nie zawsze *lapidarne*, ale często takie, jakichby lada akademija napisowa nie ułożyła. Oto np. „*Regina Pacis*, *funda nos in Pace.*“ jest napis, któryby dał do myślenia niejednej akademii, chociaż w istocie jest bardzo naturalny i prosty, znacząc tylko: że piękny gmach, na którym jest położony, był niegdyś założony przez *Paca.*

Co do napisów w językach żyjących, te są po większej części gładkie, jasne i niekiedy arcydowcipne, mianowicie w języku francuzkim, niemieckim, rossyjskim, nowo-hebrajskim i polskim. A chociaż nowo-hebrajskie napisy, od dawnej hebrajskiej mowy całem niebem się różnią; charaktery wszakże są zupełnie te same. Tak zaś teraz te napisy są zagęszczone, tak liczne, tak obszerne, tak po wszystkich, a wszystkich upowszechnione ulicach i placach; że gdyby przypadkiem ożył który z dawnych Izraela królów, na pierwszy rzut oka osłupiałby z radości, sądząc: że albo naród jego podbił całą

ziemię i zaszedł aż na północ Europy; albo że piękny ów język Dawida i Salomona, stał się dziś językiem powszechnym. Prawda, że gdyby się tym napisom bliżej przypatrzył, zdziwiłby się niemało, że ich nic a nic nie rozumie, ale gdyby to był król uczony, (a takich było wielu) przypisałby to wielkiej odmianie w ich literaturze i języku, a mianowicie wielkiemu ich udoskonaleniu i wygładzeniu. Bo wszakże widzimy i teraz, jak niektórzy uczeni nasi, którzy ciągle nad wydoskonaleniem języka pracują, i którzy się tej jednej umiejętności poświęcili zupełnie, doszli już tego doskonałości stopnia, że i my ich mało rozumiemy, i gdyby który z Kochanowskich zmartwychwstał, nic a nicby ich nie zrozumiał. I w tej mierze moglibyśmy się w oczach świata poszczycić, żeśmy zupełnie wyrównali Hebrajczykom. W naszej literaturze napisowej, są postrzeżenia warte najgłębszej filologów uwagi. Pominąwszy albowiem rozmaitość języków; w ojczystym nawet, dają się postrzegać tysiączne odmiany i wynalazki. Różnią się bowiem autorowie nie tylko stylem i składnią, ale nawet pisownią, i zdaje się, że każdy z nich poszedł za jakimś z pierwszych uczonych i prawodawców naszego języka. Owszem, niektórzy odznaczają się własną oryginalnością, niekiedy bardzo szczęśliwą; bo jużci to jest naszym narodowym przymiotem, że kto tylko pióra się dotknie, poprawia język i pisownią, a nas biednych współziomków swoich jak uczy tak uczy. Dlatego napisowi autorowie warci, lichem zdaniem mojem, żeby się przecie nasze zgromadzenia uczone zastanowiły nad ich wynalazkami i starały się z nich korzystać. Wprawdzie, żeby oddać sprawiedliwość

każdemu, mają niekiedy i nasze pisma peryodyczne, a nawet i dzieła poważne, coś podobnego w stylu i kroju; wszelako zasługi napisów naszych jeszcze nie doszły. Żeby więc moja włóczęga nie była bez pożytku, zbieram te napisy powoli, w formę słownika układam, i tak rozumiem, nie chwaląc się, że mi kiedyś nasza ojczyzna wdzięczną za tę posługę będzie, a zbiór tak poważny skarby nasze literackie pomnoży. Jużci, prawdę mówiąc, można i to na naszą pochwałę przytoczyć, że bez osobnej napisowej akademii, bez kursu i katedry w tym pięknym przedmiocie, mieszkańcy uczonego miasta naszego sami się gienialnie na tak czyste, dobitne, jasne, a niekiedy nawet prawdziwie *lapidarne* zdobyli napisy. Widać, że jakiś niewidomy gieniusz czuwa i wisi nad chudą stoliczką naszą i tchem ją swoim ożywia. Dla tego najszczęśliwsze i największe myśli i zdania, tak nam naturalnie przychodzą, że nas nić pracy i uwagi nie kosztują, i wszyscyśmy sobie a wszyscy, ot nie wiedzieć jak, uczeni. Ledwo się człowiek ocknie, a już się myśli i koncepta snują po głowie; ledwo się kto odezwie, a samemi pluska zdaniami; z każdej głowy wytryska mądrość, z każdych ust płynie nauka; a to wszystko od niechcenia i bardzo poprostu. W późnej potomności będą kiedyś mieli prawdziwie uczeni obszerne pole szperania i zastanawiania się nad nami; a dzięki naszej oryginalności, jakich kilkudziesiąt mędrców będzie przecie miało o czem pisać. Tymczasem nim to nastąpi, ja ci, czytelniku, donoszę, iż w mieście tak obszernem, bo jednakże ze dwadzieścia ulic mającem, są rozmaite odmiany w obyczajach i sposobie myślenia, a zatem w języku i napi-

sach. Można wprawdzie w ogólności powiedzieć, iż całe miasto ma swój ogólny charakter, który nawet z napisów poznać po części można. Dziewięć albowiem przynajmniej dziesiątych części donoszą o rozmaitych trunkach, jakoto: ponczu, piwie, kaliszanie i wódkach różnego a różnego gatunku. Jest tu i ówdzie miodek, rozweselenie serc dziadów i naddziadów naszych; są *wina zamorskie i zagraniczne*. Trzecia zaledwo lub czwarta część napisów wzywa na śniadania, zakąski i obiady; tak dalece, iżby można ustanowić ogólne w tej umiejętności prawo: że daleko więcej pijemy jak jemy, i że się ma ilość pijących do jedzących jak 3 : 1 —co zapewne pochodzi z wielkiej gorącości klimatu.

P. strukczaszy, któremu wiek sędziwy dał wiele doświadczenia, zwłaszcza iż jest z przyrodzenia bardzo uważny i najmniejszą rzecz postrzegać lubi, mówił mi nie raz: że jeden jest tylko rodzaj handlu u nas prawdziwie zyskowny, na którym się jeszcze nikt nie zawiódł, a z którego wielu powstało, tojest: szynk trunków. Najznakomitsza przeto część autorów naszych donosi o różnych a różnych napojach, zwłaszcza orzeźwiających; bieda tylko, że się nie zgadza w stylu i pisowni. Są wprawdzie tacy, co trzymając się Lindego piszą poncz lub puncz; ale daleko większa liczba, przez szczególne przywiązanie do litery ą, pisze, *pącz*: co jest własnym wynalazkiem tych znakomitych pisarzy. Jeden tylko autor ile wiem, na Ś. Michalskiej ulicy, odrzucił staroświecką literę ą i do o przyprawił ogonek. Równie nie ma powszechnej zgody, czy *wódka* ma się pisać przez d, czy przez t; można albowiem przytoczyć bardzo poważnych autorów na jedną i na dru-

gą stronę. Dlatego autor jeden na Wielkiej ulicy, człowiek, jak widać, spokojnego umysłu i nie lubiący literackich sporów, poszedł w tym samym napisie i za jedną stroną i za drugą.

„*Tu są wotki piwo*
i Różne wodki cukrowe i sirop
Do Pącz.

Każde oprócz tego przedmieście ma coś właściwego w obyczajach i języku, ma swój charakter osobny. Ja, prawdę mówiąc, najlepiej znam *Zarzécze*, dla tego: że tam często w pogodne dni po kilka godzin czasu przepędzam, oparty na poręczy od mostu; przypatruję się albowiem z najwyższem ukontentowaniem spienionej i z szumem spadającej z młyńskich kół wodzie. Szmer ten, jak dawno postrzegli poeci, niezmiernie jest przyjemny i wszystkim się podoba, lubo nikt nie powie dlaczego? Ja co długo rozmyślałem nad tym odmętem i dotąd rozmyślam, sądzę: iż przyczyną ukontentowania jest jakieś wewnętrzne czucie, że takuteńko się dzieje w naszych głowach, myślach i postępkach. Nikt tego wprawdzie nie mówi; ale nie prawdaż, czytelniku, że gdzie się obrócisz, czego się dotkniesz lub co ciebie się dotknie, wszystko to odmęt, tym doskonalszy im szumniejszy? Ale dajmy pokój tym niepotrzebnym uwagom. Charakterem *Zarzécza* jest rozmaitość. Oto *np.* na samym rogu masz malowany napis: „*Tu są wodki Gdanskie rozni*" rozumiałbyś że to jest styl Zarzéczny; ale przejdź tylko most, a już się odmienił i znajdziesz: *Tu jest wodki rózne* etc. Ten ostatni wzór stylu jest wprawdzie narodowy, ale już poczęści zepsuty. W złotym albowiem naszej literatury wieku pisano: *Wódki i*

trunki różne do przedania tu jest. Teraz ledwo w niektórych zapadłych uliczkach zabytki tego poważnego stylu widzieć się dają. Zato autor na *Jatkowej* ulicy ofiaruje nam wzór nowy, którego piękność uczuć się tylko, nie opisać daje: „*Są piwo dobre letkie i wódki Tu cukrowe, Różne araku Syrop do Pączu i Łykuer*“. Zdaje się, że po nim jest najpierwszym autor pod WW. SS. który krótko tak się tłumaczy: „*Tu robota wata i bawełna do przedań.*“

Nie zastanawiam cię, czytelniku, nad napisami w językach zagranicznych, boś może tych języków małoś wiadomy albo cię mało obchodzą ich styl i pisownia; ale nie mogę niektórych uwag opuścić. Mamy np. wiele domów, a liczba ich coraz bardziej rośnie, na których widać napis wielkiemi literami *Hotel.* Pytałem się P. strukczaszego, co to znaczy? i odpowiedział że nie wie; więc i ja nie wiem. Każdy z tych zagranicznych gmachów ma na sobie imie jakiegoś narodu, prowincyi, lub miasta, tak dalece, że gdyby nasze miasteczko było rezydencyą monarszą, rozumiałbym że to są pałace zagranicznych ministrów. *Hotel* nazywający się po francusku Litewskim (*Hôtel de Lithvanie*) już ma dwie edycye, jedną na Zamkowej, drugą na S. Michalskiej ulicy, nie wiem która ostatnia.

Są u nas zagraniczni pisarze, którzy używają pisowni ich językom właściwej, jak np. nasze *modniarki,* z których żadna popolsku nie umie, ale które się wszystkie nazywają *Marchandes de Modes.* Wszakże i pomiędzy niemi znalazła się na placu jedna, co poszła za zdaniem owych pisarzy naszych, którzy są za strojem narodowym i utrzy-

mują, iż zagraniczne języki po naszemu pisać należy: i której napis jest *Marszan de mod*, u każdej, czy przed każdą z tych dam, znajdziesz malowaną lub drewnianą głowę, rozmaicie ubraną, co rzecz samo przez się tłumaczyć się zdaje.

Trzeba albowiem wiedzieć, iż jak inne piękne sztuki, tak kwitnie u nas i malarstwo, nie tylko na całych domach; ale i na wywieszonych tu i owdzie tablicach. Owszem chociaż dotąd żaden úczony autor, przynajmniej ile mi wiadomo, jeszcze nas od starożytnych nie wyprowadzał Egipcyan, i tylko się naszym Cyganom dostał ten zaszczyt, przecież mamy i coś egipskiego w sobie, mianowicie używanie *hieroglifów*, które częstokroć bardzo są trudne do zgadnienia, i nie dałyby się niekiedy zrozumiéć, gdy by litościwi autorowie nie kładli pod spodem tłomaczenia. Tak niktby nie wiedział, co znaczy biała gęś odmalowana na Wileńskiej ulicy, gdyby nie było napisu pod spodem: „*Zakąski różne i trunki*". Ale są w tych malowidłach i zagadki dowcipne. Tak, któryżby się Egipcyanin lub starożytnik domyślił, że odmalowany biały *globus* znaczy piwo i nowiny? a przecie tak jest. Ale między *hieroglifami* odznacza się obraz, wywieszony na Wielkiej ulicy, na których Saturn wiezie w łódce Kupidynka, a ten siedzi pod baldachimkiem: to ma znaczyć artystę, który robi i naprawia parasole. W tych dniach zjawiła się na ś. Jańskiej ulicy malowana gwiazda, nielitościwie promienista, z napisem: „*A l'astre du jour*" i to znaczy *billiard i różne trunki*, jak się sam autor tłumaczy.

Co mi się zaś najwięcej podoba, jestto owa nasza staroświecka poczciwość, która chce, aby

przechodzący i przejeżdżający był uwiadomiony o wszystkiem. Dlatego znajdziesz, czytelniku, domy, na których napisano wielkiemi literami do kogo należą. A chociaż większa część domów jest własnością ludzi pospolitych, na których, oprócz dwóch lub trzech szynkowni, nic nie zobaczysz, chyba malowany bót lub trzewik; wszelako są i domy dystyngwowane, wyraźnie Jaśnie Wielmożne, przed któremi życzę ci, przechodząc, czapki uchylić. Przecież to do porządku należy, żeby przechodzący znał, który dom do Jaśnie Oświeconych, lub Jaśnie Wielmożnych należy! a przez wrodzoną panom naszym popularność, Jaśnie Wielmożne domy przyjmują na łono swoje bilardy, traktyernie i szynkownie. Ta sama poczciwa prostota wydaje się i w owych napisach, gdzie się autorowie starają wszystko wytłumaczyć jak najjaśniej. Tak np. każdy nasz *dom zajezdny* jest wyraźnie *dla podróżnych*; tak każdy *wekslarz* jest *dla odmieniania rozmaitej monety*; lubo ci panowie mają swoją grammatykę, która się bardzo różni od *Kopczyńskiego*. Jeden albowiem mienia *różne moneta*, drugi *różni monety*; trzeci *różnego moneta*. Słowem, jak jest nieograniczona liczba wekslarzy, zwłaszcza na Niemieckiej i Rudnickiej ulicy; tak w ich napisach nieskończone waryacye, a zawsze piękne. Ten gatunek przemysłu jest dziś zupełnie w ręku ludu Izraela, i musi być dosyć korzystny, jak skoro się tego rodzaju sklepy mnożą a mnożą. Siedzący w tych sklepikach dostojni kapitaliści, ogromną swoję, bo niekiedy sturublową gotowiznę, liczą codziennie od rana do wieczora. Dlaczego zbliżając się do tych kramów, słychać zdaleka niezmierny brzęk pieniędzy, co, jakem nie

raz uważał, dziwnie zastanawia naszych młodych paniczów, którzy się przechodząc przysłuchują, a czasem z ciekawości zaglądają do sklepu; tudzież naszych wieśniaków, którzy stojąc w zachwyceniu drapią się za ucho.

Niektórzy znakomici artyści, lub kupcy, nie przestając na wymienieniu swojego rzemiosła lub handlu, jako autorowie dodają maleńką dla siebie pochwałę. Nie pochodzi to z próżności, bo tej autorowie nie mają; ani z chęci zwodzenia bliźniego, bo nasi rzemieślnicy i kupcy wszyscy są poczciwi i rzetelni; ale z prostej szczerości i dobrego życzenia czytelnikowi, który powinien wiedzieć o wszystkiem. Na Szklannej np. ulicy, artysta, przyjaciel prawdy, tak mówi o sobie: „*Tu mieszka mosiężnik co umie robić różne roboty*“ a drugi na ulicy Niemieckiej tak własne talenta opiewa: „*Tu mosiężnik, co różne robi roboty i bronżnik.*“ Tak na Wileńskiej ulicy jest *piwo marcowe dobre,* ale na Zarzéczu *najlepsze* [1]. Są to zwyczajne u autorów przemowy do dzieła, lub tytuły; a wiesz, czytelniku kochany, że się na tych obietnicach jeszcze nikt nie zawiódł; zwłaszcza na obietnicach umieszczonych w ogłoszonej prenumeracie. Oprócz tego, sława miasta wymaga, żeby w niem wszystko było jak najlepsze; więc też zawsze kawy, piwa, wina i t. d. są wszystkie dobre.

Lecz jak bywają autorowie, którzy mają za so-

---

[1] O czem między innemi przekonywa następujący zarzeczny napis:

To jest piwa dobrego
Bardzo marcowego.

bą wszystko, oprócz daru jasnego tłumaczenia się; tak są i napisy, których, przyznam ci się czytelniku, dobrze nie rozumiem. Oto np. nie wiem co to znaczy: *zajezdny traktyer*? pod WW. SS. ani mógłem się dowiedzieć, co to są na Wielkiej ulicy *flaczki lublińskie*? — Wypada więc zostawić te zagadki do rozwiązania potomności.

XXXIII.

Rozmaitość, czyli: Ni to, ni owo [1].

Chwała Bogu, że już przeszło niegodziwe tegoroczne lato!—Rozumiałem, że pewny potop, i nad tém najmocniej łamałem głowę, jakąbyto wymyślić arkę, któraby choć połowę próżniaków, kochanych kolegów moich, uratować mogła. Byłaby to doprawdy niemała szkoda, gdyby broń Boże, potonęli tak słuszni ludzie. Upadłyby wszystkie dobre kompanije; owszem całe towarzystwo, którego większą składają połowę, ucierpiałoby na tem; a miasta wyludniłyby się zupełnie. Ale uspokójcie się przyjaciele moi, już mamy mrozy, bruk zaczyna osychać, i ja się już włóczyć zaczynam. Bo też, przyznam się, nic nudniejszego dla uczciwego włóczęgi jak ustawiczna niepogoda!—Ja jej w lecie strasznie nie lubię i uważam, że to musi być w rzeczy samej coś nie dobrego, kiedy na nię narzekają wszyscy a wszyscy. Gospodarze np. nie mogą zbierać siana ani zboża; utyskują, wzdychają, zaglądają do kalendarza, uważają zachód słońca, położenie i postać obłoków,

---

[1]) Wiadomości Brukowe Nr. 201 z dn. 9 października 1820 r. str. 163—166. (P. W.).

mgłę i rosę, lot jaskółek, pianie kogutów, mycie się kotów i tysiąc innych znaków podobnych, które choć pospolicie zawodzą, wzięcia i ufności nie tracą; bo człowiek tak ma z natury dobrą duszę, iż tym rzeczom i ludziom wierzy najmocniej, co go oszukują najczęściej.

Ja wprawdzie, po bruku się włócząc, siana i żyta nie zbieram; nie lękam się, żeby mi co na polu zginęło, i z tego względu zupełnie jestem spokojny. Ale co to za nieznośna rzecz, kilka dni nie ruszyć się z domu. Jakieto dni długie! nawet wśród najgłębszej zimy. Oto uważałem nieraz, że jak tylko wstanę a widzę deszcz, zaraz mię napada jakiś zły humor. Nieraz wyłaję Marcina; chodzę jak nie swój i ustawicznie to do okna, to na barometr zaglądam. Ale cóż?—Nie lubię i tego narzędzia, bo bez względu na nudzenie się moje, najczęściej mi nic nie obiecuje dobrego. Co tu w tym razie począć? Jak zabić długi czas, najgorszego nieprzyjaciela ludzkiego?—Bo mów sobie czytelniku co chcesz, a ja tak trzymam i takem się z doświadczenia przekonał, że *czas* jest odwieczny i niepokonany nasz nieprzyjaciel, z którym całe życie nieustanną prowadzimy wojnę; choć każdy po swojemu, każdy inną bronią. Ja go zabijam próżnowaniem i włóczęgą; drugi panfilem [1]) lub kralką [2]), inny snem nigdy nieprzespanym. Kobiety męczą go jak mogą przy gotowalni, obiedzie i herbacie, a dobijają w kompanijach i na późnych wieczorach. Są, co go trują przy stołach, lub topią w puharach i szklankach.

---

[1]) Pamfil—dama w kartach. (P. W.).

[2]) Kralka—dziesiątka w kartach. (P. W.).

Ten go potrąca na bilarze, ów dusi w kawiarni albo winiarni. Są, co go idą tracić w *Tivoli* lub *Frascati*, inni go na Pohulankę lub do Werek, inni nakoniec aż za granicę: do wód lub do Paryża wywożą. Owszem są, co na stracenie go ważą majątek i gardło. I dobrze. Niech ginie ten odwieczny, niepożyty, nieubłagany nieprzyjaciel! — Nie darmo go starożytność malowała w postaci zgrzybiałego starca; bo to jest wiek nieużyty. A potem... musieli starzy i to uważać, że jest najnieznośniejszy dla młodzieży i kobiet; i dlatego wypadło mu dać brodę, siwe włosy, i ogromną łysinę. Jakoż obrzydliwy to dziad! Żółwim wlecze się krokiem, a zawsze z sobą prowadzi nudę i ziewanie.

Gdybyż nam w tych ciężkich czasach przynajmniej jakie publiczne rozrywki, co ciekawego do widzenia! Ale i tego nie ma. Przecież całą przeszłą zimę dudliły nam na rozmaitych instrumentach różne a różne wirtuozy; a teraz i tego pasz. Nie widzieliśmy w lecie żadnego rozwieszonego malowidła ryby, ptaka albo niedźwiedzia, na któreby się kilkadziesiąt próżniactwa od rana do wieczora patrzało. Nie było zabawnych i ciekawych do widzenia zwierząt; a przynajmniej ich nie pokazywano za pieniądze, i dlatego nikt się na nie nie patrzał. Do tej już przyszło ostateczności, że nam nawet nie pokazują lepionych ani malowanych figur poważnie poposadzanych na krzesłach.—Słowem, nigdy czas nie był gorszy, bo nigdy tak nudny.

P. Strukczaszy powiada, że dawniej nie trzeba było z domu uciekać i włóczyć się po ulicach, po kraju, lub po świecie, dla przyjemnego przepędzenia czasu. Że go można było dobrze strawić

u siebie, na łonie familii, w towarzystwie skromnej i pracowitej żony, wpośród posłusznych i przywiązanych dziatek. Prawi, iż się naówczas żyło patryarchalnie; że było w domu wszystko. Był dostatek na opędzenie bardzo ograniczonych potrzeb; była wesołość i radość, bo nie było przymusu i wymysłów, a nadewszystko nie było tak nazwanego *dobrego tonu,* niegodziwego francuza, który się wkradł do nas nie wiedzieć poco, i truje, zaraża, niszczy nasze zabawy, wypędzając zewsząd naturalność i wesołość. Poco to było to licho z za granicy sprowadzać? Czy nie lepsza była dawna nasza otwartość i rubaszność?—Były towarzystwa zabawne, bo wszyscy byli nawzajem z siebie kontenci; bo nie patrzali na siebie półoczkiem dla postrzegania tylko wzajemnych wad lub śmieszności. Nie było potrzeba napełniać dom trzpiotami i wiercipiętami dla zabawienia Jejmości, ani graczami dla zatrudnienia i rozerwania Jegomości. Smakowała swoja sztuka mięsa i swój barszcz... Ale któż nie wie, że nasz poczciwy Strukczaszy często lubi bredzić?... Pfe!... To były czasy barbarzyńskie!—Ktobyto dziś mógł tak żyć? My przecie zabijamy czas ładnie, grzecznie, albo uczenie.

Nie skończyłbym, gdyby mi przyszło wyliczać nasze zabijania go sposoby. Dlaczego niektóre tylko pochwalę. A naprzód — Bądź pozdrowiona kochana gotowalni, w tobie jest niezrównana od nudy ochrona; ty jesteś pocieszycielką w tęsknocie, jaką czas, ów nieznośny starzec, nabawia. Ty przecie ubijasz po kilka godzin codziennie.—I was pozdrawiam żydówki z towarami, które od rana do wieczora wschody, sienie i przedpokoje zalegacie, da-

jąc pochop do tysiącznych postrzeżeń, uwag i rozmów bez końca. Od wasto najważniejsze i najświeższe nowiny, od was wiadomości: która co kupiła i naco? a przytem, kto u niej bywa i kiedy? jaki jej humor? jakie potrzeby? jakie zwyczaje lub narowy? Wy w potrzebie włóczycie od domu do domu powierzone sobie w największym sekrecie kolczyki, szale, chustki, perły lub kamienie. Wy... długo się bardzo o objawienie powierzonej tajemnicy prosić dajecie; tym lepsze, tym ukochańsze, że zawsze, choć na ten jeden raz ubłagane.

I was pozdrawiam, miejsca przechadzek, zgromadzeń lub zabaw publicznych. Do was idziemy odpoczywać znużeni długim snem i ubieraniem się, zmordowani i obciążeni obiadem, utrudzeni ciągłém drzymaniem za stołem w kancelaryach lub izbach sądowych, albo na uniwersyteckich lekcyach, gdzie się młodzież wcześnie do urzędowego kiedyś drzymania zaprawia.

Pozdrawiam i was nieoszacowane winiarnie, kawiarnie, biliardowe domki, i niewinne faraonowe schronienia; was słodkie przybytki dziennego i nocnego odpoczynku, w których się czas nieznacznie bije a bije i ulubionemu bożyszczu mojemu na ofiarę poświęca. Wasto najznakomitsza część szanownych kolegów moich za ciągłe obrała mieszkanie, was za nic na świecie nie opuści; do was przebiera się i brnie przez największe błoto; dla was gardzi ulewą, piorunami i grzmotem. Co za słodkie wspomnienie! Znika czas, płyną niepostrzeżone godziny na grze, gawędzie, gazetach i plotkach; a to w każdej porze roku, codzień i o każdej godzinie. Te poważne bióra próżniactwa mają swoich mini-

strów i radców, którzy o wszystkiem rozprawiają i we wszystkiem ostateczne dają wyroki; mają swoich urzędników i bardzo czynnych członków, którzy je za miejsce swojego zatrudnienia, za ciągłe obrali mieszkanie; dla których dom jest tylko sypialnym pokojem.

Tu, publiczna opinia, potężna owa umysłów władczyni, która poczęści rządzi światem dzisiejszym, która się wszystkim słyszeć, nikomu widzieć nie daje, ale przed którą drżą niemal wszyscy; wydaje i ogłasza swoje wyroki. Jakto nigdy z pozoru o rzeczach sądzić się nie godzi!—Ktoby kiedy pomyślał, że tak wielka pani w kawiarniach, po biliardach, a poczęści w szynkach założyła swoję stolicę i swój trybunał najwyższy? A przecie tak jest. Tu się roztrząsają interesa połowy świata; tu się ważą losy mocarstw i ludów; tu się stanowi o wartości i zdolności każdego człowieka; tu się poczyna, rodzi, i wzrasta sława i wziętość ludzka, albo się tu chwieje, nachyla i upada; a owi cenzorowie publiczni, którzy na wszystko mają uwagę i o wszystkiem stanowią, są to próżniacy, kochani towarzysze moi. Jakże się nam więc nie chlubić z tak szlachetnego, z tak znakomitego powołania; my władamy światem, a co tylko żyje, nam hołdować musi. Próżnujmy więc, zacni towarzysze, i trąbmy, a im głośniej nasze zasługi i czczość innych wytrąbiać będziemy, tym nasza wyższość, tym nasze znaczenie pewniejsze.

Nie tak wszakże jest poważna i stanowcza publiczność biliardowa i kawowa, jak publiczność winna, czyli ta, która w winiarniach założyła swoję stolicę. Grona składające te towarzystwa, mają u nas

swoje prawa, swoje zwyczaje i swoję moralność. Mają nawet swój właściwy rozsądek i dowcip, a ten ostatni tym jest lepszy, że nie drogi; bo jak się tylko zjawia przy kieliszku i dla kieliszka, tak go można dostać za butelkę lub szklankę ile się podoba. Dzisiaj, dla ciężkich czasów, towarzystwa te zamieniły się po większej części w ponczowe. Za to piją większemi szklankami. Co tylko nie w tem dzieje się towarzystwie, wszystko jest naganne lub śmieszne; uważa się albowiem samo w sobie za czoło i ozdobę społeczności. Rozumiałbym, że choć to nie jest żadne towarzystwo tajemne, ma wszelako swoje znaki (oprócz tych, które czasem nosi na nosach) po których się poznaje, wita i rozumie z daleka. Członki towarzystwa zachowują oprócz tego prawdziwe braterstwo: częstują się nawzajem, a zawsze ratują, ile możności, humor i żołądek brata, który na kieszeni podupadł. Ich spotkanie się i powitanie, zawsze się zaczyna od wzajemnego opowiedzenia sobie przypadków ostatniej nocy, a kończy zaproszeniem do tej lub owej winiarni, i umową gdzie resztę dnia przepędzić mają.

Niepodobna opisać ci czytelniku te domy publicznego odpoczynku, ale wnijdź ze mną do którejkolwiek kawiarni. Patrz jak piękne zgromadzenie, jak rozmaite, jak się bez przestanku odmienia; jaki napływ pięknego świata, jakie zatrudnienie! jakie rozmowy!— Słuchajmy. — Oto jakiś mówca rozprawia głośno, a ciągle o sobie. Widzisz, że to człowiek bez żółci i prawdziwie moralny. Nie chce on ganić, ani poprawiać nikogo, ale przestaje na opiewaniu własnych dzieł i przymiotów, wszystkim i we wszystkiem siebie wystawując za przykład.—Czy

uważasz jak, ponieważ kiedyś nosił pałasz przy boku i mundur na grzbiecie, opisuje ciągle wyprawy i bitwy, których podobno nigdy nie widział, ale gdzie się nic nie stało bez niego. W tych wyprawach, zwiedził wielką część świata; widział wszystkie stolice i miejsca sławniejsze; ale że mu się widać nie podobało gieograficzne ich położenie, przeto je przenosi z kraju do kraju, z jednej części ziemi do drugiej; owszem, władzą jakąś czarodziejską, przemienia stałe lądy na wyspy, a wyspy na mocarstwa lądowe. Wszakże są pomiędzy słuchaczami, co wierzą i dziwią się tak mądrym powieściom. Jabym wszelako rozumiał, że wędrownik nigdy nie był dalej jak w Trokach.—Pójdźmy dalej.—Oto zagorzały Juroman z uniesieniem opisuje przedsięwzięcia swoje i dzieła prawnicze. Słyszysz, jak tego skondemnował, zatradował tamtego, jak sąsiadowi kopiec zaszczepił, przewiózł albo ukradł [1]). Jak temu urwał dwie włoki lasu, tamtemu łąkę lub pole; jak się przez nowy sus prawniczy od wieży wykręcił, lub pożądaną suspensę uzyskał. Jak się wywijał w sądach granicznych? Co dokazuje w powiecie? co w departamencie? co w senacie?—Stoją liczni zebrani słuchacze i patrzą jak na wielkiego i nadzwyczajnego człowieka. Bo wszak wiesz, czytelniku, że u nas właśnie tacy ludzie nie tylko uchodzą, ale słyną za najlepsze głowy. Przypominam sobie, żem raz słyszał, jak pewien stary i poważny sędzia, zachwycony taką sławnego Juromana roz-

---

[1]) Ludy mniéj oświecone od nas nie pojmą i nie zrozumieją znaczenia tych wyrazów technicznych. Ale my! — ale nasze Juromany, Juromanki i Juromaneczki uśmiechną się na tak grubą nieświadomość.

mową, obrócił się do Strukczaszego i rzekł z podziwieniem: „Mospanie! ot to głowa!“ — Prawda— odpowiedział rozgniewany starzec: — Jestto głowa właśnie do zdjęcia.

Tam na ustroniu, zebrali się i radzą wielcy gospodarze. Jeden opowiada, wiele użął kop żyta; wiele morgów wygnoił; wiele siana nakosił; wiele wódki wypędził i jak ją przedał. Słyszysz, jak się u niego najdoskonalej wyrabiają grunta; jak się pola usiewają najwcześniej; jak się wszystko dobrze i zawczasu zbiera. On wykarcza i odkrywa coraz nowe pola i łąki; on osusza zalane grunta; wszelka robota idzie u niego jak najprędzej, a włościanin nie narzeka i opływa we wszystko. Krótko mówiąc, im go więcej słuchasz, tym się mocniej przekonać możesz, że to jest wzór gospodarstwa; szkoda tylko, że w swoim majątku nigdy nie postał: gospodarzy na placu, po kawiarniach, albo w tej lub owej winiarni.

Tu znowu rozprawia uczony i nowomodny gospodarz, a rozprawia bardzo gruntownie i do podziwienia wszystkich. Naprzód, dał nielitościwy ale niecofniony wyrok, że u nas gospodarstwa nie ma i nigdy nie było. Anglicy tylko (którzy NB. u nas chléb kupują) i mądre niektóre Niemcy, gospodarzyć umieją. On zatem, za ich idąc nauką, odmienia i poprawia wszystko; wszystko poangielsku urządza. Uważaj jak uczenie i gruntownie dowodzi, że należy pokasować poletki; że to jest ostatnia niewiadomość i niedarowane barbarzyństwo siać żyto i pszenicę, albo kosić łąki niesiane. Ciężko więc ubolewa nad nieoświeceniem narodu, nad powszechną nieznajomością w kraju *agronomii*. Buńczuczne-

mi wyrazami *Agronom i Agronomija* ustawicznie pluska, bębni w uszy i straszy pocziwych naszych wieśniaków, którzy o tych dziwolągach ani w kalendarzu nie czytali, ani na żadnem nie słyszeli kazaniu. Nowym zatem agronomicznym sposobem zakłada i urządza folwarki, inaczej rozdziela, inaczej uprawia grunta; znosi na zawsze pańszczyznę, a natomiast zaprowadza machiny, o których prawi niesłychane dziwy. Tam sieje na poletku ziemianki lub ćwikłę, tu jakieś turnepsy; gdzieindziej znowu koniczynę lub wykę; a na to wszystko ma nasiona z Anglii. On karmi bydło i tuczy cale nowym sposobem; inaczej robi masło, inaczej sery, a wszędzie intratę podwaja, owszem mnoży bez końca. Zadumieni słuchacze nie mogą się wydziwić tak głębokiej nauce; przysłuchują się zatem i uczą, jak z niczego zrobić majątek, jak przyjść do ogromnych przez *agronomią* kapitałów. Niektórzy tylko, co znają nauczyciela, śmieją się w duchu; wiedzą albowiem, iż dawno nie ma na czem wykonywać wielkich agronomicznch widoków. Jakoż bywa to, szanowny czytelniku, dzięki ubieganiu się za cudzoziemszczyzną, dzięki nieznajomości i wzgardzie tego wszystkiego co u nas jest dobrem; bywa, że agronomija zjada stare gospodarstwo ojcowskie; bywa, że pożera nawet dawne majątki.

XXXV.

Rozmyślanie w dzień zaduszny. [1])

Jestto, kochany czytelniku, dzień bardzo smutny, owszem najsmutniejszy w całym roku; bo nam

---

[1]) Wiadomości Brukowe Nr. 205 z d. 6 listopada 1820 str. 179—182. (P. W).

przypomina przeznaczenie nasze. Ale też właśnie dla tego, każdemu myślącemu człowiekowi nastręcza bardzo wielkie i ważne uwagi. Postanowiłem więc i ja dzień ten poważny na rozmyślaniu przepędzić. A zatem siadłem (NB. po nabożeństwie) w rogu kanapy; a założywszy ręce i nogi na krzyż, zacząłem doprawdy dumać o nieboszczykach *antecessorach* naszych, Panie świeć nad ich duszmi.

1) Uszanowanie zmarłych, jest od najdawniejszych czasów powszechnym obyczajem wszystkich narodów; a starożytność przywiązywała nawet niejakąś część do ich pamięci. Dzień więc zaduszny, poświęcony modlitwie za poprzedników i dobrodziejów naszych, powinien być dniem uroczystym dla wszystkich. Jakoż takim jest dla nas w samej istocie. W dzień ten wszystkie nasze damy ubierają się w czarną suknią i jadą na pół godzinki do kościoła; a mężczyzni włożywszy frak czarny lub przywiązawszy kawałek krepy do ramienia, uwalniają się od służby i wszelkiej pracy. Tak... Nic nie robić jest najlępszy sposób uczczenia tak żywych jako i umarłych.

2) Wszelako zgromadzenia i towarzystwa rozmaite, zbierają się na nabożeństwo za zmarłych kiedyś swych braci; i to jest dzień, w którym sobie raz w rok przypominają o nich. To samo dzieje się w wszystkich domach i familiach, to stanowi w zaduszny dzień materyą rozmów i uwag. Na wsi, niejedna poważna matrona widziała tej nocy jakiegoś nieboszczyka lub jakąś nieboszczkę; jeżeli nie na jawie, to przez sen. Niejedna zozmawiała z owym przychodniem z tamtego świata, a tkliwe to marzenie opowiada przyjaciółkom lub kumom, z których

każda umie nawzajem coś podobnego powiedzieć. Z tej okazyi nuż rozprawiać, o nieboszczykach mężach, przywołując na plac jednego po drugim. Ten, Panie mu nie pamiętaj! był dobry mąż, ale trochę zaskąpy. Ów, Boże mu odpuść, straszny był zrzęda. Nieboszczyk Jan nadto był dobry, a Paweł nadto zazdrośny; choć to nigdy się do tego nie dało okazyi, ale... zwyczajnie ludzkie języki.

3) Podobnie i w posiedzeniach familijnych przywołują się na pamięć, to nieboszczyk ojciec, dziad lub stryj; to nieboszczka matka, ciotka lub wujenka, i wyliczają się ich dobre lub złe przymioty, podług testamentu albo puścizny, jaką zostawili po sobie. Ogólnie atoli mówiąc, dzień ten schodzi na pochwałach; a nieboszczykowie zawsze byli lepsi od nas żyjących. Więc dzieci opiewają przymioty i cnoty swoich rodziców; mamy zaś rozpamiętywają wszystkie talenta i niesłychaną bystrość zmarłych córeczek i synków; pamiętają i powtarzają wszystkie ich słówka i widzą we wszystkich nadzwyczajny rozumek. Słowem: z całego zastanowienia się nad umarłymi zawsze wypada, iż gdyby nie byli pomarli, byłoby wszystko dobrze; a zatem że, jeżeli teraz świat źle idzie, przyczyną tego są nieboszczyki, którzy nie powinni byli umierać.

4) Jużci po prawdzie mówiąc, niezłe to jest zdanie i jabym na nie przystać gotów. Bo naprzód, byłoby nie najgorzej, gdyby rozumni i dobrzy nie umierali; a potem, choć to ja się przez skromność niby do nich nie liczę; wszelako, z wielkiem przeproszeniem moich następców, całebym się nie gniewał za życie do woli. Ale cóż? trudno walczyć z przeznaczeniem! — Oto ludzie uczeni od dawna

bardzo gruntownie dowiedli, a niejedenby się może podjął za dobrą pensyą i i z katedry tego nauczać, że *ludzie na to się rodzą, aby umierali.* Co za ważne odkrycie! Wszak doprawdy, dać mu tylko greckie nazwisko, któreby się kończyło na *logia*, to i nowa nauka! — Ale że ja nauczycielem tej nowej umiejętności nie będę, więc nazwanie to zostawiam pierwszemu jej professórowi; które ma się oglądać na następujące materye i podług nich układać traktaty.

5) *Śmierć jest potrzebna*!—Bez niej albowiem nie byłoby puścizny i znacznych spadków dziedzicznych. Nie byłoby żałoby i czarnej sukni, która tak dobrze przypada do wszystkich twarzy, i tak mocno wszystkie serca porusza. Nie byłoby ani katafalków, ani katakumbów, z których są dochody pewne; ani wspaniałych pomników, czy mauzoleów, które dają sławę tylu artysom; ani nagrobków i żałobnych trenów, którym niejeden poeta winien kęs sławy i pieczeni. Nie byłoby podzwonnego, rzeczy z wielu względów cale zyskownej; a która daje znać miastu całemu, iż jest nowy nieboszczyk lub nowa nieboszczka, którzy umierając zostawili pieniądze. Nie byłoby owych wspaniałych konduktów, które choć drogo kosztują, głaszczą próżną famílijną pychę, a nas włóczęgów bawią i rozrywają na chwilę. Nie byłoby pogrzebowych mów i kazań, w których za pomierną cenę wystawują się na podziwienie publiczne nieśmiertelne nieboszczyków talenta, cnoty i zasługi, których za życia żadne śmiertelne oko dostrzedz nie mogło. Nakoniec nie byłoby styp, które już dziś na nieszczęście z mody wychodzą, a na których przecie zebrane grono fa-

milijne i przyjacielskie, smaczno zajadało i spijało ogromne puhary za zdrowie i pomyślność nieboszczyków. Psuje się świat, czytelniku kochany; jakieś nowomodne maksymy wywracają chwalebne ojców naszych zwyczaje. Cóżby też, pytam się, można powiedzieć rozumnego przeciw *stypom*? owym pogrzebowym biesiadom i ucztom, na których sztuka mięsa, szklanka i pieczenia, cieszyły w niepowetowanej stracie, krzepiły zwątlone żalem siły, ocierały łzy, wypogadzały czoło i pomagały dźwigać ciężkie brzemie żalu i smutku. Jakkolwiek bądź, ja jestem za stypami i proszę przyszłych nauczycieli mojej nauki o śmierci, żeby im całe poświęcili traktaty. Czy może być piękniejsza i obfitsza naukowa materya?—Oto, gdybym był bogatym, przeznaczyłbym testamentem znaczną summę lub dobra niemałe na to: ażeby corocznie, wszyscy moi znajomi i przyjaciele, po wysłuchaniu długiej i bardzo uczonej mowy, zebrali się na wspaniałą ucztę, gdzieby koniecznie jedli aż do niestrawności, a pili aż do snu ciężkiego, dającego prawdziwe wyobrażenie śmierci. Taka uczta byłaby gruntowną moralną nauką, a nauką do pojęcia wszystkich. Oto patrzajmy na naturę, bo się na nię [1]) we wszystkich umiejętnościach oglądać należy. Nasz chłopek w całej prostocie ducha sprawuje na dzień zaduszny stypę, na której częstuje dziadów. Sam im usługuje; sam, za dusze wszystkich w swojej chacie pomarłych, karmi ich i poi, i sam się w ciężkiem krzepiąc strapieniu upija i spokojnie zasypia. Taki

[1]) Na nię się też oglądają wszyscy uczeni, a niektórzy i na gotowiznę.

rodzaj stypy nosi u nas imie *Dziadów*. — Więc jakaby to była dla ubogich staruszków krzywda, gdyby nie było zadusznego dnia: a tènby ustać musiał, gdyby nie było śmierci. Otóż patrzaj czytelniku, jaka to będzie o pożytkach śmierci wielka nauka. Wszak doprawdy skomponowałem nie lada umiejętność i, nie chwaląc się, pewien jestem niepospolitej w potomności sławy.

6) Jeżeli dobrze pamiętam, czytałem po rozmaitych książkach, iż dawnej pamięci naród, niejacy Egipcyanie, wielcy za życia bałwochwalcy, bo czciciele różnego nierozumnego zwierza, zachowywali ten śmieszny zwyczaj, że dopóty żadnego nieboszczyka nie grzebli, dopóki nie wysłuchali, nie roztrząsnęli i nie osądzili wszystkich jego złych i dobrych uczynków. Tym końcem przywożono każdego ś. p. Jegomości, na brzeg pewnego jeziora [1]), gdzie się odbywało ono ścisłe z całego życia śledztwo. Poczem zapadał ostateczny wyrok stanowiący: czy pomieniony nieboszczyk darmo albo nie darmo jadł chleb na tym podsłonecznym świecie. Jeżeli tedy wyrok był pomyślny, dawano nieboszczykowi podorożne, za którego pomocą niejaki Charon trzymający stacyą pocztową, czyli raczej, jak inni powiadają, arendownik przewozu, (oczywiście podradczyk) zwłoki owej poczciwej duszy za pomierną cenę do grobu, a jak chcą niektórzy, i samę duszę aż na tamten świat przewoził. Piszą nawet, że owi nieboszczyków sędziowie byli bardzo sprawiedliwi i za dekreta ani kop, [2]) ani podarunków nie

---

[1]) Nazywało się podobno *Acherusia*.

[2]) Kopa—grzywna, kara sądowa pieniężna. (P. W.).

brali [1]). W czem jednakże nie zgadzają się autorowie, rodzaj ludzi, jak wiesz czytelniku, zawsze kłótliwy. Jedni albowiem utrzymują, iż sąd musiał być sprawiedliwy, bo umarły niema co dać; co że nie jest w ścisłem znaczeniu prawdą, odwołuję się do świadectwa wszystkich eksekutorów testamentowych, tudzież wszystkich sukcesorów tak w prostej jako i pobocznej linii. Drudzy zaś twierdzą cale inaczej, i poniekąd słusznie; bo jabym sam rozumiał, że tylko przez grzeczność tak o tych sędziach piszą, dla tego że już bardzo dawno pomarli; a o nieboszczykach nigdy się źle mówić nie godzi [2]).

7) Z tej okazyi nawinął mi się projekt. Gdyby np. u nas zrobić katakumby za Zielonym mostem, a z tej strony Wilii posadzić ów kryminalny sąd na nieboszczyków z zaleceniem, ażeby ciała wszystkich od pogrzebu odsądzonych rzucać do rzeki, a tylko tych wieźć na cmentarz, którzyby się prawdziwie pożytecznymi i dobrymi pokazali za życia; coby to było?—Zastanówmy się... Nie... To być nie może. Uważam, że Wilia dosyć ma wysokie brzegi, więc by się pewno najdalej pod Zakrętem zapchała. Naówczas musiałaby się woda wstecz cofnąć i mogłaby nakoniec zalać miasto. A prawdę mówiąc, byłoby to niesprawiedliwie, żeby żywi pokutowali za umarłych. Więc lepiej ten projekt odrzucić, jako niebezpieczny dla miasta.

8) Czytałem też podobno i to: że w Egipcie niewolno było grzebać ciał dłużników, którzy nie

---

[1]) Owszem są tacy co utrzymują, że nawet nie mieli kancelaryi ani regientów; ale że bez nich sądy być nie mogą, więc oczewista bajka.

[2]) De mortuis aut bene, aut nihil.

zostawili funduszu na zupełne zaspokojenie wierzycieli. Owszem, że nikt nie mógł byś pochowany, dopóki nie opłacono wszystkich jego długów. Ciała przeto dłużników oddawano familii, która je w domach własnych dopóty w jakim kącie trzymała, dopóki ktokolwiek z krewnych długów nie opłacił. Co to za śmieszne prawo! Pytam się, zaco Egipcyanie uchodzili pomiędzy starożytnymi narodami za lud rozumny i bardzo przezorny? Co tu rozumnego? Wszak gdyby, broń Boże, u nas przyjąć taki obyczaj; kątówby po domach nie stało, a w lecie przyszłoby całemu krajowi z morowej wyginąć zarazy. Bo przecie lékarze od dawna dowiedli, że nieboszczykowie tak trącą fatalnie, iż ztąd pochodzą najstraszliwsze epidemije i wszystkie zarazy.

9) Bają także ci sami egipskiej historyi pisarze, iż dusze owych niewinnych stworzeń, które na tym padole płaczu nic nie zrobiły ani złego ani dobrego, nie mając od sądu pasportu, wiecznie się na brzegach jéziora błąkać musiały dybiąc, azali się ukradkiem Charonowi nie wcisną na przewóz. Ten zwyczaj dosyć mi się podoba; bo, prawdę mówiąc, nie jest to nic tak złego być skazanym na spacer; a ja i całe grono towarzyszów moich, przechadzalibyśmy się po bulwarze na wieki wieków; tak jak się teraz przechadzamy od rana do wieczora. Ale darmo!... Nie tak świat idzie, jak się z przeproszeniem JJ. PP. Egipcyanom zdawało. Źli ludzie i nieprawi, radziby się może utopieniem nieczystych ciał swoich wykupili; zwłaszcza owi, których zdanie potomności mało obchodzi. Ale się, chwała Bogu, na tem nie skończy.

10) Dalej przyszło mi na myśl, cobym też ja

powiedział, gdyby mi wypadło po najdłuższem, co daj Boże, życiu stanąć przed owym trybunałem okropnym. Ze strachu zda mi się, że już widzę zasiadający wspaniale przed mostem trybunał, tam gdzie teraz także bardzo poważna magistratura, siedząc liczy nogi wszystkich stąpających stworzeń i bierze po groszu od każdej. Jak tu powiedzieć, stanąwszy przed sądem, żem się całe życie włóczył po bruku, rozmyślał i bąki strzelał? Możeby się ten rodzaj zatrudnienia nie bardzo sędziom podobał. A choćbym, na wymówienie się i pokazanie, że niby do liczby autorów należę, przyniósł pod pachą Wiadomości Brukowe i Prześwietnemu sądowi ofiarował; i toby może nie pomogło. Któż tam zgadnąć może, czy panowie sędziowie czytają, albo czytać umieją? wszakże nasi często się obchodzą bez tego: bo czytać i pisać jest rzeczą regienta albo sekretarza. Więcby zapewne niejeden sędzia ofuknął się z gniewem i zawołał: „Autor!... wrzućcie go rzeki. A nacóż ta zaraza potrzebna? Sądy mają swoich autorów co piszą głosy, pozwy i dekreta; a z takichże szpargałów jaka komu korzyść?“ Jeszcze gorzej, sądzie Prześwietny! Zawołałby może jaki wymowny rzecznik lub instygator; [1]) ten szpargał, który obżałowany trzyma pod pachą, wyraźnie powstawał na sądy i sędziów, potępiał eksdywizye, które są ich dochodem, i naśmiewał się często z mądrych dekretów; a co najgorzej, ważył się urągać nam adwokatom, dlatego też teraz, Prześwietny sądzie, żaden za obżałowanym nie przemawia i nie przemówi.

---

[1]) Instygator—oskarżyciel publiczny. (P. W.).

Prawda, Prześwietny sądzie, wołanoby z boku. Wszakto mianowicie ten zuchwalec nieraz szydził z naszych słusznych i uczciwych ludzi, nie wierzył w jasno-widzenie magnetyczne i cudownych doktorów; naśmiewał się z ludzi dobrego tonu i z pięknych towarzystw, w których się mówi pofrancuzku; chciał gwałtem zaprowadzić hypotekę, a przeto zgubić wielką część naszych panów; powstając na pijatykę starał się wyraźnie podkopać przemysł krajowy i zniszczyć handel; samych nawet okrutnie uczonych miał za nic i śmiał się z książek straszliwie rozumnych; a przecie chciał żeby koniecznie wszyscy czytali, albo, co jeszcze śmieszniej, żeby wszyscy umieli czytać.—On chwaląc dawną pustotę, chciał nas wrócić do barbarzyństwa; on się urągał paniczom za granicę jeżdżącym; szydził z tych co szumią i udają panów; a przeto oczewiście chciał zatamować cyrkulacyą pieniędzy... On!... Oj prawda, odezwaliby się szanowni potomkowie Izraela; On i nas wniwecz obracał i szynki nam radził poodbierać, a myby poczciwi ludzie z głodu pomarli.—Daléj dałby się może słyszeć tkliwy głos synogarliczy:—„*Messieurs,* on i nas *ridikulizował:* dlatego my też *budujemy* [1]) go wszystkie a wszystkie. *Imaginez—vous,* wszak on się śmiał z sentymentów, a nadewszystko, *quelle folie!* chciał żebyśmy gadały popolsku!“ — Słowem, zdaje mi się, że wszystkie i ze wszystkich stron głosy przeciwko

---

[1]) Ostrzega się czytelnik, że *budować* co innego znaczy u gminu, a co innego na pięknym świecie. Pospólstwo buduje domy, obory i folwarki; nasze damy budują mężów, albo przyjaciół lub przyjaciółki. Z pierwszych budowy można się często zbudować, z drugich budowania nigdy.

mnie się podnoszą. Nie ma żartu, czytelniku kochany! i gdyby tak w rzeczy samej było, przyszłoby podobno, chcąc niechcąc, płynąć do Królewca. W tobie wszakże pokładam zaufanie i mam nadzieję, żebyś mię nie opuścił w owej ostatniej potrzebie, żebyś przecie coś za mną przemówił. Wszakże, choć próżniak, dla ciebie kiedy niekiedy pół arkuszyka nagryzmolę, wszędzie dbam o twoje dobro i twoję sławę; zawsze cię szanuję i wielbię; nigdy się moje usta na twoję nie zamykają pochwałę. Więc wstaw się Dobrodzieju za mną i uwolnij jeżeli można, od owej pozgonnej żeglugi. Już ja wolę, jak myśliwy pływać za życia i przyrzekam ci w następujących Numerach [1]) pływać a pływać".

XXXVI.

Trzecia lekcya w Trokach [2]).

„Bardzo przykładna, mój synu, i chwalebna jest w tobie miłość nauki, rzekł uczony Karaim do przyjaciela mego; widząc, że się punktualnie na naznaczony czas stawił.—Widzę, rzekł potém z katedry czy z trójnoga, gdy wprowadził ucznia do pracowni; że w ciebie wstąpił, albo, jak nieoświecony wprawdzie motłoch, ale dokładniéj przedtém mawiał, widzę, że cię opętał duch wieku, gdy się ubiegasz za mistyczną nadprzyrodzoną i niepojętą nauką. Tak mój synu, trzymaj zawsze z większością, a będzie ci dobrze; miéj zdanie stosowne do wieku i ludzi,

---

[1]) Wiadomości Brukowych (P. W.).

[2]) Wiadomości Brukowe Nr. 209 z dn. 4 grudnia 1820 r., str 195—198. (P. W.)

z którymi żyjesz, a będziesz uważany powszechnie. Wszak i w Donacie napisano: „Kiedy wnijdziesz między wrony, to tak krakaj jak i ony“. Otóż właśnie tegoczesne wrony lubią rzeczy nadprzyrodzone i niedościgłe, lubią mydlić oczy rzeczami, których nikt nie rozumie, i to nazywają mądrością. Więc i ty, jeżeli chcesz być zawołanym i wysoko mądrym, otrząśnij się naprzód z przesądów i wyrzecz się téj światowéj marności, którą ludzie pospolici nazywają zdrowym rozsądkiem; a co jest tylko przeszkodą do niepojętéj nauki; co się sprzeciwia górnemu lotowi filozofii i obcina skrzydła mistycyzmu, słowem, co się nie zgadza z duchem czasu i z czego się mędrcy naszéj wiary naśmiewają otwarcie. Krótko mówiąc, przeskocz w naukach Rubikon i puść się na wszystko, ale najistotniéj zostaw na drugim brzegu wstyd i czoło, a zobaczysz jak ci wszystko pójdzie pomyślnie. Alchemia, astrologia, magia i wszystkie spokrewnione z niemi nauki, należą bez wątpienia do najdawniejszych głębokich umiejętności, które muszą być wszystkie w tym wieku wskrzeszone, bo dziwnie przystają do ducha teraźniejszéj mądrości. Muszą, mówię, być wskrzeszone i kwitnąć, tak jak kwitną inne tego samego rodzaju niedościgłe mądrości. Znajdą się uczone Teutony, które początki tych nauk z gruzów Chaldejskich albo Egipskich wygrzebią, swoim sposobem ukształcą, swoim językiem ozdobią i jako nowemi umiejętnościami naszych literackich nieboraków opatrzą. Ja tymczasem wybrałem za materyą dzisiejszego posiedzenia najważniejszą i najdroższą naszych filozofów naukę, którą nowoczesne półmędrki wyśmiały dlatego, że jéj żaden zgłębić nie umiał.

Filozoficzny kamień, mój synu, albo tinktura, jestto prawdziwy klejnot mądrości, jest niewyczerpany skarb nauki; ale właśnie dlatego tajemnicą jest, do której się nie przypuszcza, tylko mała liczba wybranych. Za pomocą téj tinktury robi się, dziwnym cudem sztuki, z metalów złoto i srébro, i leczą się wszystkie, a wszystkie choroby, Pomyśl mój synu, co to za szczęście być zawsze zdrowym, żyć póki się podoba i mieć podostatkiem złota i srébra. Czy może być co lepszego i pożądańszego? czy można było wpaść w naukach na myśl szczęśliwszą nad tę? ażeby mieć na zawołanie złoto, srebro i zdrowie. Dlatego téż żadna umiejętność nie miała tylu czcicieli, nauczycielów i uczniów; żadna większego nie obudziła zapału; żadna w dobranych i należycie usposobionych umysłach lepiéj dowiedzioną nie była. Mówię usposobionych; bo to w pospolitych tylko naukach dowody są dla wszystkich; w naszych tylko dla wybranych. Tę zaś wielką tajemnicę znaleźli niezrównani dawni mędrcy Egipscy; umieli ją napamięć i nasi mędrcy w trzynastym i czternastym wieku, kiedy najgłębsze umiejętności kwitnęły i nie tacy byli uczeni jak potém.—Ale jako ludzie prawdziwie mądrzy, naukę tę starannie ukryli przed światem; tak starannie i mocno, że jéj potem sami znaleźć nie mogli. Dlatego ta tajemnica jest tak jak była dawniej; niektórzy prawdziwi mędrcy odkopali ją, i czytali w starożytnych pismach; wiedzieli jak się robi kamień i złoto; ale jedni przez pokorę i wyrzeczenie się marności światowych, drudzy przez bojaźń, żeby rzecz tak wielkiej wagi nie spowszedniała; inni nakoniec dla rozmaitych zatrudnień nie mieli czasu zająć się tą ro-

botą. A chociaż byli i przypuszczeni do tych głębokich tajemnic, co wiedzieli jak zrobić tinkturę, wszelako swego dokazać nie mogli, jako nie mający wiary potrzebnej, co w umiejętnościach nadprzyrodzonych jest warukiem koniecznym, bo bez tego warunku nie byłoby mistycyzmu i nauk prawdziwie głębokich. Są albowiem rzeczy dotykalne, na które cały świat patrzy codziennie, ale w które właśnie dla tego wierzyć nie należy, że są pospolite i gminne; są zaś rzeczy prawdziwie naukowe, które tylko wybrani widzą i naśladować mogą, a których bez wiary i miłości nigdy nie zobaczysz, nigdy nie pojmiesz. Chcąc się zaś tej tajemnicy nauczyć, trzeba żebyś naprzód wiedział, że wszystkie rzeczy mają swoje elementa czyli żywioły, mają najpierwszą materyą z której są zrobione. Tak np. każda kamienica ma w sobie kamienie, cegłę i wapno; otóż to są jej elementa, a kto ma cegłę i wapno, ten może murować. Tak, ktoby miał pierwsze żywioły, z których powstaje złoto i srebro, ten aby umiał, zrobić je potrafi; rzecz jak widzisz, mój synu, niezmiernie łatwa.

Filozofowie mają, jak wiesz, cztery elementa, z których powstają trzy nasze początki, czyli pierwiastkowe materye, tojest: siarka, sól i merkuryusz. Z tych trzech powstają mężczyzna i niewiasta, z których razem rodzi się tinktura, czyli filozoficzny nasz kamień; a ten jest nad wszystko, bo jego mając, abyś umiał, potrafisz zrobić wszystko" [1]).

---

[1]) Że taka jest nauka wszystkich alchemików i że nasz uczony czytał ich wszystkich, każdy się łatwo przekonać może, kto choć jednego z nich pismo otworzy.

Dobrze to jest, odpowiedział uczeń, ale jakże dwie tak różne i zawsze z sobą sprzeczne istoty, jak jest niewiasta i mężczyzna, mogą z tych samych powstawać pierwiastków?

„A przecie tak jest, odpowiedział mędrzec, z tych samych powstają, ale w bardzo różnym sposobie. Mężczyzna więcej ma w sobie cząstek ziemnych, grubych i ciężkich, czyli więcej merkuryuszu i soli; kobieta za to więcej ma siarki, która jako element ognia jest najlżejsza i maluje się u nas alchemików ze skrzydłami. Ztąd pochodzi ich lekkość, szastanie się, łatwe unoszenie z miejsca na miejsce i ustawiczne dążenie do góry, a zatem wywyższanie się nad inne, albo przynajmniej ciągłe dążenie do tego wywyższenia; a z tego powodu częste wzdychania i płacze. Mają wszakże dlatego i dosyć soli; owszem częstokroć więcej jak potrzeba, ale cząstki jej są w nich daleko ostrzejsze i delikatniejsze jak w mężczyznach. Sól nawet ta, połączona z cząstkami siarki, jest ognista, niezmiernie ulotna i przenikliwa, tak: że, jak w pospolitym mówi się języku, do żywego dojmuje. Nic nie masz ostrzejszego nad nię. A że cząstki różnej natury pociągają się, a odpychają podobne, przeto dwie soli nie mogą się nigdy pogodzić i ostać razem; ale się dopóty burzą, póki jedna drugiej nie wypędzi, nie zatrze, albo nie pochłonie. Mają wszakże niewiasty i cząstki metaliczne, ale w małej ilości; dla czego nie mają potrzebnej wagi, albo jak rzemieślnicy mówią, gruntwagi, i ciężko im się ostać na miejscu. Chcąc zaś temu niedostatkowi zapobiedz, obciążają się rozmaitemi kruszcami lub kamieniami bardzo rozmaitym sposobem. Wieszają je przy

uszach, wieszają na szyi, rozkładają po głowie, noszą na palcach i na piersiach; noszą przy workach i woreczkach, opasują się niemi, niemi nadziewają i szpikują swoje ubiory. Dla tej samej przyczyny kruszec łatwo je niekiedy pociąga, i pochylają się w tę stronę gdzie go jest wiele. Wasi teraźniejsi niby-mędrcy nazywają to pociągiem, cale nie najlepiej, bo my to dawniej nazywaliśmy popolsku: powabem albo ponętą.

Mężczyźni przeciwnie, mając w sobie części grube i ciężkie, skłonni są do siedzenia kamieniem na miejscu, i dlatego żadnych nie oszczędzają zabiegów, żeby mogli siedzieć za stołem suknem jakiém pokrytym. A jeżeli za takim stołem siedzą poważnie po kilka lub kilkanaście godzin, zdaje się im, iż są w prawdziwym swoim elemencie; choć, prawdę mówiąc, daje im to pewien rodzaj choroby, która się u doktorów nazywa odęciem, a u nas nadęciem; bo ich to nieznośnie napusza, a podług części która się wydyma najmocniej, jedni zadzierają nos, drudzy brodę; a inni tak wysoko patrzą w niebo, że na ziemi nikogo nie widzą. Nie są oni pociągani od kruszców, ale spoglądają na nie jako na część swojej istoty, a zatem garną do siebie i zabierają gdzie znajdą, jako własne swoje ciało. Mało zaś mając cząstek zapalnych, przenikliwych i lotnych, ubiegają się mocno za niemi. Cząstki te mają dla nich wielkie powaby; a dla nasycenia niemi własnych cząstek grubych, ciężkich i niepalnych, tudzież dla nadania im tym sposobem więcej ruchawości i przenikliwości, leją je w siebie a leją. Dlatego zazwyczaj siedząc za stołem, każą sobie takie lotne i zapalne części przynosić w butelkach,

a lejąc do szklanek lub kieliszków, dla prędszego przelania w siebie, połykają z wielką chciwością i smakiem. Nie są wprawdzie te płyny naszą tinkturą, ale jej mają cokolwiek w sobie; dlaczego je połykamy za zdrowie, na zdrowie, lub dla strawności. Tak, mój synu! każda rzecz ma swoję naukową przyczynę, i widzisz: że mężczyźni niedarmo lubią puncz, rum i wódkę, którą wynaleźli alchemicy, i wynaleźli na zdrowie ubogich i chłopków; na zdrowie i pożytek panów, a na pociechę i życie poczciwych arendarzy. Bo któż nie widzi? że to jest po części filozoficzny kamień, co im daje złoto i życie; że to jest żywioł, bez którego zginąćby im przyszło, jak rybom bez wody lub ptakom bez powietrza. Dlatego ją sprawiedliwie dawniejsi uczeni wodą żywotną, aqua vitaé, nazywali, myśląc zaraz i wiedząc, że naszym Izraelitom posłuży do życia i bytu dobrego".

Dobrze to jest, mistrzu uczony, odezwał się uczeń z pokorą; ale tak, ludzi nawet, rozbierając na elementa i cząstki, wypadałoby, że ich też tworzyć sztuką alchemiczną można.

„Ani wątpić, mój synu, odpowiedział mędrzec w zapale. Najgłębsi mistrze naszej nauki posiadali tę sztukę, a opatrzeni należytą ufnością i wiarą widzieli na własne oczy. — Oto Amatus Lusitanus, nieposzlakowany autor, upewnia, iż sam widział człowieczka mającego cal wielkości i (snadź, żeby nie uciekł), zamkniętego w słoju, którego sztuką alchemiczną zrobił Juliusz Camillus. Czy może być doświadczenie oczywistsze i pewniejsze?— Patrz więc, mój synu, jakiegoto potrzeba zaślepienia, żeby tak oczywistym rzeczom nie wierzyć? — Albożto i teraz

nie widzimy ludzi rodzących się w oczach naszych z niczego i wyłażących nakształt molów z mąki lub ze stósa zbutwiałych szpargałów. Wszakże patryarcha nasz, Paracels, uczy jak robić te małe człowieczęta i wszystkim usposobionym dowiódł: że Pigmejczykowie, Nimfy, Fauny i Satyry były utworzone przez alchemików; chociaż motłoch wasz literacki rozumie, że to była dziatwa poetów".

Najgruntowniej wszystkiego dowodzisz, mistrzu niezrównany, zawołał uczeń, i trzeba być ostatnim nieukiem, żeby się o tem nie przekonać; trzeba być prześladowcą wielkich gieniuszów, żeby przeciwko tak czystej nauce powstawać!

„Prawdziwym elementem, mówił dalej nauczyciel poważny; owszem istotą filozoficznego kamienia, który daje bogactwa, zdrowie i życie do woli, jest samo złoto, jak mówi nasz uczony Michał Sędziwoj [1], w dziesiątym traktacie swojej alchemii [2] w te słowa: „Filozoficzny kamień, albo tinktura, nic innego nie jest, jak złoto do najwyższego stopnia wygotowane" [3]. Oprócz tego najgłębsi starożytni mędrcy odkryli, przekonali się i dowiedli, że złoto

---

[1]) Michał Sędziwoj (1553—1634) — Alchemik Polski. (P. W.).

[2]) Ob. Novum lumen chemicum Michaëlis Sendivogii.

[3]) Wyraz chemiczny, digestum, można tłumaczyć przez wygotowanie, wysmażenie, albo wystanie się. Możnaby więc tę myśl oddać przez wyraz złota zupełnie wystałego albo dojrzałego. Zdaje się, że w kufrach skępców powinno być bardzo wystałe, i ktoby się do nich dobrać potrafił, możeby tam znalazł filozoficzny kamień. U naszych paniczów nigdy się złoto nie wystoi, a i u nas ciężko mu się ostać. Owoż przyczyna oczywista, dlaczego nie możemy zrobić kamienia.

jest elementem, nie tylko metalów, ale wszystkich a wszystkich rzeczy. Tojest: że jak głęboki alchemik może z każdej rzeczy zrobić złoto, tak nawzajem, ze złota robi się wszystko i wszystko z niego powstaje. Złoto więc, jako powszechny element, jest wszędzie i w każdej rzeczy; przez nie wszystko jest, co jest, a bez niego nicby nie było. My nawet ludzie mamy ten element w sobie, a to do takiego stopnia, że niejeden jest człowiekiem przez samo złoto; tak jak nawzajem kruszec ten z ludzi się wydobywa i nimi wyrabia. Przezorna natura sama wlała w człowieka mocne i wyraźne czucie, że to jest jego żywioł prawdziwy, bo się od wieków za nim ubiega najwięcej, i najwięcej je szanuje. Dzisiejsi mędrcy wasi nie rozumiejąc języka przyrodzenia, nie poznali się na tej oczywistej skazówce i zatrudniają się szukaniem nie wiedzieć jakich żywiołów, które w oczach prawdziwych filozofów żadnej nie mają wagi. Unieśli się oni za pozorami mądrości i zboczyli z czystej drogi prawdy; za to alchemija przeniosła się do rozumniejszych i śmielszych, a prawdziwa filozofija zupełnie wypędzona ze szkół. Widzisz tedy, mój synu, że filozoficzny kamień dla tego tak jest do zrobienia trudny, że nie tylko złoto z niego, ale i on się robi ze złota; a zatem, kto tego ostatniego nie ma, nigdy się go robić nie nauczy, i, chcąc nie chcąc, musi chorować, a nareszcie i umierać“.

Zdaje się więc, mistrzu szanowny, odezwał się uczeń z pokorą, że filozoficzny kamień nie co innego jest jak samo złoto.

„Tak, mój synu, odpowiedział mędrzec, zgadujesz po części; jestto złoto i nie jest, podług tego

jak nam wypadnie; bo w naukach naszego rodzaju trzeba sobie, jak widzisz, zawsze zostawić fórtkę do ucieczki. Jestto złoto ale nie owo pospolite, jakie znasz w holenderskich dukatach; ale najczystsze, najdoskonalsze, kwiat i piąta treść złota; słowem: złoto nad złotami, jakiegoś ani ty nigdy nie widział, ani żadne nieczyste oko nie zobaczy. Dać mu tę pożądaną czystość i wartość, to jest nauka, to sęk, to filozoficzny kamień. Otóż ta nauka jest przy nas, a zatem kto ma złoto niech je przynosi, a my je przeczyścimy jak należy.—Dawniejsi filozofowie nazwali je nasieniem, albo owocem złota; i aby ten owoc, ten płód najdroższy, mogło wydać z siebie, sprawili mu wesele i dali za małżonkę srebro, merkurego za swata, a siebie ofiarowali za kumów [1]. Czytaj, mój synu, uczone starożytne księgi, dla wyczerpania z nich tej głębokiej mądrości; ale nie czytaj nic co piszą dzisiejsi mniemani uczeni. Nie przestawaj nawet, jak tylko z mędrcami naszego wyznania".—Ale jakże ich poznać? odezwał się uczeń. „Oto z ich postępków i mowy poznasz ich, abyś tylko dobrze uważał. Ci, co są uczeni bez nauki, a tę naukę sami wynoszą i chwalą; co jej udzielają pod największym sekretem, albo sposobem niezwyczajnym i niepojętym; co nie idą pospolitemi ludziom drogami, ale się zagłębiają w tajemnice i skrytości, co doświadczenia swoje robią potajemnie, lub pod pewnemi tylko warunkami przypuszczają do nich pewną liczbę wybranych; co je tylko sami jedni robić umieją, dla tego, że mają na to szczegól-

---

[1]) Ob. wyżéj zachwalone dzieło naszego Sędziwoja.

ny od natury przywilej; albo że udanie się tych doświadczeń, trudnych i wielu wymaga warunków; co mówią językiem nieludzkim i niezrozumiałym dla drugich; co wszystko obiecują i wszystkiego dokazać mogą; co przypisując sobie więcej nad ludzi chełpią się z wiadomościami przechodzącemi pojęcie, lub oburzającemi tak nazwany rozsądek; co się sami wszelkiemi godziwemi i niegodziwemi sposobami starają o naśladowców, uczniów i stronników; co sami nastręczają i gwałtem ofiarują swoję posługę i pomoc; co nigdy nie wypuszczają z ust wielkich imion dobra publicznego, dobra ludzkości, cnoty i oświaty: to są nasi mędry, tych się trzymaj, a będzie ci dobrze".

Być to może, rzekł zadziwiony nieco uczeń, ale takich nazywają powszechnie u nas Szarlatanami.— „Otóż, niegodziwi tylko i nierozumni tak ich nazywają; odpowiedział mędrzec z uniesieniem. Jeden tylko nieuważny i płochy naród w Europie, nadał im to imie; może dla tego, że ten rodzaj nauki u niego się zajął najmocniej i najwięcej rozkrzewił. Inne przecie rozsądniejsze narody nie mają tego wyrazu i pożyczają go u Francuzów, co samo dowodzi, że to jest wyraz nie do rzeczy. A wreszcie, mój synu, nie uważajmy na to, jak nas nazywają i za jakich nas mają, aby nam było dobrze. A ponieważ się zdarzało, że prawdziwie wielkich i zasłużonych ludzi prześladowano; więc zastosujmy to do siebie i dowodźmy przez to samo wszystkim a wszystkim, żeśmy wielcy ludzie, i kwita.

XXXVII

Posiedzenie przy kominku [1]).

Chwalili niektórzy pisarze kominek z tego względu, że ludzi około siebie zgromadza; a tym sposobem daje pochop do zabawnej, pożytecznej, a czasem i uczonej rozmowy. Ja rozumiem, że jako, podług zdania uczonych, każda rzecz ma swoję dobrą i złą stronę; tak i kominek wart jest z niektórych względów pochwały, wart nagany z innych. Nie lubię ja jego z dwóch przyczyn: że daje słabym piersiom czasem niebezpieczne katary, a słabym głowom pochop do bredzenia i obmowy. Nie wiele ich też jest u nas, bo je zastąpiły piece opalane z pokoju. W pozostałych atoli staroświeckich domach mało widać pieców, a wiele kominków, przy których w szubach zasiadłszy przodkowie nasi, popijali niekiedy ciepłe piwo, ale częściej wino węgierskie i radzili, jak wypędzić z kraju Tatarów lub Turków; jak dokazywać na trybunałach; jak sąsiadom wioski zajeżdżać, a sejmy i sejmiki zrywać. Nie wiem tylko co radziły nieoszacowane nasze prababki i pra-pra-babki; i czy do tych posiedzeń kominkowych należały wspólnie z mężami, czyli też osobne składaly sesye w Jejmościnym pokoju. Jest to wina naszych historyków, którzy przez niedbałość nic o tem nie piszą. Ci Ichmoście szastają się tylko po stolicach i wielkich gabinetach, albo po placach potyczek, bardzo nieuważnie: bo przy kominku, przy stoliku z butelką lub kuflem; bo przy fili-

---

[1]) Wiadomości Brukowe Nr 216 z dn. 22 stycznia 1821 r. str. 13—20 (P. W.)

żance herbaty, kojarzą się niekiedy ważniejsze związki i rozstrzygają większe sprawy, jak w gabinetach lub na placu najwalniejszych bitew.

Jabym rozumiał — bo wszakże historya jest właśnie polem domysłów; jabym mówię rozumiał, jako historyk, że zgromadzone w Jejmościnym pokoju około kominka poważne matrony, rozprawiały o strachach, upiorach, opętanych i eksorcystach; i że każda uczona antecessorka nasza przytaczała własne postrzeżenia, doświadczenia i teorye (w dobrej polszczyznie: Widzi-mi-się) w tej pięknej umiejętności, która z wielką szkodą dla nauk, poloru i oświecenia powszechnego zaginęła, albo raczej wyszła na czas z mody. Na takichto posiedzeniach uczonych, można się było nasłuchać, jak ta lub owa czarownica nasłała sąsiada lub sąsiadkę nieuleczoną chorobą, jak sprowadziła zarazę na cielęta lub ptactwo domowe; jak samem spojrzeniem czyli urokiem odejmowała krowom mleko; morzyła zarodki w jajach, nie dała zbić się śmietanie; jak się przemieniła w wilczycę; jak i kiedy latała na Łysą górę; jakie tam bywały wspaniałe uczty, jakie bale i reduty? Nakoniec, jak została schwytana szczęśliwie i przekonana o czary przez świadków oczywistych, którzy wszystkie te figle czartowskie widzieli na własne oczy i przysięgali na nie; a to przed mądrym i nader sprawiedliwym sądem, który uważając, że obżałowanej źle z oczu patrzy, kazał ją pławić publicznie; a widząc iż jest od wody gatunkowo lżejsza i tonąć nie może, postanowił, że ma w sobie nieczystego ducha. A przeto czasem w obecności JX. plebana i licznego a bardzo światłego zgromadzenia, w przytomności wójta i całego magi-

stratu niby pacanowskiego, z powszechnem ukontentowaniem prowincyi, około ś. Jana szczęśliwie spaloną została; poczem zaraz deszcz padał. Powiedz kochany czytelniku, jakto nie żałować owych szczęśliwych czasów; jak nie żałować tak pięknej umiejętności mistycznej, która poszła w niepamięć. Ale ma każdy wiek swoje zalety; ma i nasz swoje nauczki warte opętanych i pławionych czarownic; będą i nas następcy uwielbiać; będą się dziwić prawdziwej mądrości naszej. Ale niepięknie samym się chwalić, a pismu temu niewłaściwa i nie przystoi wdawać się w umiejętności dokładne: więc pójdźmy do teraźniejszego kominka.

Ciężko jest u nas, czytelniku, zastać towarzystwo wieczorne około kominka; obsiadamy pospolicie stolik z herbatą; bo już i kawa wyszła z mody; ale mój poczciwy Strukczaszy trzyma się jeszcze wielu staroświeckich zwyczajów. Zaszedłszy do niego wieczorem podczas ostatnich mrozów, zastałem siedzącego przy kominku w towarzystwie trzech osób i żwawą zajętego rozmową. „Wyśmienicie, odezwał się starzec, w sam czas WPan przychodzisz: my tu mamy bardzo ważną rozprawę; powiesz też nam i WPan swoje zdanie. Oto P. marszałek ma kilku synów; chciałby im dać jaknajlepsze wychowanie i właśnie o tem rozmawiał z nami. Naturalnie, z nas każdy po swojemu radzi; bo każdyby rad wychowywał drugich na swoje kopyto, to jest na to, czem sam jest; nie prawdaż Mospanie? Wszak żołnierz radby widział samych żołnierzy, a mnich swego zakonu mnichów“.

„Nie zawsze to prawda, odpowiedziałem. Takie dobre życzenie bliźniemu, rozciąga się tylko do

professyj nie bardzo zyskownych; ale gdyby powołanie ciągnęło za sobą znaczne korzyści, widziałbyś WPan cale inny obrot filantropii. Ja uważam, że człowiek przez wrodzoną dobroć serca na to najwięcej drugich namawia, na czem się sam zawiódł, i od czegoby pewno uciekał, gdyby mu się wstecz cofnąć można. Wielużto ja znam mężów, którzy niezmiernie zachwalają stan małżeński, a jak mogą uciekają z domu i radziby poświęcili wszystko dla wykupienia się od towarzystwa ulubionej małżonki".

„Porzuć WPan tę złośliwą satyrę, odezwał się Strukczaszy; żony, tak jak mężowie, są złe i dobre, a małżeństwa są potrzebne i powinny być święte. Ale oto P. marszałek przyjechał szukać dla swoich dzieci guwernera; czy nie mógłbyś WPan nastręczyć mu kogo?

„Nie, odpowiedziałem, ja się na takim towarze nie znam; ale zacóż ich P. marszałek nie oddaje do szkół?

„Takem i ja radził, odezwał się P. sędzia. Oto moje chłopcy chodzą, jeden do trzeciej a drugi do czwartej klasy; aż miło patrzeć jak się na egzaminach popisują. A czego te chłopcy nie umieją? Wszakto ja, proszę WPana, w Połocku ani w Retoryce, ani na Filozofii o tem nie słyszałem, co oni teraz prawią. A przecieżto i my, Mospanie, mieliśmy professorów tęgich. Tylko że u nas daleko była większa karność. Chłopiec idąc do kościoła albo do szkoły, drżał jak listek; a professor wziąwszy w szkole erratę w ręce, palił w skórę, aż się echo po korytarzu rozlegało. Teraz, proszę WPana, nie wiem po jakiemu się to dzieje, ale coś nie bardzo biją, a chłopcy się uczą. Kilka razy sam umyśl-

nie przez gimnazyum to tam to sam przechodziłem, ażali nie posłyszę owego dobrze mi znajomego *plask... plask... plask...* albo głosu którego z moich synów, *aj Revenderissime!*—jakiegośmy się dawniej o pół wiorsty od szkoły nasłuchać mogli.

X. Wikary. I to bardzo było dobrze mój Jegomość!—Za to dawniej dzieci były skromniejsze i uczyły się pięknej łaciny, aż miło wspomnieć jak pomiędzy sobą rozmawiały; jak im potem na Palestrze i do promocyi służyła. — Formowali się też ludzie, mój Jegomość. Tacy to młodzieńcy napełniali dwory i *subsellia*; zasilali nowicyaty; tędzy byli łacinnicy i juryści. A teraz co? Dawniej chłopiec wychodząc ze szkół, umiał Alwar na pamięć; można mu było zadać jaką chcesz *lokucyą*; a teraz, mój Jegomość, czytająto oni niby Cycerona, ale wyrwij ich z czegokolwiek i spytaj *per quam regulam*? żaden nie powie. Naco mi, mój Jegomość, taka edukacya?

P. *Marszałek.* Mniejsza o to, Mości Dobrodzieju!—Ale czyż można, żeby dzieci naszego urodzenia pospolitowały się z chłopstwem i hołotą. A przecież w szkołach publicznych tak jest i tak być musi. Któżbyto np. ścierpiał z panów, żeby mój syn siedział na jednej ławie z szewcem albo krawcem? albo, co jeszcze gorzej, żeby ich sadzano wyżej, lub na końcu roku chwalono w gazetach, nic nie wspominając o moich dzieciach?— Ja przyznam się Panom (tu marszałek wstał i potrącił stołek), oh!... przyznam się panom, żebym ja tego nie ścierpiał. Ja nie pojmuję, jaka może być zapamiętałość rodziców naszego stanu, którzy dzieci swoich nie umieją szanować? Chwała Bogu, że przecie nie-

które dzieci znają się lepiej na sobie. Oto brat mój, P. podkomorzy, oddał był swego *Antosia* do pierwszej klasy; ale to chłopiec z honorem. Oh! przyznam się Panom, że ciężko widzieć więcej punktu honoru w młodym człowieku! — Na trzeci tydzień uciekł do domu i wprost oświadczył ojcu, że się on z szewcami razem uczyć nie będzie. Mój brat, podkomorzy, niezmiernie się gniewał, a jam się śmiał do rozpuku. O, to będzie człowiek!—Teraz w dwódziestym roku już jest sędzią; a tak dobrze ze szlachtą zapija, że na przyszłych, da Bóg, sejmikach, jeżeli nie zostanie marszałkiem, to pewno podkomorzym.

P. Strukczaszy. Wstydź się Panie marszałku z takiemi wyjeżdżać zdaniami. A jakiżto będzie z niego urzędnik?—Gdzież się on nauczył prawa albo sądownictwa? Przez co mógł uformować zdanie i tak potrzebny sędziemu rozsądek?—Czy nie lepiéjby było dla powiatu, czy nie chwalebniéj dla niego, odbyć jak należy szkoły i pochodzić na prawo? — Przyznam się WPanu, że takie zdania są zabytkiem dawnego nieoświecenia i dzikości. Cóżbyto szkodziło synom WPana siedzieć w szkole obok szewca lub krawca? wszakby się dlatego nie zarazili rzemiosłami, które WPan tak niesprawiedliwie masz w pogardzie. Bo nie wiem, mówiąc między nami, zacoby się kto miał wstydzić, że umie jakiś pożyteczny kunszt, lub jakieś pożyteczne rzemiosło. Nie jestżeto wstydzić się być na coś przydatnym i pożytecznym w towarzystwie?—Wierz mi WPan, Panie marszałku, głupstwo tylko i złe uczynki wstydzić nas powinny; a ja, proszę mi darować, więcej poważam pożytecznego rzemieślnika, aniżeli trzpio-

ta lub głupca, który się nadyma i drugich poniżać usiłuje dla tego, że wlazł na jakieś rozłożyste genealogiczne drzewo, choć jego postępki czego innego są warte. Lepiéj WPan podobno usłużysz krajowi i swoim synom, kiedy ich oddasz do szkół.

P. Marszałek. (z gniewem). Ot to!... Proszę uniżenie... Wstydź się WPan, Panie Strukczaszy!... Nie spodziewałem się takich zdań od WPana. Przecież WPan sam jesteś dobrze urodzony, a tak chcesz nasz stan poniżać. Jabym miał synów moich do szkół oddawać? Jabym pozwolił, żeby na nich włożono studencki mundurek, który i miejskie noszą chłopcy!—A, to zgroza wspomnieć!—Na tożto wymyślono ten mundurek, żeby nasze obywatelskie dzieci poniżać! Oj nie!... ja tego nigdy nie uczynię.

X. Wikary (do Strukczaszego). Nie, mój Jegomość. Bo widzisz Jegomość, że w teraźniejszych publicznych szkołach jest zbiór i mieszanina rozmaitéj hołoty. Wszakto fuj do licha! już i żydzięta tam zaczynają wprowadzać. Ta zgraja jest pospolicie nieobyczajna, rozpustna i zepsuta... a zatém, widzisz Jegomość, że się przez to delikatni i grzecznie wychowani panicze gorszyć i psuć mogą. — Boto, widzisz Jegomość, póki była groza, póki był rygor, póki za każde szepnienie, rozśmianie się, albo inny psi figiel, palono na pieńku po dwadzieścia albo i więcej, to cale było co innego. Wtenczas panicze, widzisz Jegomość, w osobnych siedzieli ławkach i nigdy się z niższego stanu dziećmi nie wdawali; nigdy z niemi w szkole do czynienia nie mieli; wyjąwszy kiedy czasem *Reverendissimus* pozwolił paniczowi, dla uciechy i wprawy, wyrznąć rozciągnionemu na pieńku plebeuszowi pięć albo dzie-

sięć. Otóż widzisz Jegomość, gdyby takie były szkoły publiczne, to co innego; tobym ja sam radził JW. marszałkowi, oddać paniczów do klas. Ale teraz, widzisz Jegomość, nie ma dla paniąt osobnych ławek, nie ma żadnej dystynkcyi; wolno lada komu panicza poprawiać; a to wstyd dla krwi pańskiej.

P. Strukczaszy. Otóż właśnie tego i potrzeba. Właśnie prostakowi prędzej ujdzie kiedy nic nie umie, bo ma mniej sposobów nabycia nauki; ale człowiek, jak WPaństwo powiadacie, dobrze urodzony, ale panicz, a zatem, jeżeli, ja ten wyraz należycie rozumiem, majętny, występnym jest i bardzo występnym, jeżeli mogąc być człowiekiem woli pozostać bydlęciem; jeżeli, ufając w majątek, ma naukę za niepotrzebną i jak nietoperz ucieka od światła. Takich zawstydzać, wyśmiewać, poniżać należy. I dobrze, właśnie to w publicznych szkołach jest dobrze, to stanowi ich najwalniejszą zaletę; że ów w puchu wychowany pieszczoch, który się panięciem nazywa, jeżeli ma wstyd w oczach, jeżeli ma jakiekolwiek czucie honoru, nie ucieka ze szkół, żeby, jak WPana Antoś (obracając się do P. marszałka), nie siedział obok szewca, ale się stara lepiej od niego uczyć, bo ma do tego daleko więcej pomocy. A jeżeli, pomimo jego sposobności i pracy, szewc jak na złość lepiej się uczy; to się go panicz rad nie rad nauczy szanować; to się wcześnie przekona: że są na świecie talenta, których to, co WPanowie urodzeniem nazywacie, nie daje, że te talenta są rzetelnym ludzi zaszczytem, tem bardziej, że nie są darem ślepego losu, podstępu, ani ludzkich względów, ale darem Opatrzności; że talenta stanowią sławę i szczęście nietylko osób, ale pokoleń i ludów; a zatem, że je

narodowa społeczność, tak jak zwierzchność szkolna, na pierwszym powinna mieć względzie. Wierz mi, Mospanie marszałku, choćby się Wpana dzieci nic w szkołach nie nauczyły, tedy samo przekonanie się o tej prawdzie, już będzie dla nich wielką i bardzo pożyteczną nauką.

P. Marszałek. A!—dziękuję ja WPanu za taką naukę! Jakto!—moje dzieci mają się w szkołach uczyć szanować ludzi podłych, motłoch, hołotę, albo chamów swoich poddanych. Oj nie Dobrodzieju! ja na to nigdy nie pozwolę. Wolę, niech o żadnych szkołach nie słyszą, niech nigdy nic a nic, nawet czytać nie umieją.

P. Strukczaszy. Więc WPan jesteś wyraźnym nieprzyjacielem światła i nauki. Jeżeli tak, pocóż szukasz dla synów nauczyciela, czy tam guwernera?

P. Marszałek. Jakże nie szukać? — Szukam najprzód dla tego, że ludzie mojego stanu powinni mieć guwernera w domu. Owszem, jeżeli nie będzie drogi, wezmę francuza, bo to jest przyzwoicie i dostojnie mieć pana l'abbé, który przy stole cały czas gada po francuzku, a w domu wszystko urządza. Powtóre, chcę, żeby moi synowie mieli światło i naukę, ale naukę przyzwoitą swojemu urodzeniu; a razem chcę, żeby jej nabywali bez poniżenia swego stanu. Jeżeli nie dostanę francuza, wezmę nakoniec jakiego młodzika z WPaństwa akademii, ale tym będę ja sam rządził. U mnie w domu, guwerner jest moim sługą i musi tak uczyć jak ja każę. Musi moje dzieci szanować, przez co się przecie przekonają nieznacznie, że ta hołóta, która się naukami bawi, musi nam panom służyć, a zatem, że kto się chce wynieść i uzacnić, to nie przez nauki i książki do

tego dążyć powinien. Otóż podług mnie, gdyby się nic więcéj nie nauczyli, to i tego dosyć, i dlatego samego wychowanie tylko domowe jest dobre, a publiczne szkodliwe. Nakoniec, mając nauczycieli w domu, sam przepisuję, czego się chłopcy mają uczyć, a zatém nie dopuszczę, żeby sobie łamali głowy nad niepotrzebnemi rzeczami.

P. Sędzia. Ha! ha! ha! ja rozumiałem, Panie marszałku, że nie zawadzi jak najwięcéj umiéć. Ale przepraszam. Nie jestem ja wprawdzie człowiekiem uczonym, ale pierwszy raz słyszę, żeby się nauki dla młodzi podług urodzenia dzieliły. Proszę WPana, czegóżbyś przecie kazał uczyć swoich synów, i jakie to są nauki dla PP. marszałkowiczów, a jakie dla biednych moich sędziców?

P. Marszałek (z gniewem). Jużci nie tego ich będę uczył, czego uczą w klasach WPana dzieci. Ciekawy jestem, na co im się to wszystko przyda, kiedy wyjdą ze szkół, i czy w kompanii lub na sejmikach, lepiej się wydadzą od moich.

P. Sędzia. Jabym rozumiał, że lepiej.

P. Marszałek. Zapewne — Popisywać się będą z matematyką albo fizyką, z greczyzną albo łaciną, i tym podobnemi bredniami.

X. Wikary. Ah! mój Jegomość, łacina bardzo jest potrzebna; ale upewniam, że się jéj nikt bez Alwara nie nauczy. Dlatego ja zawsze jestem za przywróceniem go do szkół; póki tego nie będzie, nic nie będzie.

P. Marszałek. To uprzedzenie; to przesąd; to nazywa się próżnym mozołem. Moi synowie nauczą się tańcować, fechtować, konno jeździć, grać i śpiewać, bo to młodego kawalera najlepiej układa i zdo-

bi: to go robi w towarzystwach przyjemnym. Dotego, nauczą się cokolwiek pofrancuzku żeby rozmawiali z damami, i żeby przecie pokazali w kompanii, że są dobrze wychowani. Wreszcie, jeżeli się WPaństwu podoba, nauczą się trochę rysować i cokolwiek geografii i historyi, chociaż i to niekoniecznie, bo ani ja, ani brat mój P. podkomorzy, caleśmy się tego nie uczyli, a dlatego mamy swoje znaczenie w wszystkich towarzystwach i odbywamy w powiecie wszystkie urzędy.

Ja. Wyśmienicie.—A nacóż P. marszałku potrzebujesz guwernera? naco nauczycieli?—Weź pierwszego, co na ulicy spotkasz, francuza, a on ich tego wszystkiego nauczy.

P. Marszałek. Dobrze, ale nie dosyć francuza, ja chcę człowieka z nauką.

Ja. Nasi francuzi wszyscy wszystko umieją. Nie będzie to wszakże edukcya nowa, a ja powinszuję i takiego nauczyciela i takich synów.

Strukczaszy, Oj Mospanie, tenżeto rodzaj edukacyi nas poczęści zgubił; ten nas wystawił na pośmiewisko cudzoziemców, którzy nas mają za ludzi bez mózgu i do niczego niezdatnych. I w rzeczy samej, poradź się WPan własnego rozsądku i sumienia, na co tak wychowany młodzik przydać się może?

Ja. Ale bo widzisz Panie Strukczaszy, P. marszałkowi idzie o to, żeby się synowie jego dobrze w kompanijach wydawali, a mianowicie żeby się podobali damom. Jest to umiejętność bardzo wielka i trudna; i przyznam się Wpaństwu, że bez francuzów i umyślnej nauki, nigdyby tego nasza młodzież nie umiała. Nasze damy mają smak delikatny, lubią francuskich kucharzy, pokojowców, guwernerów, i

młodzież francuską; i dla nichto trzeba było sprowadzić z tamtąd ubiór, mody, książki, obyczaje, wychowanie i cały układ naszej młodzieży. W szkołach, gdzie ledwo jest metr francuskiego języka, nigdyby tego nie dokazali. Tam się wychowuje młodzież dla kraju, a nie dla dam wyższego tonu.—P. marszałek ma zamiar prawdziwie wyniosły, chce sposobić dzieci do sprawy miłości.

P. Strukczaszy. Daj Wpan pokój żartom, gdzie idzie o rzecz tak ważną. Gdybyś P. marszałku synom swoim i po kilka milionów zostawił, toby się im wszelako zdały rozum i nauka, a nadewszystko zdałby się im rozsądek i, tak dziś rzadkie, zdrowe o rzeczach zdanie. Pozwalam ja, że tego sama nauka nie da, komu nic nie dała natura; ależ sama tylko nauka wydobędzie je i uprawi, a doświadczenie utwierdzi. Spodziewam się zaś, że mi Wpan przynajmniéj to przyznasz, że rozum i rozsądek są na coś potrzebne, że się w każdym stanie przydadzą. Ale P. marszałku, powiedzmy sobie prawdę: Wpana synowie panami nie będą; będą zapewne musieli zająć się jakąś służbą publiczną; nie pojadą do Francyi, ale żyć będą z nami; więc nie tylko nauka, ale i nasze obyczaje i nasza przyjaźń i pomoc będą im potrzebne. Zacóż ich Wpan więc chcesz hodować na cudzoziemców? Przecież w szkołach publicznych wezmą wychowanie takie, które ich do jakiegokolwiek bądź stanu usposobi, a wychowają się po naszemu i dla nas; wychowają się ze swoimi współziomkami, z którymi mają resztę życia przepędzić; zabiorą z nimi nierozerwaną przyjaźń, która im będzie daleko potrzebniejsza, aniżeli przyjaźń zagranicznego zbiega, którego będą musieli karmić. Jeżeli

więc WPan nie dbasz o to, żebyś wychował synów dla kraju i dla nas, to ich lepiej wywieź za granicę i tam chowaj na francuzów; to im zakaż mówić językiem ojczystym; owszem przykaż, żeby się w każdéj podanéj okazyi wyparli swego narodu, żeby się z niego naśmiewali i samym cudzoziemcom wpajali dla nas pogardę. Wtenczas będziesz całą gębą magnatem, wtenczas synowie Wpana mogą spoglądać na nas, jako na istoty niższe, stworzone tylko na ich intratę.

P. Marzzałek. Ale fe! Panie Strukczaszy; czyż ja to mówię, albo czy ja tego chcę?

P. Strukczaszy. Jeżeli nie, tedy pozwól sobie Wpan powiedzieć, że sam nie wiesz czego chcesz, i że dła tego tylko synów swoich trybem panów naszych hodować myślisz, żebyś sam rad uchodził za pana. Obchodzą Wpana, jak uważam, sejmiki, a pocóż tam Wpana synowie pojadą, kiedy nikogo znać nie będą, i kiedy może i naszego języka nie będą umieli.

P. Marszałek. Przepraszam, języka nauczą się od matki, i odemnie, a z obywatelami ja im znajomości porobię. Z nimi żyć będą tyle, ile ich potrzebować mogą, to jest: objadą ich raz we trzy lata, i na sejmikach wszystkich uprzejmie całować i ściskać będą od serca. Po sejmikach, to co innego. W szkołach się zaś nie będą pospolitować i szarzać, ani się od nieobyczajnego prostactwa nie zepsują i złych nie nabiorą nałogów.

Ja. Jeżeli P. marszałek pozwoli, zróbię mu jednę uwagę, tojest: że tym sposobem się ucząc narodowego języka, nigdy go umieć nie będą. Że albowiem ta umiejętność wymaga daleko więcej nad

pospolitą naukę, łatwo się przekonać w naszych towarzystwach, gdzie ledwo dziesiąty umie swój język; a jeszcze łatwiéj w pismach i drukach, bo dziś ledwie którą książkę, a mianowicie ledwo które peryodyczne pismo bez zgrozy i gniewu w rękę wziąść można; tak wszędzie jest pokaleczony język, tak znieważona gramatyka, i tak styl wymuszony a niesmaczny. Smiém więc P. marszałkowi przepowiedzieć, że jego synowie, podług dawno przyjętego u nas zwyczaju, mowy na sejmiki kupować będą.

P. Strukczaszy. Tak, będą kupowali aby było za co. Ale P. marszałek mocno się boi, aby jego synowie nie zepsuli się w szkołach i złych nie nanabrali nałogów. Na to krótko odpowiem. Oprócz P. marszałka, podobnośmy wszyscy chodzili do szkół i wiemy co się tam dzieje. Złe nałogi lub obyczaje zepsute nie w szkołach się nabywają, ale przywożą z domu; bo w szkołach niemia nianiek ni kobiet w garderobie i sypialnym Jéjmościnym pokoju; niema służalców w stajni i przedpokoju, gdzie panięta biorą pierwsze lekcye złego; niéma babki lub matki którąby pieściła, ani przykładu papy i jego przyjaciół. Proszę mi, P. marszałku, odpowiedzieć: pić i grać w karty; pieniać się z spokojnymi sąsiadami; dokumenta fałszować; najmować niegodziwych świadków na zgubę cudzą; obdzierać sieroty z majątku; ciemiężyć osierociałe wdowy; dać się przekupować na urzędzie; czy się nasza młodzież uczy w szkołach, czy w domu? Zkąd bierze przykłady? gdzie znajduje te piękne wzory? Wstyd mię, Mospanie marszałku, że w tak oczywistej rzeczy przekonywać WPana muszę.

X. Wikary. Tak mój Jegomość. Ale widzisz

Jegomość, teraźniejsza nasza młodzież, która wychodzi ze szkół, jest coś naksztalt niedowarzonéj. Bo widzisz Jegomość, tak jest gadatliwa i nadstawna, że nam starszym i gęby otworzyć nie da, ale prawi a prawi o wszystkiem, a prawdę mówiąc, trochę niedorzeczy. Potém, widzisz Jegomość, oni wszyscy od razu uczeni, i albo jeszcze w szkołach autorami zostają, albo strach jak o autorach rozprawiają. Sam widziałem, jak wielkie i pięknie drukowane książki wyśmiewali. Za naszych czasów cale było co innego. Niechby tylko który student pod wąsem odważył się był starszemu, albo profesorowi powiedzieć: Nie, albo nieumiejętność zarzucić, ah! mój Jegomość, wszakby on był z pod plag nie wstał. Nie... mój Jegomość, jużto próżno!... mów Jegomość co chcesz, a ja mówię że groza potrzebna.

Ja. Dobrze mówisz, Xięże Wikary, takim paniczom potrzebna jest groza, i bardzo potrzebna. Ale najprzód wybacz, że się czasem z wielkich i pięknie drukowanych książek śmieją, może to być poniekąd i słusznie; a jeżeli niektórzy w rzeczy saméj zbyt rozumieją o sobie i śmiało sądzą o rzeczach których nie znają, może to być wada wieku, lub wina nie szkół, ale samych rodziców. Oddają dziś do szkół dzieci ledwie nie w pieluchach, a przynajmniej takie, które jeszcze potrzebują długiéj staranności rodziców; radziby je przez klasy w cwał popędzili; a więc dziećmi odbierają ze szkół i albo zaraz puszczają na świat; albo zajmują pracą taką, jakiej siły młodzika wydołać nie mogą, Cóż za tém idzie? Oto w tak młodym wieku nauki się cale nie przyjmują, dzieci tracą w szkołach czas, a przy usilności często nadwerężają i zdrowie; nic się zaś rzetelnie nie

ucząc przywykają tylko, o naukach i literaturze paplać jak sroki. Puszczone potém w złe towarzystwo i narażone na tysiączne do złego ponęty, wprzód nim się znajdzie i ustali rozsądek, wprzód nim poznają co jest prawdziwie złe a co dobre, co prawdziwą nauką a co jéj pozorem, wpadają w sidła szarlatanów i oszustów. Pierwsi ich wabią blaskiem fałszywej nauki, drudzy ponętą zabawy, lub powabem rozkoszy. Ztąd wynika, że, nie mając zdrowego wyobrażenia, co jest rzetelny talent i co prawdziwa nauka; lgną do tych, którzy im ją ofiarują bez pracy, a zatém puszczają się w zawód literacki, jak sternik na morze bez rudla i żaglów. Wierzaj mi Xięże Wikary, ta jest przyczyna teraźniejszego psucia się i, że tak powiem, butwienia nauk. Wszyscy się zajmują niemi, bo taka jest moda; wielu rozumie, iż dosyć mieć postać człowieka, żeby myślić—a pióro, papier i kałamarz, żeby pisać. Widzimy téż oczywiste tego skutki, piękną postać nauk i doskonałych u nas pisarzy.

P. Strukczaszy. Prawdę WPan mówisz. Jak owoc niedostały jest kwaśny; tak niesmaczny jest i cierpki każdy płód niedojrzałéj głowy. Nie dosyć oddać dzieci na nauki, ale je trzeba oddać w przyzwoitéj porze, i dać im czas, nie tylko się z naukami obeznać, ale je dobrze, że tak powiem, zżuć i strawić. Ale to rzecz mniejszéj wagi. Towarzystwo nie potrzebuje wielu uczonych, a nauki same się od szarlatanów obronią, choćby téż ci i na czas górę wzięli. Lecz towarzystwo gwałtem potrzebuje ludzi rozsądnych, światłych i poczciwych. Dlatego należy młodzież układać bardzo starannie; nie należy jéj puszczać wolno na świat, dopóki się umysł potrzebnem i

wiadomościami nie wzbogaci, rozsądek nie uprawi i nie utwierdzi, i serce należycie nie ukształci. To zaś ostatnie kształci czysta moralność, jaką mamy w religii i zdrowej filozofii, a dobry przykład prostuje i pokrzepia. Dlatego niedokończonej młodzieży albo nie należy w towarzystwo wpuszczać, albo tylko w dobrane, gdzie się zbudować lub czegoś nauczyć może; dlatego jak najsurowsze prawa strzedz powinny obyczajów publicznych, i najmniejsze zgorszenie karać surowo.

X. Wikary. Tak, mój Jegomość, potrzeba grozy!

P. Marszałek. Dobrze — wszystko to prawda. Ale to pospolitowanie się młodzieży w szkołach; to mi nie wychodzi z głowy. Wreszcie powiedzcie mi WPaństwo, cóż ja z moimi synami pocznę?

P. Sędzia. Zrób WPan po mojemu. Oddaj ich do szkół, jeżeli nie są nadto młodzi; wybierz im dobrego domowego dozorcę i poleć przyjaciołom, jakich masz w mieście, żeby na nich i na dozorcę pilne mieli oko.

P. Marszałek. A czy mi to WPaństwo przyrzekacie?

P. Strukczaszy. Dla czego nie? Ja sam będę czasem zachodził do nich; będę uważał jak się uczą i sprawują; a nadewszystko będę miał oko na ich dozorcę. Czasem ich i do siebie na gawędę zaproszę; nie zgorszą się tu u mnie, a czasem usłyszą jaką pożyteczną przestrogę. X. Wikary będzie im pomocą i przewodnikiem w nauce i pełnieniu obowiązków religii; wszak prawda?

X. Wikary. Dobrze. Ale proszę, żeby mi wolno było użyć cokolwiek grozy.

P. Strukczaszy. Daj pokój; to rzecz szkolna. A WPanże, panie włóczęgo; wszak i ty w mieście siedzisz?

Ja. Ja ich nauczę chodzić na spacer, jeżeli tego będzie potrzeba.

XXXVIII.

Noc i wyprawa nocna. [1])

Jeszczem też z tobą ni razu, czytelniku kochany, nie wyszedł na spacer w nocy. Lękałem się; bo noc ma coś strasznego w sobie, a ja nie chciałbym się bez potrzeby na oczywiste narażać niebezpieczeństwo. Roztropność więc radzi zastanowić się naprzód: czy bezpieczno u nas chodzić po nocy?

Uważając wszakże: że się wszędzie po ulicach palą latarnie; że teraz podczas zapust więcej się ludzie i pojazdy kręcą w nocy jak we dnie; że po rogach stoją murowane budki, w których śpią stróże publicznego bezpieczeństwa; rozważając, mówię, te i tym podobne rzeczy, wziąłem nakoniec raz szubę i kapuzę, i o godzinie w pół do dziesiątej puściłem się na los szczęścia w drogę. — Cóż to szkodzi, mówiłem sam w sobie, że stróże niekiedy śpią po swoich budkach, wszakże się można uciec do nich w przypadku niebezpieczeństwa i trwogi; można obłąkanemu i nie mogącemu trafić do domu, przespać się u nich cokolwiek lepiej jak pod murem. Oprócz tego, pieniędzy nie wiele przy sobie mam; szuba już cokolwiek poszarpana i wytarta, a kapuza odwieczna, więc idę śmiało.

---

[1]) Wiadomości Brukowe Nr. 220 z d. 19 lutego 1821 r. str. 33-36 (P. W.)

Po wyjściu na Wielką ulicę, zdziwiłem się nieco widząc dosyć światła i zgiełk niemal taki jak za dnia. Chodziłem więc po znaczniejszych ulicach z wielką odwagą, ale przez roztropność zawsze pod murem. W niektórych domach widziałem rzęsisto oświecone okna i okienka; co mię najpierw nieco zastanowiło. Rozmyślałem więc stojąc, co by to było? — Jakiś zamaszysty Jegomość nadszedł i zaczął mi się przypatrywać ciekawie, a potem, uśmiechając się, rzekł: Ha! ha! rozumiem czytałem ja coś o tej szubie i uszatej kapuzie. Powiedzże mi WPan, czego się tak wpatrujesz w te okna? — Oto odpowiedziałem, nie wiem co to znaczy, że tak oświecone rzęsisto. — „Co znaczy? odezwał się nieznajomy. Są to, Mospanie, nocne zabawy, zgromadzenia, czy schadzki, jak WPan chcesz.“ — A jak się zowią? — „Rozmaicie, odpowiedział, dawniej nazywano je *wieczorynkami*; potem *redutkami*, teraz zaś z postępkiem oświecenia i smaku, *przyjacielskiemi wieczorami*. Jakoż są to towarzystwa bardzo dobrane, skromne i poważne. Wszedłszy tam pomiędzy przyjaciół, za małe pieniądze można często wyjść z podbitem okiem lub zakrwawionym nosem.” — A pfe! rzekłem, czyżto takie przyjacielskie zabawy? — „A cóż to, odpowiedział, dziwnego! — Wszak właśnie między poufałymi i przyjaciołmi wszczynają się żwawe rozmowy i mocne dyskusye, a ceremonii nie ma. WPan wiesz, że czasem i tak nazywający się mędrcy, wrzaskiem, tupaniem lub stukaniem w stół, rzeczy swojej dowodzą, i przez to oczewiście pokazują, że mądrzy. Spodziewam się że WPan sam przyznasz, iż stuknąć w stół lub w ucho, są dowody bardzo logiczne. Oj!

tak Mospanie, podług prawideł odwiecznej logiki, kogo nie można było przekonać, tego bito; a ta logika dotąd trwa w całej swojej mocy i trwać będzie do skończenia świata. Ale, możeś WPan ciekawy zobaczyć co się tam dzieje; zajdźmy na chwilę.“ — Pokornie dziękuję, odpowiedziałem, nie myślę rozpoczynać na nowo kursu logiki; a z przyjaciółmi nie zwykłem się tak poufale bawić.

To powiedziawszy odszedłem i założyłem sobie, dla uniknienia zgiełku, pójść chodzić po naszych zaułkach, ile że ztamtąd nie słychać było żadnego hałasu. Jakoż w samej rzeczy, tutaj dopiero zastałem noc i pożądaną spokojność; bo na wielkich ulicach nie masz prawdziwej nocy. Jest tam dosyć stuku i wrzasku, jest nawet dosyć światła; ale na ustroniu, mało ludzi, mało światła, mało ruchu i życia. Zrzadka tu i ówdzie zapalona latarka ledwo się błyszczy, a oszczędnie rozsiewając światło jako rzecz drogą, zaledwo przechodzących na trzy lub cztery kroki objaśnia. — Takto wszystko sprzyja! tak wszystko pochlebia wielkości! — tak, nawet światło unika od wązkich ulic i domków poziomych. Wielkie tylko ulice są miastem; reszta wsią, lub powiatową mieściną. Szczęściem dla przechodzących, błyszczą cokolwiek przez okna i okienka pozapalane w szynkowniach i drobnych szyneczkach knociki. W szynkowniach! ...A cóż myślisz, czytelniku? — to są prawdziwe przybytki wesołości, i dla dobrego humoru naszego miasteczka, znajdziesz je niemal całą noc otwarte. Bawi się w nich niewymyślna i poufała publiczność. Znajdziesz tam wszystko: towarzystwo, posiłek, rozmowę, teatr. I jaki teatr! — Niepospolici artyści pokazują prześwietnej publiczności, przy odgłosie hucznej muzy-

ki, cienie jasno oświecone lub drewniane lalki; a zebrani goście przezacni śmieją się do rozpuku, lub jako krytycy, bez subjekcyi łają aktorów. Wszystko się tu albowiem dzieje otwarcie, szczerze i poprostu. Jeszcze ztąd niezupełnie wypędzona natura; wielbiciele jej mogą ją tu znaleźć każdego czasu.

Domyślając się z głośnego śmiechu, iż w szynkowni, około której przechodziłem, grano jakąś sztukę wesołą; wzięła mię chęć wejść i zobaczyć. Wszakże nie bez wstrętu; — stanąłem bowiem przy samym progu i zacząłem rozmyślać jak następuje:— O próżniakach i włóczęgach ani wątpić; ale czy bywali kiedy filozofowie w szyneczkach? — Na rozebranie tak wielkiego pytania potrzebaby czasu, możnaby poruszyć ogromne stosy książek i wytrząść wielkie zapasy erudycyi; a tu przed szynkiem we drzwiach, nie ma ani czasu, ani książek. Trzeba będzie kiedyś to wielkie literackie pytanie podać do nagrody; lecz cóż tymczasem począć? — Bojaźń obrażenia filozoficznej dostojności, już mię poniekąd do cofnienia się nakłaniała; kiedym sobie szczęściem przypomniał: iż Paracels nie tylko żył, ale i umarł w szynkowni. Wyśmienicie, pomyślałem sobie, więc wnijdźmy! — Nie podobało mi się wszakże, że przybycie moje nikogo nie obeszło, ani widowiska nie przerwało; zkąd wniosłem, że się w naszych szynkach na filozofach nie znają.

Rozmaite były zdania widzów o lalkach występujących na scenę, a stary i wąsaty woźnica wszystkim przytomnym znaczenie i udawanie rozmaitych osóbek arcy-uprzejmie tłumaczył. „Trzej królowie!“ — zawołał herold utajony za sceną. A cóżto za królowie? odezwała się ciekawa niewiasta, tuż przy woźnicy stojąca. „O!... zwyczajnie kró-

lowie, odpowiedział wąsaty guwerner koński. Jéden, widzis, turecki, drugi indyski, a trzeci muzyński carny. Bo widzis, są ludzie carni, co mają swego króla.“ Rozumiem, odpowiedziała ciekawa i zamilkła.

Każda potem nowa lalka była powodem do podobnych pytań i tłumaczeń, które zawsze woźnica przesiębrał, kiedy reszta publiczności w podziwieniu słuchała. Wszakże, gdy przyszło do bitwy między ułanem a Turkiem, pijany budnik czyli stróż nocny o włos całego widowiska nie przerwał. Widząc albowiem tak zaciętą walkę, wziął to za obowiązek swojego urzędu, przywrócić spokojność, i wyłajawszy Turka jak należy, już się był pięścią zamierzył, jużby był niesfornego poskromił, gdyby go był wąsaty sztuk teatralnych tłumacz nie pochwycił za rękę, a potem bardzo grzecznie za drzwi nie wypchnął. Nu! ja was!.. odkazywał się jeszcze na ulicy gorliwy urzędnik i taczając się poszedł do budy.

Po skończonem widowisku i kweście zwyczajnej, większa część kompanii obojej płci zasiadła ławki; wyjąwszy kilku lokajów, którzy żwawo rozprawiali na środku izby, opowiadając sobie historyą i rozmaite anegdoty swoich Pań i Panów i śmiejąc się z nich do rozpuku. Wąsaty woźnica, który oczewiście miał pierwsze w tym klubie znaczenie, siedział za stołem przy kuflu; a prawiąc wciąż do dwóch swoich kolegów, klął Pana za to, iż przeszłej nocy przemókł i przeziąbł, czekając na niego do świtu, gdy się zagrał w karty. „Aleś musiał się zgrać do seląga, dodał na końcu ze śmiechem, bo się dziś ani na krok z domu nie rusył. Żebyś przy-

najmniej płacił, ale człowiek od sesciu miesięcy złamanego grosa nie widzi, a psecie się zyje. Synkarko! daj kwatyrkę wudki!"

Na to wezwanie wystąpiła uprzejma gospodyni, której nie widziałem aż dotąd, a o której nie wiedziałem z postawy co sądzić. — Patrząc albowiem na niektórych gości, leżących tu i ówdzie bez zmysłów, wziąłbym ją był za nową *Cyrce*, i żałowałem mocno, żem nie miał przy sobie sławnej owej rośliny, która wybawiła Ulissa, ochraniając go od ryja i długich uszu. Bo któż wie, czy Ulisses nie trafił przypadkiem, tak jak ja, z kolegami do szynku, i czy jego *Cyrce* była lepsza od mojej szynkarki. Z drugiej strony, moja *Cyrce* zdawała się być prostą córką natury, to jest, cale nie wymyślną w ubiorze, rozmowie i obejściu, i cale się się nie zdawała umieć czarować? Rzuciwszy okiem naokoło i postrzegłszy mię siedzącego na rogu stołu, rzekła głosem chrapliwym z przyzwoitą swojemu powołaniu grzecznością: A tyż d.. ble w kapuzie, co będziesz pił? — Po takiej odezwie, postanowiłem nie czekać rozprawy, ale raczej trybem wszystkich wodzów roztropnych, cofnąć się wcześnie. Co mi się i udało szczęśliwie.

Powróciwszy na ulicę, chodziłem po rozmaitych zaułkach bez żadnego planu, a sądząc z pogaszonych świateł, widziałem oczywiście, że już większa połowa mieszkańców naszej niegdyś stolicy, słodkiego używała spoczynku. Około północy, znalazłem w pewnej uliczce pogaszone latarnie, a przed jednym z większych domów, w którym żadnego nie było światła, trzech bardzo zatrudnionych żydków. Ci, jak mi się przynajmniej zdawało, zgubili klucz

od bramy, a zatem, żeby snadź nie nocować na ulicy, przystawiali do okna coś nakształt drabiny — mówię: coś, bo pociemku nie można było dobrze rozeznać. Czynili to zaś z największą ostrożnością, zapewne przez delikatność, żeby nikogo nie obudzić, lub jakiej tkliwej damy spazmów albo konwulsyi nie nabawić. Zdziwiłem się wszakże, gdy za zbliżeniem się mojem, nagle porzuciwszy drabinę, zbiegli na bok, jak gdyby uciekali przedemną. Zatrzymałem się więc i zacząłem rozmyślać, coby to było, a podszedłszy nieco pod drabinę, chciałem się jej lepiej przypatrzyć; kiedy z pobocznego zaułka wyskoczył niespodzianie stróż nocny z trzema żydkami i za mnie pochwycił. A tuś, zawołał, złodzieju, co przystawiasz drabiny do okien; oh! dawno ja na ciebie dybałem! poczekaj, teraz odpowiesz za wszystko. — Daremnie wymawiałem się i starałem przekonać JPana stróża publicznego bezpieczeństwa, że ja człowiek niewinny i przechodzący tylko przypadkiem, cale do tego przedsięwzięcia nie należę; trzej albowiem żydki, których nie chcę posądzać, że byli właśnie ci sami, których przy drabinie zastałem, świadczyli: iż mię niosącego ją i przystawującego do okna widzieli. Pójdź do Części; odezwał się urzędnik nocny. Prowadzić go do Części! wołano z okien, które się tymczasem wszędzie w domach poblizkich zaczynały otwierać. — Nie rozumiałem wprawdzie, i nie mogłem się domyślić, coby to była za część i do jakiej należąca całości, do której mię prowadzić miano. Ale że wiedziałem bardzo dobrze z arytmetyki, iż zawsze lepsza jest całość jak część nawet największa, przeto nalegałem usilnie, żeby mię tak lekce nie ważono i nie

prowadzono do części. — Wszakże nie byłem już panem własnej woli: bo jak jeniec chociaż pojmany bez wojny, szedłem poniewolnie, gdzie mnie prowadzili zwyciężcy. Niedługa wszelako była podróż, bo o kilkadziesiąt lub sto kroków najdalej, wprowadzono mię do maleńkiego murowanego domku, do którego się ledwo w mojej rysiej szubie za przewodnikiem wcisnąłem.

Zaraz oddaj coś ukradł, rzekł jeden z Izraelitów, który się ze mną wtłoczył do ciupki; i w tym momencie poczułem, iż już rozpoczął śledztwo po moich kieszeniach. Uchwyciłem go więc za rękę i odwołałem się do zdania urzędnika, przekonywając go mocno, iż taki postępek nie tylko jest nieprzyzwoity, ale i niegodziwy. A żem w tem szamotaniu się zrzucił szubę i stanął w moim szaraczkowym garniturze z czerwoną kamizelką; postrzegłem oczewiście: iż moja szuba, moja kapuza, mój garnitur i bez wątpienia moja postać dostojna, zrobiły niejakieś wrażenie na umyśle sędziego, który natychmiast żyda zgromił i wypchnął za drzwi. Obrócił potem mowę do mnie pytając się, kto jestem? i tłumacząc się poufale, iż jeżeli się pomylił i dostojnego napastował człowieka, nie jego to była wina; zastał mię albowiem pod oknem tuż przy drabinie, a żydzi świadczą, że mię niosącego ją widzieli. — Gdym więc już poczęści spokojniejszy, zaczął przed nim całą rzecz, jak się miała, szczerze wywodzić; wpadł na nowo jeden z żydków z krzykiem, odkazując się: iż, jeżeli stróż nie zechce, on mię natychmiast poprowadzi do Części; a jeżelibym sobie tego nie życzył, tedy wypada zapłacić. Za cóż ja mam ci płacić! rzekłem, i czem?

kiedy nie mam z sobą pieniędzy. — Jakto nie masz! zawołał rozgniewany żydek; kiedy nie masz, to zostaw szubę. — Zgorszył się z tego urzędnik i przywdział na siebie dostojność pośrednika, a wyłajawszy żyda za tak nierozsądne żądanie zaspokoił mię zupełnie, twierdząc: iż na zabranie mi szuby nie pozwoli; ale że wypada żydków przeciwko mnie świadczących zaspokoić, inaczej mogłaby się z tego zawiązać długa i przykra sprawa. On ze swojej strony na małem przestanie, ale rozumie, iżby świadkom wypadało dać po rublu. — Jakto, trzy ruble? ja mam tym hultajom zapłacić trzy ruble? a toż za co? — Za to, że nie będą świadczyli przeciw tobie, odpowiedział bardzo spokojnie, inaczej musisz pójść do Części, tam przenocować w kozie, a potem być sądzonym. — A mój Boże! — ja człowiek niewinny! Jakto niewinny! odezwał się żydek za drzwiami? czy my Waci nie widzieli? To mało trzy ruble! Niechaj on sobie bierze, my nie chcemy. Za taką sprawę mało i piętnaście! — Mój sędzia zawsze umiarkowany, znowu zgromił żyda za tak przesadzone żądanie; a ja tymczasem rozmyślałem co począć? — Nakoniec pomacawszy się po kieszeniach i kieszonkach, które uszły od egzaminu, znalazłem przecie kilkanaście złotych pruską monetą. Wyjąłem je więc w oczach wszystkich i dla wykupienia się od napaści porzuciwszy na ławie, sam zmordowany i potem oblany wyszedłem. Wpadli tam natychmiast pozostali przy drzwiach żydzi; a ja kontent żem się uwolnił, w dalszą natychmiast puściłem się drogę.

Zdaje się, iż po takich obrotach należało czemprędzej wrócić do domu. — Takie też było przed-

sięwzięcie moje; ale żem biegł bez pamięci, nie myśląc i niewiedząc w którą stronę, więc po zastanowieniu się i wytchnieniu postrzegłem, żem był niedaleko rogatek, a zatem daleko od domu. Ostatnie zaś zdarzenie tak mię strwożyło, iż nie śmiejąc wlec się nazad przez miasto postanowiłem wyjść raczej w pole i chodzić aż do dnia białego. Cóż mi się tam stać może? mówiłem sam w sobie, czy nie lepiej spotkać się z bandą wilków, jak złych ludzi? Teraz pojmuję, dla czego byli filozofowie tak na rodzaj ludzki zawzięci, iż mieli człowieka za gorszego od najgorszych zwierząt. Musieli i oni omackiem bez światła chodzić. Odtąd postanawiam więcej nie chodzić po nocy. To postanowiwszy, siadłem na poręczy przy drodze dla wytchnienia i przyjścia do ładu. Szukając więc około siebie postrzegłem, iż nie mam chustki ani tabakierki w kieszeni, żem nawet stracił pugilares, w którym były noty tyczące się mojej włóczegi i mojego życia. — A że nie lubię nikogo posądzać; więc musiałem je w zamieszaniu i ucieczce stracić. Przywoławszy więc filozofii na pomoc, otarłem się z potu rękawem od szuby i puściłem w drogę. Ale żem szedł żwawo i zamyślony, takem niespodzianie stuknął o coś głową, żem upadł bez zmysłów.

XXXIX.

Dokończenie wyprawy nocnej [1].

Co się potem ze mną stało, nie wiem; ale gdym przyszedł do siebie, ujrzałem się w jakiejś

---

[1]) „Wiadomości Brukowe“ nr 224 z d. 19 marca 1821, str. 49—52 (P. W.).

ciasnej izdebce, otoczony nieznajomymi ludźmi, którzy się pilnie wpatrywali we mnie. Nie mogłem zgadnąć, coby to było; przypatrywałem się tylko na przemian to izdebce to ludziom. Przyszła mi znowu na myśl owa część, którą mi grożono i sądziłem, że w niej być muszę. Ale wkrótce odstąpiłem tej myśli i przeląkłem się niemało, widząc: iż niektórzy z owych nieznajomych uwijali się z długiemi rożnami w ręku. Wielki Boże! rzekłem po cichu z westchnieniem, czyż ja wpadłem między ludożerców, którzy mię myślą upiec na rożnie? Jakimże przypadkiem mogłem się tak oddalić od mojej ojczyzny?—Jeden z przytomnych usłyszał te słowa i śmiejąc się rzekł do kolegów. „Czy on tak pijany? czy sobie rozbił głowę i utracił zmysły? — Mospanie kto. WPan jesteś"?

Na te słowa odżyłem cokolwiek, słysząc iż moim mówią językiem. Podniosłem się więc, siadłem i prosiłem, żeby mię naprzód objaśnił, gdzie jestem i w jakiej części świata. „Oczywiście pijany" rzekł do kolegów. „WPan jesteś przy rogatkach, pomiędzy strażnikami; a szedłeś tak pijany, żeś nie widział szlabana, o któryś się głową uderzył. Powiedz WPan gdzieś pił i z kim? bo tam WPanu musieli wszystko zabrać". Ja nie piłem nigdzie i nic mi, ile wiem, nie zabrano. „Jakże nie, kiedy my znaleźliśmy wszystkie kieszenie próżne: nawet chustki przy WPanu nie ma". A czegoż WPanowie, rzekłem, szukaliście po moich kieszeniach? „Jaki dziwak!—odezwał się jeden; przecież my WPana ratowali, opatrywali, trzeźwili; myż WPana podjęli przy szlabanie". Dobrze, odpowiedziałem; ależ musi szlaban być bardzo nizki,

kiedym oń głową uderzył. Nacóż takie na biednych przechodzących zasadzki. „Nizki, odpowiedział strażnik, bo tak potrzeba. Co nam tam do WPana głowy; było iść uważnie, albo mieć latarnię. Teraz noc ciemna. Choćby WPanu podobno i latarnia nie byla pomogła“. Przepraszam! ja nie pijany. A też długie rożny na co?—„Rożny?—Temi rożnami świdrujemy, patrząc azali nie ma gdzie wódki“. Ah! dla Boga, rzekłem ze strachem, ja, dali Bóg, wódki nie piłem. Na to powstał śmiech powszechny, i jeden z nich rzekł: „A co? nie mówiłem, że pijany albo waryat; ani wątpić, że się wyrwał od Bonifratrów“.

Kilka jeszcze podobnych zrobiono uwag i żartów, kiedy wszczęta na dworze wrzawa wyprowadziła ich wszystkich, zostawiwszy mię samego z mojemi rozbitemi myślami. Przecierałem oczy, tarłem na wszystkie strony czoło, azali nie wydobędę wiadomości, co się ze mną stało i co mam dalej począć; a chcąc wytchnąć i myślom dać bieg wolniejszy, położyłem się znowu jak długi.

Za powrotem po niejakimś czasie dwóch strażników, zaczęła się nowa rozmowa zcicha. Sądzili śnadź, widząc mię rozciągnionego na ławce, iż śpię i nic nie słyszę! Z tej rozmowy dowiedziałem się, iż złowili żyda, który beczkę wódki manowcami przewoził, a którego poprowadzono do akcyzy. „Ot! niepotrzebny upór, mówił jeden; lepiej było wziąć od żyda pieniądze i puścić“. Nie bój się, odpowiedział drugi, musi on się i tak dobrze opłacić. „A cóż nam z tego? odezwał się pierwszy. A toż kto leży“?—Jakiś pijak bez zmysłów, łeb sobie rozbił o szlaban. „A cóż z nim zrobicie“? — Zobaczy-

my jutro rano, odpowiedział drugi. „Wiesz co? rzekł pierwszy jeszcze ciszej, oddajmy go miastu na rekruta“. A to na co? „Ot się nam co okroi. Albož nie wiesz, że miasto każe ludzi chwytać po nocy gdzie może i jakich może. Kto go tam zna?— jakiś włóczęga—postawić do miary“. „Dobrze mówisz, poczekaj, pójdę ja pogadać o tem z panem Józefem”.—To powiedziawszy wyszedł z izby, a jego kolega, położywszy się na ławce, chrapać natychmiast począł. Ostatnia propozycya strażnika cale mi nie przypadła do gustu. Rozmaite były tego przyczyny. Naprzód albowiem, nigdy a nigdy nie czułem w sobie bohaterskiego ducha. Powtóre, gdybym go nawet i poczuł, wolałbym służyć z własnej ochoty i sam za siebie; jak być danym za kogoś i uchodzić za prostego chłopa. Przecież mój ojciec, który się tak nazywał jak ja, był szlachcicem [1]) a zatem i ja nim być muszę. — Ta myśl uspokoiła mię nieco. Nic mi, myślałem sobie, nie zrobią, jużem, chwała Bogu, nie bardzo młody, a do tego szlachcic?... Wszelako!... A nuż znajdą sposoby?... Nuż na szlachectwo moje nikt uważać nie będzie?... Gdzie tam znaleźć naprędce dowody?... Można się wprawdzie potem wytłumaczyć, wywieść, wyrobić; ale tymczasem nuż łeb wygolą i zaprowadzą do koszar!... Roztropność nie każe się narażać na takie próby... lepiej się wcześnie wycofać.

Widząc więc, że mój dozorca mocno chrapie, wstałem nieznacznie, poprawiłem szuby i kapuzy i wyniosłem się pomaleńku z izby. Przed domkiem nie zastałem nikogo na straży, dwóch albowiem

---

[1]) Na końcu mojej podróży, zobaczy łaskawy czytelnik, jak się gładko wywiodę od snopa i kądzieli.

strażników zajętych było naładowaną podwodą, którą przy szlabanie zatrzymali. Jeden świdrował rożnem na wszystkie strony, dopóki nie namacał cielęcia, które nielitościwie zabeczało. Chłop zaczął narzekać, powiadając: że i cielę skaleczone i potłuczone jaja w fasce, i że on nie wie, jak się Panu pokaże. „A wiele masz jaj”? zapytał się strażnik. „Miałem kopę, ale cóż kiedyś je WPan potłukł”. „Zapłać od kopy jaj, cielęcia, sześciu kur i indyka“. „Czemże ja zapłacę, kiedy nie mam ani szeląga? mówił stroskany włościanin. A potem, wszak ja to nie na targ wiozę, ale na pańską kuchnię, a ekonom mówił, że się za to nic nie należy. Oto WPan masz kartę ekonoma“. „Twój ekonom D...ń! schowaj sobie iego kartkę, odpowiedział strażnik; nie masz czem zapłacić, to zostaw cielę. Weź WPan cielę, Panie Ignacy!—„Na co cielę? odezwał się drugi, tak wiele się nie należy, ja wezmę indyka.—„Weź mówię cielę“! — zawołał pierwszy przeraźliwym głosem.—Ja tymczasem kontent z takiego zdarzenia, widząc, iż się kłócą i mocno są zajęci wydobywaniem i sekwestrem, jeden cielęcia, a drugi indyka, ruszyłem nieznacznie ku miastu, biorąc się w bok i często oglądając, azali się czasem nie pędzą za mną.

Wchodząc do miasta posłyszałem zegary bijące godzinę czwartą. Cichość była zupełna, noc doskonała; wypaliły się albowiem wszystkie latarnie. O tej więc zaledwo godzinie, rzekłem sam sobie, można powiedzieć dobrem sumieniem, iż śpi całe miasto. Nie widzę światła w żadnem oknie. Ale co słyszę!—odzywają się po rozmaitych klasztorach dzwonki, wzywające na ranne pacierze mnichy

i mniszki. Więc tam już wstają. Miły Boże! jak ludzie różnią się w każdym względzie od ludzi. Jedni tylko co zasypiają, kiedy się budzą i biorą się do roboty drudzy. Tyle niemal mają w sobie rozmaitości sami ludzie, ile reszta przyrodzenia całego. Są pomiędzy nimi istoty dzienne i nocne, są wodne i lądowe; są nawet nijakie, to jest takie, które mogą żyć w każdym żywiole, które śpią lub ruszają się, obumierają lub ożywiają, wtenczas tylko i tam, kiedy i gdzie potrzeba, słowem, z których co chcesz to zrobisz; które są wszystkiem, kiedy potrzeba i, kiedy potrzeba, niczem. Kto się na taką zdobędzie nijakość, temu prawdziwie błogo na tym padole płaczu.

Ale radbym też wiedział, jakito rodzaj ludzi nie sypia w nocy i równo ze dniem się kładzie? mówiłem dalej do siebie. Wartoby to pytanie rozebrać, warto głębiej o niem pomyśleć. Ale czy tutaj?—Na ulicy tak ciemno, tak niebezpieczno, że raczej wypada myśleć; gdzieby się schronić. Szynki, bilardy, kawiarnie pozamykane; do domu daleko i niepodobna się dostać; bo pewno wszyscy śpią jak zabici. Do dnia już niedaleko. Wszystko więc rozważywszy, postanowiłem pójść tymczasem pod ratusz i resztę nocy, na którejkolwiek ławce, rozmyślaniu i uwagom filozoficznym poświęcić. Mógł Joung, sławny angielski dziwak, tłuc się w nocy pomiędzy grobami jak mara, a szukając w własnym mózgu zdań nowych, pytać się nieboszczyków co myślą; zacóżbym ja, włóczęga wileński, nie mógł zbierać po nocy dziwacznych wyobrażeń i myśli? Cóżto Anglik ma być lepszego od nas? Więc idę i tam skomponuję choć kawałek nocy.—W tak chwalebnym

autorskim zamyśle szedłem cicho i doszedłem nakoniec do mety, a wdrapawszy się pomiędzy koluny, usiadłem.

Ułamek nocy z Joungα.

Od czego tu zacząć?... Wezwiej muzy, powiedzą poeci. Moi Panowie! Bóg was tam wie, jaka to Jejmość ta wasza muza! — Może to jaka dumna wojewodzianka, albo księżniczka, do której mię biednego włóczęgi nie puszczą.—A potem... jakże się udać do wysoko urodzonej damy po nocy, w szubie, kapuzie i z nosem rozbitym. Prawda, że sądząc po minie WPanów, nie musi ta dama być ani bardzo wymyślna, ani hojna; bo, jak uważam, większa część Ichmość Dobrodziejów łokciami a niekiedy i piętami świeci. Ale ja słyszałem, że muza Panów moich jest tylko słowem; w rzeczy zaś samej udajecie się do buteleczek lub szklanek, a wódki cukrowe lub proste zastępują miejsce Kastalskich źródeł. Słyszałem że was zawsze nadyma, czyli, jak mówić zwykliście, inspiruje jakaś namiętność nieczysta, a najczęściej złość i chęć ugryzienia kogoś zgrabnie czy niezgrabnie. To niepięknie, moi panowie i jeżeli tak jest, poprawcie się, proszę.

Lecz słuchajmy!—Jaka doskonała cichość, jak przyjemna spokojność!—..Spokojność!... Co za słodkie wspomnienie!—Witam cię przeto święta spokojności, córko swobody; przyjaciółko dobrej myśli; rodzicielko wewnętrznej pociechy. Jakżeś niedostępna moja Dobrodziejko!—Ja całe życie wzdycham i umizgam się do ciebie, a nigdy cię osięgnąć nie mogę. Gdzież się ukrywasz ponęto serc prawych i czystych. Za co się tobą nigdy ucieszyć nie można?—Czy ty stronisz od ludzi?... Oj nie! podobno

oni uciekają od ciebie. Szaleni!... Albo nie smakują w tobie; albo przez wielki rozum, mają cię za głupstwo, gnuśność, niedołężność, i brzydzą się tobą. O gdybyś się tylko choć raz zbliżyła do mnie; już się nigdy nie rozstaniem z sobą. Całe życie cię szukam i nigdzie cię znaleźć nie mogę. Wszędzie spotykam niepokój, odwiecznego nieprzyjaciela twego, wszędzie jego służalców wichrzycieli wszelkiego rodzaju. Rozumiałem, że lubisz noc i cichość i że cię tam gdzie napotkam; ale się zawiodłem. Szukając cię po nocy, powracam z próżnemi kieszeniami i głową rozbitą. Źli ludzie wypędzili cię zewsząd. Szkodzić sobie nawzajem, a szkodzić jak najlepiej, to jest ich cel, to ich zatrudnienie, to nauka, to rozum. Ubiegają się więc za kłopotem, udręczeniem, żalem i tęsknotą. Dręczą siebie lub bliźnich, od nich nawzajem dręczeni. Ty, ochłodo cierpiących, służysz tylko za pozór niegodziwym zamysłom. Skąpiec utrzymuje, że zbiera; żdzierca, że łupi dla ciebie. Dla ciebie pieniacz pozywa, żona od męża ucieka, lub mąż żonę zamyka. Dla ciebie wymyślone turmy i łańcuchy. Słowem: tysiącznemi sposobami spotwarzona na świecie, uciekasz i kryjesz się w głębi serc prawych. Próżno więc szukają ci, którzy własnego serca zgłębić nie śmieją.

Ale stójmy!... Dość tej perory!—Oto podobno widzę okno bogacza, w którem tleje groszowa świeczka. Któżby mu teraz bronił, po dobrem użyciu swych zbiorów, zasnąć spokojnie. Nie. On zapewne czuwa i drży jak listek; bo go dręczy niespokojność. Boi się utraty zgromadzonych własnych dostatków; pragnie, trzęsie się i dyszy na

wspomnienie cudzych. Może on teraz zadumany liczy, wiele mu lichwa od lichwy na rok, na kwartał, na miesiąc, na godzinę uczyni.—Może sobie łamie głowę, jak swój, już i tak nieprawie nabyty majątek, zagarnieniem sąsiedzkiego rozszerzyć. Mój Joungu, czemużeś też takich Ichmościów nie prowadzał z sobą pomiędzy groby? — Czemuś im tak nie prawił kazania?... Próżne życzenia!... Kogoż kiedy nawróciły morały, mowy, lub pisma żarliwe?— Cóżby korzystał bogacz między grobami? Chybaby tam upatrzył nową kryjówkę swych zbiorów.

Ale oto i drugie okno, w którem widzę światło. Cóżby to było? — Może jaki adwokat gotuje arkusz na następującą sessyą sądową. Ileżto będzie na przeciwną stronę czernidła, jak mało dowodów i prawdy! Może też student który poci się i gotuje na blizki egzamin; lub jaka spazmatyczna dama, zasnąć bez świecy nie może. Tak!... może to być jaka sentymentalna towarzyszka, która późno wróciła do domu, lub płacze nad przygodami bohatyrów i bohatyrek miłosnych. Lecz nie sądźmy płocho i złośliwie!—Może to jaka nieszczęśliwa żona lub matka, która czuwa przy łóżku dogorywającego męża, lub schorzałego dziecięcia. Być to może!... Lecz ta staroświecka cnota już wywietrzała poczęści, już teraz nie bardzo w modzie. Lepiej i zdrowiej unikać od scen tak smutnych; lepiej pojechać rozerwać się na maskaradzie lub kasynie, albo nocować u przyjaciółki...

Już też noc zbliża się do końca... Czy będzie jej kto żałował? — Bez wątpienia. Ma i ona swoich oblubieńców; ma swoich przyjaciół. Na hasło nocy, powstają drapieżne zwierzęta, których za-

machom dzienne światło nie sprzyja. Na to hasło powstają niekiedy i ludzie drapieżni, w których budzi się przemysł, krzepi odwaga i najchytrzejsze przedsięwzięcia zajmują umysł—na nieszczęście, zazwyczaj umysł niepospolity ale skierowany na złe. Bo jużci noc nie zapala umysłu owych rycerzy, co bez świecy nie wyjdą do drugiego pokoju; co drżą w ciemnościach na szelest liścia, lub szmer najlżejszego wietrzyku; co za każdem stąpieniem widzą upiory i strachy, albo rozbójników i złodziejów.

Budzą się też i orzeźwiają na hasło nocy i damy nasze; biorą się do gotowalni co żywo; bo trzeba będzie jechać na tańcującą herbatę, kasyno lub bal maskowy. Noc ożywia niejednego młodzika, który się od matki lub domowego dozorcy na redutę ma wykraść. Słowem, noc jest pociechą wielkiej części ludzi; jest dniem i życiem całego wielkiego świata, sów, nietoperzy, literatów, puszczyków, graczy i wielu innych stworzeń.—Cóż dopiero mówić o owym bożku ze skrzydełkami złotemi, najukochańszem dziecięciu nocy. Jego to psie figle najskrzętniej ta potężna bogini ciemnym swoim płaszczem okrywa.

Ale już słyszę wrzask kominiarza!... Jak ranny głos skowronka zwiastuje rolnikowi, pilnemu podróżnemu, lub wpół drzymiącemu myśliwcowi, blizkie przyjście kochanki Tytona; tak przeraźliwy pisk kominiarza na dachu, zapowiada w naszem mieście dzień bliski stróżom i kucharkom. Już też poczyna się jakiś ruch; ...już słyszę zdaleka kiedy niekiedy skrzypnienie lub trzaśnienie drzwi, ...już na poddaszach, po szynkowniach i w małych okienkach błyszczą tu i owdzie światełka; ...już na Nie-

mieckiej ulicy klapią patynki; ...już, jak żórawie do cieplicy, przemyślne żydki nasze ciągną za bramy i rogatki. Jakto, ciągną? zapyta się może niejeden; czy oni dzień trawią za miastem?—Tak! kochanku, ciągną na polowanie; na przejęcie wiezionych lub niesionych do miasta żywności: ptactwa, zwierzyny, jaj, masła, śmietany, a niekiedy i zboża. My żyjący na bruku mieszkańcy, od nich kupujemy to wszystko.—Co za radośna, co za pocieszająca myśl! Życie nasze i zdrowie jest w ręku żydów; a co tylko na naszych zjawi się stołach, wszystko to przeszło przez czyste ich ręce. Jakże sowicie opłacać się musimy kochanym Izraelitom naszym, za pozwolenie zjedzenia kuropatwy lub cietrzewia. Owszem, jeżeli je jemy niekiedy, jeżeli wiemy jaki jest smak w jarząbku albo zającu; tobie niech będą dzięki nieśmiertelny ich prawodawco, który im nie wszystko jeść pozwalasz.

Ale już słyszę gwar ludzi gromadzących się na rynku; już się dzień coraz mocniej przebija; już się gromadzą przekupnie i przekupki; już przybywają z drzewem podwody; już widzę zbierających się koło mnie najemników z piłami i siekierami w ręku; już czas do domu. Żegnam cię niepomyślna nocy, dałaś mi się dobrze we znaki.

XL.

Pochwała światłych ludzi i miast [1].

Ktokolwiek pilnie uważa obyczaje naszego wieku, ten zgodzi się ze mną: iż się od czasów dawniej-

---

[1]) „Wiadomości Brukowe" Nr. 232, z dnia 14 maja 1821 r., str. 81—84. (P. W.).

szych odznaczamy wielą przymiotami świetnemi, ale najistotniej skromnością. Nigdy się nie chwaląc, nie zapominamy jednak o sobie i zawsze oddajemy sprawiedliwość własnym zasługom.—W takim rodzaju skromności szczególnie celują autorowie, którzy prócz tego zawsze z niej słynęli. Nie można teraz otworzyć żadnej książki ani książeczki, nie można spojrzeć na żaden szpargał, doniesienie, ani afisz, gdzieby czytelnikowi nie wmawiano, iż w oświeconym żyjemy wieku.

Ja, z powołania bazgracz, a zatem i czytelnik kiedy niekiedy, tak mam tem oświeceniem nabitą głowę, iż gdzie spojrzę, wszędzie je widzę; gdzie się obrócę, spotykam; tak dalece, iż choćby mię czasem wzięła ochota być trochę głupim, panujący duch wieku żadnym sposobem nie pozwala. Nikomu tego w tych czasach zadać, nikomu dowieść nie można.—Teraz dosyć się urodzić, żeby być mądrym; uczonymi łatwiuteńko zostajemy przez przywileje i patenta, a uczymy się jedynie dla tego, żeby zgłupieć cokolwiek. Szczęśliwy wiek! Gdzie człowiek spojrzy, same światłe głowy, aż blask bije w oczy; same rzadkie subjekta i gieniusze płodne!

Wszelako przebiegając piszących o tej niezmiernej światłości, łatwo postrzedz można: że nie całą, tak jak słoneczna, oblewa ziemię, ale ma swoje ulubione kraje i zakątki.—Naturalnie, gdzie który autor żyje, tam kraj najoświeceńszy. Reszta ziemi jest trochę ciemna, choć się czasem tu i owdzie przedrze promyk światła przez powszechną pomrokę i padnie na jakąś głowę szczęśliwą. Ale jakieżto przecie są te wielkie świeczniki? zapyta się może niejeden ciekawy.—Alboż nie widzisz, światły czy-

telniku, że to są miasta, a w nich... — autorowie, mówcy, poeci, literaci różnego kalibru. Same uprzywilejowane głowy!

Aż miło patrzać, jak w miastach uczonych ludzie, którzy dostąpili pewnego stopnia światłości, zawierają urzędownie dożywotne z mądrością przymierze, czyli zaślubiają ją publicznie w oczach świata, tak, jak niegdyś doża wenecki zaślubiał morze. Na tę uroczystość rozwieszają się, dla publicznej wiadomości, wielkie drukowane serwety; a szczęśliwemu oblubieńcowi Minerwy wkłada się uroczyście, przy odgłosie trąb i kotłów, czarny płaszcz na grzbiet, pierścień na palec, a na głowę czapeczka z czubkiem i czterma rogami. Pod tym znakiem, nowy małżonek przysięga, iż będzie miał rozum, aż do śmierci i bierze na to patent z ogromną pieczęcią; którąby... w każdym przypadku można niedowiarka przekonać...

Ja ile razy wyjdę na miasto, zawsze mi to powszechne oświecenie przed oczyma stoi; gdzie spojrzę, same światłe głowy! Ale że jestem z przyrodzenia jakiegoś śmieszkowatego układu; często mi przychodzą myśli tak puste, że rad nierad muszę się zatrzymać na ulicy, ująć za boki i śmiać do rozpuku. Nie zawsze mi to wprawdzie płazem uchodzi, bo mię czasem idąca z szynkowni jaka dobrze zarumieniona babulka jak należy wyłaje i ucząc moralności upomina: iż się nie godzi i nie należy śmiać z ludzi. Już ci ja się znam na takiem napomnieniu, i wiem: że podochocona staruszka przez ludzi siebie rozumie; bo się to i nam światłym głowom często przytrafia, kiedy o ludzkości i miłości bliźniego, albo o ludziach zasłużonych rozprawiamy.

Częściej wszakże wielkie światło, jak widzę, tak mię odurza, tak ćmi swoim blaskiem, i tak wprawia w zły humor; że idąc z głową zwieszoną zadumany i smutny, ani postrzegę, jak połą o coś zawadzę, lub głową stuknę; albo jak mię koń biały na bakier zaprzężony popchnie.

Miły Boże! jakie to w obyczajach poprawy!— Przodkowie nasi czapki tylko nosili na bakier, a my i konie na bakier zaprzęgamy; owszem jest wielu co rozumie, że to ładnie i na ulicy niezmierne jedna znaczenie. Dawniéj Sarmata, z groźną idący miną, zdawał się przestrzegać z daleka czapką na bakier: umykaj bo wybiję. Teraz świstek rozpuszczonemi na bakier końmi, lecąc z szumem jak burza, wołać się zdaje: umykaj bo roztrącę. Jestto oczywisty postępek oświecenia i poloru!—a ja powiadam, że niemasz miasta oświeceńszego nad nasze.

Czasem, wystąpiwszy na plac i widząc mnóstwo uwijających się na wszystkie strony ludzi, zatrzymuję się i myślę. Mój Boże! czém téż ci światli ludzie zajęci, i z czego to żyje?—Mówiono mi wprawdzie, jakoby jeden ze znakomitych gdzieś tam mędrców odpowiedział był na podobne pytanie: iż żyją oszukując jedni drugich. Ja się wszelako na to niezupełnie zgadzam; coś mi się albowiem roi po głowie, iż idąc aż do źródła, muszą być nieboracy, którzy już nie mają kogo oszukać. Tojest, mówiąc językiem naszego wieku, są bezwątpienia ludzie bardzo światli; ale są i tacy, którym Pan Bóg światła tego ubliżył.

Niekoniecznie ja jestem przyjacielem podziałów, ale mi się zdaje, iżby ludzi na dwie klasy rozdzielić można. Tojest na takich, którzy pracą swo-

ją rozmnażają płody ziemskie, i na takich, co nic nie rozmnażając smaczno pożywają te płody. *Fruges consumere nati.*

Ale w tej ostatniej oświeconej klasie, do której i ja mam honor należeć, wypadałoby przyjąć wiele rodzajów i gatunków, podług tego, jak w owém pożywaniu, jedni przynoszą za strawę pożytą jakąś pożyteczną pracę, a inni tylko dobre chęci i niezmyślony apetyt. Jak znowu tym, na których zwalony ciężki mozoł pożywania, pomagają w tym zawodzie rozmaici światli artyści, którym się dostają za fatygę niedojadki, okruszyny i obrzynki. — Aż strach pomyślić, jaka to musi być rzecz pracowita i trudna pożywać; kiedy nam nieborakom, dla dokonania tego przedsięwzięcia, tyle ludzi pomagać musi. Otóż pokazuje się i z tego, że daleko jest więcej ludzi światłych, aniżeli ciemnych; a zatém, że w oświeconym żyjemy wieku!

Możnaby jeszcze w światłej klasie naszéj robić wiele innych podziałów, ale się nad niemi nie zastanawiam; bo na cóż się komu zdadzą te przywidzenia. Wszakże czasem, stanąwszy na ulicy lub placu i patrząc na przesuwających się przedemną ludzi, rad nierad rozbieram i myślę: do jakiéjby téż kto klasy, do jakiego rodzaju lub gatunku należeć powinien? i często na tak osobliwe natrafiam wnioski, że się sam śmieję, albo dziwię oświeceniu naszego wieku.—Gdyby nas np. wszystkich mieszkańców miejskich razem uważać w masie, pytam się do jakiéj należymy klasy? Jabym, podług lichego zdania mego, odpowiedział: żeśmy wszyscy światli ludzie. *Fruges consumere nati.*

Jakto! zawoła na tę łacinę jaki erudyt, al-

bożto miasta są stekiem próżniaków lub ludzi na nic niezdatnych? Przecież założone były przez najpierwszych w świecie ludzi, przecież są od wieków siedliskiem handlu, nauk, kunsztów i rękodzieł; przecież to są wielkie ogniska, z których się światło po całych krajach, po całej ziemi rozchodzi; przecież to są szkoły poloru, pięknych obyczajów i dobrego gustu. W nich są wszelakie zakłady naukowe i dobroczynne; w nich i t. d. i. t. d.

Tak!... niejeden światły literat mógłby mię wyłajać i z błotem zmieszać; niejedenby miał piękne pole popisania się z erudycyą, wymową i stylem; niejeden, stanąwszy w obronie miast, mógłby małym kosztem, zostać wielkim człowiekiem. Prawda... ja się sam nareszcie przekonywam cokolwiek... a zatém przepraszam... Niech żyją miasta! Naprzód albowiem, co do historyi ich założenia, ta, ile wiemy, często jest bardzo świetna. Czasem jakaś banda światłych i uczciwych ludzi wypędzonych z własnego kraju, uciekając przez morza i lądy, gdzieś przecie odetchnęła na pustéj ziemi i założyła miasto. Czasem towarzystwo takowe nabyło téj ziemi bardzo uczciwym sposobem; jak mamy przykład na założycielach Kartaginy, którzy tyle tylko kupili pustego piasku, ile wołowa skóra objąć mogła; ale się tak obrócili gładko, jakby żaden światły juroman nie potrafił lepiej.—Rzym, który niegdyś przewodził całemu światu i był pierwszém na ziemi miastem, założyli najsłuszniejsi ludzie, których umyślnie po całych Włoszech zbierano. Nasi Europejczykowie nowocześni popłynęli byli zakładać miasta w Ameryce, i sprawili się tam bardzo przykładnie. Dali przecie poznać ciemnym Amerykanom, co to

jest w narodach oświeconych ludzkość i prawdziwa miłość bliźniego; co to jest i czego dokazać może wybór ludzi światłych, których im posłano. — Do dziś dnia najoświeceńsze europejskie narody posyłają zakładać miasta i zasiewać światło po rozmaitych wyspach Oceanu Spokojnego i Południowego, a nic nie wymagając za tak znakomite dobrodziejstwa, każą sobie tylko przysięgać na wierność i wywożą rzeczy barbarzyńcom niepotrzebne, a ludziom światłym jakkolwiek przydatne. A tak wiek nasz, czytelniku, nie tylko jest oświecony ale i oświecający.

Nasze nawet własne miasta, azali nie są siedliskiem oświaty? — Wszakże wszyscy tak nazwani i nazywający się oblubieńcy Muz, upewniają: że tu jest ich ciągłe mieszkanie, że uciekają z gór i pustych stepów, a cisną się w poświęcone sobie mury. Naturalnym rzeczy porządkiem, za niemi się cisną i wszyscy ich oblubieńcy, miłośnicy oświecenia i chwały, ludzie z profesyi rozumni, amatorowie mądrości i rozmaici kandydaci do nieśmiertelnej chwały. Przecieżto w miastach jest owa Arena, na której się odbywają ciągłe o nieśmiertelność walki, ciągłe gonitwy. Występują waleczni zapaśnicy na popis, biegną do mety, której żaden nie widzi, a każdy bieży z innym ładunkiem. Ten wlecze ogromne rodzajowe drzewo, wielki tytuł lub znakomity urząd, którego unieść nie może. Ów dźwiga ogromny wór wiatrem nadęty, na którym napisano: Zasługa.— Wszyscy wrzeszczą, żeby im ustępowano z drogi, żeby otwierano czym prędzej nieśmiertelności podwoje. Tymczasem droga zawalona motłokiem, który się przecisnąć nie może; jeden drugiego jak nie-

równego zapaśnika potrąca, odpycha. Ten zaziajany leci z epigramatem lub odą, ów z długą rozprawą; tamten z dedykacyą lub pochwałą. Jeden wlecze tom, drugi dwa, inny pięć lub dziesięć; każdy się stara innych wyprzedzić, żaden że wyprzedzi nie wątpi. Znajdziesz na tej drodze i takich do nieśmiertelności konkurentów, co się posuwają z workiem w ręku i targują nieznacznie wędrujących tam chudych literatów. Tak czytelniku, jeżeli masz pieniądze, w mieście do nieśmiertelności nawet dostaniesz pasportu: bo tu jest światło, tu literatura, tu nauki, tu kunszta.

Jeżeli nie wierzysz, pójdź tylko i pochodź ze mną po ulicach. Widzisz co tu powywieszanych znaków, co napisów, a wszystko to przypominają kunszta i nauki, wszystko dąży drogą oświecenia do nieśmiertelnej chwały. Czy uważasz, jak u nas literaci w czarnych opończach czy togach, dźwigają po ulicach składy mądrości dawnych i teraźniejszych pokoleń; jak troskliwi o oświecenie powszechne każdemu z przechodzących nie tylko ofiarują, ale gwałtem wbijają naukę. Otóż to są najpierwsi wielbiciele i oblubieńcy Muz naszych, którzy je pomaleńku zaczynają brać w arendę. Tu, uważaj tylko, tego samego rodu światły i liberalny człowiek, rozparł się w drzwiach swojego sklepu na najznaczniejszej ulicy, i ma do zbycia płody najodleglejszych krajów; owoce Indii i południowej Ameryki , Chin i Japonii, które przemysł ludzki aż do nas sprowadził, a przemysł tych światłych ludzi przez komorę przemycił. Widzisz, jak ten lud oświecony pozajmował wszystkie sklepy, sklepiki i ławki, jak wszystkie ulice napełnia. Oto uważaj, jak prze-

myślny artysta i kupiec razem niesie przed sobą i na publiczny wystawia widok osadzoną na pięści czapkę, którą, jak świeżo wyszłe dzieło jego ręki, wszystkim przechodzącym podsuwa pod oczy i do recenzyi podaje. Tam drugi czarny mędrzec rozmyśla, przechodząc się to tam to sam po ulicy z zajęczą skórką za pasem; ten powolnym i poważnym krokiem obnosi po całem mieście pieczątkę; ów papierową tabakierkę lub od zegarka łańcuszek. To są światli obywatele miast naszych; takimi obywatelami kwitną, polerują się i rosną państwa; przez takich wzrasta i rozchodzi się oświecenie. Jakże w zapełnionych tak pięknym ludem miastach nie mają kwitnąć kunszta i nauki, jak nie ma wzrastać pożyteczny przemysł? — Jak tu nie powiedzieć, kochany czytelniku, że w oświeconym żyjemy wieku? a to są nasi światli obywatele. *Fruges consumere nati.*

Byli wprawdzie, a może i są uczeni, którzy nie lubili miast wielkich i mocno przeciw nim powstawali; którzy utrzymywali, iż patrzanie się ustawiczne na nędzę i upodlenie ostatnie, obok zbytku, pompy i rozpusty, zatwardza powoli serca na los podobnych nam jestestw. Byli i są tacy, którym się zdaje, iż w miastach jest początek wszelkiego zepsucia i szkoda obyczajów najgorszych; którzy nakoniec twierdzą, iż najszczęśliwsze i najlepsze są kraje, które nie mają miast, lub mają bardzo mało. Któżby proszę u nas na takie przewidzenia uważał? Przecież teraz w oświeconym żyjemy wieku i cale inaczej sądzimy o rzeczach. Dawniej kwitły i kształciły się obyczaje w Atenach i Rzymie, tak jak się teraz kształcą i doskonalą w Paryżu i Londynie.

Ateny były szkołą poloru i cnoty i dla Greków, a potem nawet dla Rzymian; Rzym dla reszty świata; a Londyn i Paryż są szkołą obyczajów dla całej Europy. Jakże przeto brać za złe naszym panom i paniętom, albo damom dostojnym: że jedynie przez miłość dobrych obyczajów, przez przywiązanie do najczystszéj moralności i cnoty, albo siedzą ciągle w Paryżu, albo tam jeżdżą corocznie. A zdrowie, czyto rzecz mała? — A gdzież jechać po zdrowie, jeżeli nie do miasta, jeżeli nie do Paryża?

Niezaprzeczona prawda! — Aż miło chodząc w wielkich miastach po ulicach i rynkach patrzać na zdrowia prawdziwie wzorowe; na owe ciałka najczystsze pozbawione wszelkich złych humorów; pozbawione owych cząstek ordynaryjnych, grubych, czerwonych i tłustych, na ciałka przezroczyste jak kryształ, lekkie jak zefir, cienkie i chwiejące się na każdy wietrzyk jak trzcina; na ciałka ledwo nie ulatujące za najmniejszym powiewem. Człek się prawdziwie zapomina z rozkoszy! w zachwyceniu sądzi, że jest w raju, między samemi duchami, lub między owymi Sylfami, o których rozumni ludzie prześliczne rzeczy pisali, a z którymi niejedna z naszych bogiń ziemskich szczególne miała zachowanie, lub w mistycznym była stosunku (*en rapport*).—Co mi to za zdrowie na wsi!— Same chłopy — niezgrabne i ciężkie jak kłody. Ruszyć się żaden drągal nie umie... albo drży pod nim ziemia, gdy stąpi. Powiedzmy prawdę. Wieś tchnie dotychczas dawnem barbarzyństwem i dzikością; w miastach jest oświecenie i polor. W miastach, nie tylko kwitnie przemysł, ale się utrzymują obyczaje, i góruje najczystsza moralność. Dlatego sprawiedliwie do nich

ucieka, do nich się ciśnie lepsza wiejska młodzież Tu idzie czerpać prawdziwe światło i obyczaje najczystsze w rozmaitych kancelaryach, subselliach i jurysdykcyach; tu szuka zdrowia na redutach i redutkach, albo po bilardach, kawiarniach i cukierniach; tu idzie nabierać poloru i wiadomości na dobranych wieczorach, gdzie mianowicie w tegoczesnej historyi, bardzo wiele postąpić można. Tam albowiem młodzież usłyszy dzieje ogólne i drobne każdego domu, i każdego rodzeństwa; nota bene, z przyzwoitemi krytycznemi uwagami, stosownie do gieniusza i światła naszego wieku.

Kogoż tak mocne dowody nie przekonają? kogo do zamiłowania miasta nie pociągną?—Więc nie dziwuj się, czytelniku, żem sobie wybrał miasto za ciągłe i niezmienne mieszkanie. Chciałem żyć wpośród moich światłych kolegów, których jest ulubionym przytułkiem. Poco nam wyjeżdżać na wieś, gdzie człowieka nic nie czeka, prócz pracy, i to grubej pracy? gdzie chcąc żyć jak należy, wielkich chyba dworów, zamków lub pałaców szukać potrzeba, bo się zaledwo w nich próżnuje uczciwie.—Nakoniec ja się przechodzę i poluję na filozoficzne myśli; zkądże je brać na wsi? Jest tam wprawdzie gdzie chodzić, jest co robić, ale nie ma czasu rozmyślać.

XLI.

Wyprawa na wieś [1]).

Podczas ostatniéj z tobą rozmowy, czytelniku kochany, starałem się pochwalić miasta jak należy,

---

[1]) Wiadomości Brukowe Nr. 235 z d. 4 czerwca 1821, str. 93—96. (P. W.).

i spodziewam się wkrótce za to podziękowania od rozmaitych magistratów, synagog i cechów; albo jakiego w którem ze znakomitych miast zyskownego placu, dożywotniéj pensyi, a przynajmniéj pomnika. Tylko że się ja o to nie ubiegam. Poświęciwszy się oddawna filozoficznéj włóczędze, wyrzekłem się tém samém światowéj próżności. — Więc mniejsza o nagrodę; zamawiam sobie tylko wolny spacer wszędzie.

Ale chwaląc miasta i rozpamiętywając wszystkie ich zaszczyty, wzięła mię ochota zobaczyć: co się téż dzieje na wsi. Przypomniałem sobie albo wiem, jak sławni pisarze nasi nie tylko opiewają oświecenie wieku, w którym żyjemy, ale wszyscy jednogłośnie wychwalają na wsi piękność natury. Więc dobrze, rzekłem sam do siebie, muszę jeszcze choć raz w życiu przypatrzyć się pięknéj naturze. A zatém trzeba się koniecznie wybrać na wieś. A że jeździć nie lubię, bo mając własne nogi nierad używam cudzych; a pieszo trudno się puścić w bardzo daleką drogę; więc wiosną wyruszywszy z miasta dosyć rano i w dzień bardzo pogodny, puściłem się ku wschodowi tak zapamiętale, żem idąc a idąc uszedł wiorst kilka; co mi się już dawno nie przytrafiło. W tak ciężkiéj podróży musiałem kilka razy odpocząć. Przysiadałem więc często; a jako brukowy włóczęga oglądałem się z westchnieniem na miasto. A choć go z niektórych miejsc nie można było widzieć, wszelako huk dzwonów, bicie zegarów i jakiś szmer głuchy wyraźnie pokazywał gdzie leży, a mnie strapionego cieszył w gruncie serca, że jeszcze nie zginęło. O naturo! naturo! pomyślałem sobie, ciągniesz, jak mówią, wilka do lasa, a

próżniaka do miasta. Co też to był za nielitościwy i krwawy człowiek, ów ateński prawodawca *Drakon*, który za próżniactwo karę śmierci naznaczył!... Mniejsza o mnie!... możeby mię wreszcie nikt nie żałował; ależby ten szaleniec nasze miasta niemal w pień wyciął. Jakto dobrze, że ani o nim, ani o jego prawach dawno nie słychać! — Jak ja szanuję Ateńczyków za to, że go nie lubili i jego praw cierpieć nie mogli. Przyznać potrzeba, że Ateny były całą gębą miastem!

Tak idąc i rozmyślając postrzegłem, że jestem między dwiema ostatecznościami w pośrodku. Po prawéj ręce zgiełk, po lewéj największa cichość i spokojność, którą zaledwo szmer płynącéj przedemną Wileńki przerywał. Przyszło mi zaraz na myśl, że to jest podług wszystkich a wszystkich romansistów rzecz bardzo piękna. A zatém, że się tu zastanowić i rozmyślać potrzeba. A że dzień zaczynał być gorący; więc, zaziajany, musiałem przez czystą miłość romantyczności i pięknéj natury, usiąść pod górą na gorącym piasku; gdzie tak romyślać począłem: —Dalibóg tu wszystko piękne!— Przedemną mruczy spadająca po kamieniach woda; za wodą łąka, a na niéj gęsi i gąsięta. Daléj gaj i w nim rozkwilający głos słowika. Szkoda, że nie jestem poetą! Tu drab bosy i po kolana w wodzie, dybie z wędką w ręku, azali się nie uchwyci kiełbik lub płoteczka. Tam znowu za górą ryczy bydło, krakają wrony, szczekają psy, kwiczą wieprze i prosięta, a beczą owce; tu zaś pod górą siedzi na piasku filozoficzny próżniak i dziwi się téj piękności natury. — Przyznaj czytelniku, że to jest zachwycający obraz! i powinienby którykolwiek znakomity malarz

wziąć tę osnowę do zawieszenia na ścianie i dania materyi do długich rozpraw w naszych chudych peryodycznych pismach.

Napasłszy się nareszcie tak pięknym widokiem, i nakarmiwszy romantycznemi myślami, przeszedłem z tą autorską strawą za rzékę i posłyszałem kiedy niekiedy głos chrapliwy, podobny do jęku. Przez ciekawość podszedłem bliżéj i ujrzałem chłopka z sochą, który małym i chudym wołkom swoim ciągle coś prawił. Byłyto, jakem się domyślał, napomnienia i gospodarskie przepisy, ale po cudzoziemsku; ja albowiem nic tego języka nie rozumiałem. Wszelako rzecz dziwna, pomyślałem sobie, że na wsi bydło uczą zagranicznych języków; wszakto w mieście sama treść najpiękniejszego wychowania. Bez tego wielka część naszych kawalerów wytwornych niczemby była.

Niezbyt daleko od owego oracza były trzy niewiasty, które, siedząc na ziemi pleły w ogrodzie, a w najgłębszém milczeniu, ledwo albowiem jedna do drugiéj kiedy niekiedy parę słów przemówiła. Co za grube prostactwo, rzekłem sobie w duszy; gdzieżbyto w mieście trzy kobiéty usiedziały tak cicho!—Uważałem kiedyś w moich wędrówkach, że zagraniczne niewiasty ręczną zajęte pracą, np. robotą pończoch, nie porzucały dla tego rozmowy; owszem ją z taką popierały żywością, iż trudno było rozeznać, czy prędszy był ruch palca, czy języka?—Z tego się pokazuje jasno, że naszym niewiastom koniecznie są potrzebne guwernantki zagraniczne, jedyne nauczycielki wymowy; niech im da Bóg zdrowie! Po drugiéj stronie drogi, którą szedłem, widziałem dwóch pastuchów i jednę pasterkę, pilnu-

jących dwojga bydła, trzech świń i kilka owiec. Dwoje z nich siedziało spokojnie na pagórku i patrzało z uwagą na mnie, trzecie postępowało za trzodą w milczeniu. Z téj okazyi, nie słysząc ani fujarek, ani śpiewów, nie mogłem sobie zabronić myśli, że lud nasz niezmiernie jest ponury i cichy. A żem się i ja za młodu kręcił po świecie, przypomniałem sobie, że Ukraińcy i Krakowianie ustawicznie śpiewają. Nie można się tam na wsi nigdzie spotkać z pracującym w polu i ogrodach ludem, żeby nie posłyszeć wesołego i hucznego śpiewania. Ma nawet pospólstwo swoich autorów czyli wynalazców piosneczek, którzy je w karczmach układają na prędce, czyli, jak piękny świat mówi, improwizują.—Ci występują co niedziela z talentem swoim na popis, w obecności oblubienic i całej gromady, tudzież przy pomocy rzępołów na basach i skrzypkach. U nas w Litwie, ponura cichość na polach i w lesie, cichość zupełna po wioskach, cichość nawet w karczmach, bo co jest rzecz niepojęta, u nas nie śpiewają nawet pijani. A jeżeli kiedy zaśpiewają kobiety przy żniwie lub na weselu; muzyka ta jest smutna, prawdziwie żałobna i nudnie jednostajna. Panowie właściciele i dzierżawcy! komisarze i ekonomowie! panowie sprawnicy i asesorowie niższego sądu! księża plebani i wikaryusze! panowie arendarze nakoniec! WPanowie Dobrodzieje zawsze mają do czynienia z wiejskim naszym ludem; więc musicie to lepiéj wiedzieć od brukowego włóczęgi; powiedzcie mi téż z łaski swojéj, zaco nasz lud nie śpiewa? — WPanowie Dobrodzieje jesteście wszyscy światli ludzie, a zatém ani wątpię, że mi kiedykolwiek odpowiecie na to pytanie. Je-

żeli to należy do piękności natury wiejskiej, przyznam się WPanom Dobrodziejom, że ja tak smutnéj piękności nie lubię.

Idąc daléj, postrzegłem chłopca, który boso w odzieniu poszarpaném i brudném, ale przecie do sukni podobném, ciągnął z całej siły jakiś cień koński, a ten wlokł za sobą bronę, która przeskakiwała bardzo powolnie z jednej bryły ziemi na drugą, bynajmniej im nie szkodząc. A choć czytałem niektóre księgi o gospodarstwie, nie mogłem wszelako pojąć, na coby się zdała taka robota? Podszedłszy więc bliżej zawołałem: Przyjacielu [1])! co ty robisz?— Bronuję, odpowiedział bardzo spokojnie. — Bronujesz? mówię. Skoro tak, powiedzże mi na co się zda twoja robota? — Zatrzymał się na te słowa chłopiec, popatrzył cokolwiek na mnie, kiwnął głową i pociągnął swoję szkapinę dalej. Agronom ten, pomyślałem sobie, nie lubi rozmowy; a mianowicie nie ma, widzę, żadnej ochoty do nauczycielstwa. Wszelako!... może to być, że on nikogo nie uczy darmo. Słuchaj panie agronomie Dobrodzieju, zawołałem znowu: po czemu byś chciał za godzinę od lekcyi? Idź sobie WPan precz, ja nie mam czasu, odpowiedziało grzeczne pacholę. — Parafijanin! pomyślałem sobie i poszedłem dalej.

Idąc więc bez celu i drogi, a zastanawiając się nad piękną naturą, jaką miałem przed sobą, dziwiłem się przedziwnemu smakowi naszych pisarzy

---

[1]) Kiedy się u nas mówi do osoby nizkiego stanu, lub do sług, używa się pospolicie wyrazu *Przyjacielu!* Jabym rozumiał, że to przez *ironią*, tak jak nazywamy bankrutów Panami, albo złych ludzi Dobrodziejami. Znać, że nasi przodkowie lubili żarty.

malujących piękność przyrodzenia, naszych poetów, romansistów, dam sentymentalnych i kompanii. Wtem szczekaniem psa obudzony jak ze snu, postrzegłem, iż jestem przed jakąś chatką, po połowie z drzewa cokolwiek spróchniałego i z chróstu zbudowaną. Czarny kudłaty piesek cały kołtunami okryty, który szczekając biegł do mnie, i biała koza, która wpatrując się we mnie trzęsła poważnie brodą, były jedyne żyjące stworzenia, około tego mieszkania. — Zatrzymałem się i zadumałem cokolwiek, a że mi dla upału pragnienie poczęło dokuczać, postanowiłem wnijść do chaty i spytać się o mleko. Postąpiłem więc kilka kroków ku otworowi mającemu niejakieś do drzwi podobieństwo, kiedy się właśnie w tym otworze pokazał głową na przód mocno schylony i w podeszłym już wieku człowiek, który skoro się szczęśliwie z owej cieśniny wydobył, odprostował się natychmiast i nakazał psu milczenie. Człowiek ten dosyć okopcony i brudny, miał za obuwie łapcie; a za ubiór pokojowy (tojest: szlafrok) wiszącą po kolana grubą i dosyć już podartą koszulę. Głowa była zupełnie łysa, a około uszu wisiały z obu stron dość długie kołtuny nakształt zausznic. Zapytany odemnie, czy nie ma mleka? odpowiedział, że nie; a proszony o wodę, obrócił się do chaty i zawołał: „Wikta! daj tam Panu wody.“ Po niejakim czasie wychyliła się przez otwór młoda nimfa bosa, z rozczochranemi włosami, w spodnicy, która mogła kiedyś być białą, i granatowym podartym gorsecie, a ten zdawał się spadkowym po babce lub matce, wisiał albowiem wolno aż do kolan. W ręku trzymała na długim kiju jakieś drewniane naczynie, w którem była woda, a które mi,

ściérając twarz rękoma, śmiejąc się i odwracając podała. Odechciało mi się pić na widok tak pięknego naczynia i tak nadobnej Nimfy, która je wyniosła; przez grzeczność atoli wymogłem na sobie tyle odwagi, żem je do połowy wypróżnił. Podziękowałem więc za gościnność i poszedłem dalej.

Prawda, mówiłem idąc sam do siebie, prawda, że na wsi piękna natura! Wszelako to co widzę nie zgadza się z opisaniem najlepszych i najsentymentalniejszych pisarek i pisarzy. W tym np. domku samotnym, powinienem był zastać jakiego zgrzybiałego mędrca, jakiego usunionego od zgiełku światowego filozofa, lub popadłego w niełaskę ministra, z którym siadłszy na ławie darniowej w palmowym lub topolowym cieniu, powinienem był mieć długą filozoficzną rozprawę. Niewinna zaś jego córka, cienka jak trzcina a świeża jak róża, powinna nam była w białej jak śnieg i długiej aż do kostek sukni zastawić na prostym, ale czystym stole wytworne owoce i mleko. Nie rozumiem, co to znaczy? Musiała tutejsza natura nie przygotować się na moje przyjęcie; lub słaby mój wzrok nie dostrzega tych piękności; nieokrzesany umysł nie czuje tych uroków, jakie zachwycają délikatniejsze zmysły i dusze wyniosłe.

Tak ubolewając nad sobą, i idąc coraz dalej przez pola i chrósty, posłyszałem nareszcie pod gajem mocny wrzask do łajania podobny. Cóż to?... pomyślałem sobie, to pewno będzie jakiś niespodziany przypadek, podobny do owych sławnych przygód, jakie spotykały wędrownych rycerzy i wiernych kochanków. Obróciłem się więc natychmiast; pobiegłem w stronę zkąd krzyk słychać było, i trafiłem

w rzeczy samej na przypadek. Widziałem albowiem, jak młody jeszcze i silny człowiek w szaraczkowej kapocie i przepasany rzemieniem, zsiadłszy z konia, trzymał za włosy jakiegoś nieboraka w koszuli i harapem z niezmiernem łajaniem okładał. Stanąłem jak wryty, nie wiedząc co począć i patrząc co z tego będzie, kiedy nakoniec zmordowanemu Jegomości w kapocie wymknął się ów bity nieborak i pobiegł czemprędzej na łąkę wyganiać z niej parę wołów dość chudych: kapotowy zaś jeździec wciąż łając i odgrażając się harapem, wsiadł na konia i pojechał dalej. Zbliżyłem się nareszcie do owego chłopka, który stanąwszy pod gajem ocierał się z potu i zapytałem, za co go ten podróżny człowiek tak srogo biczował? Jegomość odpowiedział mi, to nie podróżny; to nasz ekonom. Dobrze, mówię; ale za cóż on cię tak bił? Ot, ja, prawi, wyłożyłem woły z sochy i zasnąłem, a to przeklęte bydło poszło w łąkę. — To powiedziawszy zaczął wołom złorzeczyć, a potem się za niemi uganiając wciąż biczem chwastał. Miły Boże! rzekłem, co za okrucieństwo! jaka nieludzkość!... a wszystkiego przyczyną i źródłem nieoświecenie. Gdyby ci ludzie czytali romanse, a przynajmniej sielanki, przekonaliby się najłatwiej, że tłuste barany i woły, właśnie się po bujnych łąkach paść powinny swobodnie. Zacóż im tego bronić? Takie okrucieństwo psuje tylko piękność natury i nadweręża prawa bydlęce.

Wyszedłszy na pole, postrzegłem cztery sochy orzące na dość obszernym łanie i stojącego nad niemi z harapem owego nielitościwego człowieka w szaraczkowej kapocie. Ten przypatrywał się tyl-

ko zdaleka i kiedy niekiedy stentorowym głosem wołał na orzących, groźno potrząsając narzędziem swojej powagi. Zresztą robota szła dosyć spokojnie, a ja nie chcąc zaczepić zbrojnego urzędnika, ukłoniłem mu się z daleka i poszedłem prosto do wioski; zacząłem albowiem czuć potrzebę odpoczynku i pokarmu po tak długiej wędrówce. Tu spotkałem na samym wstępie kilkoro dzieci, które biegały z gołemi głowami, boso i w brudnych koszulach; a które, jak tylko mię zdaleka postrzegły, rozbiegły się na wszystkie strony z wrzaskiem, i tak pochowały, żem żadnego więcej nie widział. Chodziłem więc po wiosce od chaty do chaty, alem się nigdzie żywej duszy dopytać nie mógł, tak, że nakoniec wpadłszy w niecierpliwość, zacząłem się do ostatniej gwałtem dobywać. Z początku nikt mi nie odpowiadał; lecz gdym nareszcie drzwi niemal wybijać począł, pokazała się z boku, przez podłużną dziurę sprawującą urząd okna, głowa starej kobiety, na której widok, nie wiem czy przez uszanowanie, dreszcz mi poszedł po skórze. — Czego Wasze chcesz? rzekła do mnie staruszka chrapliwym głosem. — Moja matko, odpowiedziałem pokornie, oto jeść chcę; czy nie ma u ciebie mleka? — A zkąd u nas mleko! odpowiedziała z podziwieniem.—To może masz chleb, lub cokolwiek do zjedzenia? zmiłuj się daj, ja ci zapłacę. — Na te słowa, znikła owa twarz zaczarowa, a ja stanąłem w zadumieniu, nie wiedząc co począć. Po upłynieniu wszakże kilku minut otworzyły się drzwi, a staruszka wyniosła kawał chleba czarnego, grubego i pełnego ości; do którego przydała dwie surowe cebule. Pierwszy to był dla mnie tego rodzaju obiad, ale że apetyt był

niezmyślony, jadłem smaczno siedząc na ławie, i przekonałem się, że na wsi nie tylko jest piękna natura, ale cale niewymyślna, rozsądna i przestająca na małem. Przy obiedzie trzeba się było napić, więc taż sama gospodyni wyniosła mi znowu w drewnianym puharze na kiju jakiś napój do wina szampańskiego podobny, ale mętny, który nazwała kwasem. Spełniłem ten puhar za jej zdrowie, zapłaciłem obiad z największą ochotą, a syt piękności natury postanowiłem wrócić prosto i czemprędzej do miasta. Nie zdążyłem wszakże. Nadchodząca albowiem chmura z szturmem i grzmotem spotkała mię w pół drogi na czystem polu i przemoczyła do nitki tak, żem zaziajany i cały przemokły, ledwo wrócił do domu.

Przyznaj czytelniku, że na wsi natura jest piękna!—Mówi za tém powaga tylu znakomitych pisarzy, mówi powszechna opinia, gatunek sędziego, który się nigdy nie myli, i ja z doświadczenia tak mówię.

XLII.

Moja historya, czyli żywot Hilaryusza próżniaka-filozofa. [1]

Już też dość tej włóczęgi! — Postanowiłem ją, kochany czytelniku, zakończyć. Ale nim się z tobą rozstanę, muszę ci napisać historyę mojego życia. A tóż na co? powie kto rozgniewany; czyż już przecie umarł? — Jeszcze nie; za co cię nieskończenie prze-

---

[1]) Wiadomości Brukowe Nr. 240 z d. 9 lipca 1821 r. str. 113—116. (P. W.).

praszam; ale ponieważ nie wiem, czy będę pisał po śmierci, a chciałbym się przecie po autorsku rozstać z tobą, więc tego uczynić bez opowiedzenia ci mojej historyi nie mogę. Trzeba ci albowiem czytelniku wiedzieć, że jeszcze nie było celującego w jakimkolwiek rodzaju lub nadzwyczajnego człowieka (alias dziwoląga), któregoby ludzie uczeni nie opisali żywota. A to z rozmaitych przyczyn. Naprzód: Że ludzie uczeni powinni pisać.—O to mniejsza, czy kto czyta. Powtóre: Że, z tego czasem jest cokołwiek chwały, a niekiedy i kęs chleba. Potrzecie: Iż to jest niemały zaszczyt rodzaju naszego, że czasem miewa osobliwe stworzenia; choćto, prawdę mówiąc, sami jesteśmy swoimi sędziami i sława ta z domu, to jest naszego plemienia, nie wychodzi. Ależ za to chwalimy się na umór jedni drugich, lub jedni przed drugimi; a te pochwały tak są chlubą naszego rodzaju, jak genealogiczne papiery są zaszczytem familii. Nakoniec, że to należy do historyi, o którą nam niezmiernie idzie, a którą staramy się zawsze zrobić piękną; mianowicie na chwałę naszą i naszego narodu, a poniżenie nieprzyjaciół; bo tych nigdy nie należy żałować!

Otóż ja, mój czytelniku, będąc sławnym próżniakiem a nie wiedząc, czy kto po mojem zejściu z tego świata historyę moją napisze, a nadewszystko czy ją napisze wiernie; częścią przez przychylność i przywiązanie do ciebie, bo wiem, żeś mojego żywota ciekawy; częścią przez szczerą miłość historycznej prawdy, postanowiłem zostawić opisanie życia mojego nam na chwałę, a na zbudowanie następcom. Inni wprawdzie pisarze od tego zaczynają dzieła; ale ja uważałem, iż na tem i sami nie

najlepiej wychodzą i czytelnika krzywdzą. Bo ten, jak tylko kupił książkę, przeczytał ich żywot i luby portrecik zobaczył; tak zaspokoiwszy ciekawość, dalej nawet kart nie rozrzyna. Otóż ja się, mój czytelniku, na inny z tobą puściłem koncept, bo żywot mój na końcu kładę, żegnając się już z tobą i odsyłając cię do innych pisarzy, a to z najszczerszem życzeniem wytrwałego zdrowia i snu smacznego. Oprócz tego, w opisaniu przypadków mojej włóczęgi, starałem się wciąż rozmawiać z tobą: co zazwyczaj autorowie w przemowie tylko zachowywać zwykli, a z czego podług postrzeżeń moich wypada ta nieprzyzwoitość, że też tylko w przemowie z czytelnikiem się widzą; chociaż są śmieszni ludzie co utrzymują, że to cale nieźle. Ażeby zaś żywot ten, ile możności, uzupełnić, postanowiłem pomieścić w nim i część historyi mojego rodu, który choć się niewątpliwie od Adama poczyna i ma swoje gałęzie we wszystkich narodach; ja tak daleko sięgać nie chciałem i częścią dla krótkości, częścią przez skromność, ograniczyłem tę historyę do ziemi niegdyś Polskiej i Litewskiej, na której się familia moja i rozkrzewiła niezmiernie i niepospolite miała znaczenie.

Jakoż nie ma i nie było nigdzie liczniejszego rodu. — Nasze drzewo genealogiczne wielkością wszystkie dęby i sosny przechodzi; jedna jego gałązka na żadnej się ścianie nie zmieści; bo czyż podobna stawiać tak olbrzymie gmachy? Dla téj przyczyny snuje mi się od dawna po głowie iżby wypadało, przez jakąś publiczną uchwałę, najliczniejszą i najzasłużeńszą familią moję tym uświetnić sposobem, aby drzewo nasze rodzajowe, rozebrane

na części, porozwieszać po powiatach, w każdej izbie zgromadzeń szlacheckich. O co jak tylko będę miał czas nie zaniedbam przyzwoitego uczynić starania.

Wieść familijna niesie, że najpierwszy pień naszego drzewa, czyli pierwszy nasz założyciel nieśmiertelny, przybył do Polski z Lechem i był jego nadwornym dziejopisem, albo raczej, jak się dziś mówi grzecznie i uczenie, historyografem. — Miły Boże! w owych nieoświeconych wiekach, nazywali go nadwornym pochlebcą, albo urzędowym łgarzem. Ale też to mogła być niewinna prostota, albo i złość ludzka poprostu, pochodząca z zazdrości; bo urząd ten był bardzo ważny, zaszczytny i zyskowny. Jakoż musiał być takim; kiedy aż do czasów Bolesława Chrobrego, nigdy z naszego rodu nie wyszedł. — Ów dopiero król pokazał się familii naszej nieco niechętnym, i od tego też czasu przestaliśmy pisać historyą i zrzekliśmy się przywileju naszego. To też, powiedziawszy prawdę, odtąd Bóg wie po jakiemu historyą pisano. Nasza zaś była autentyczna, pisana przez naocznych świadków, którzy nigdy nie kłamią; a pisana z największą dokładnością, jak zawsze o tem poprzednicy moi panów swoich upewniali. Dlatego też historya ta była powszechnie lubiona, i przechodziła z ust do ust; a że do nas na piśmie nie doszła, jest to oczywiście wina późniejszych wieków, które ją straciły. Jest ona gdzieś w naszym domu, jak niosą dzieje familijne i jakem sam nie raz słyszał o tem; dlaczego dziady i pradziady moje, zawsze się wybierały tych dziejów poszukać, ale dla rozmaitych przyczyn nigdy do tego nie przyszło.

To także pewna, że w początkach narodu, za barbarzyńskich czasów, familia nasza nie była liczna; a gdy się potem, mianowicie za czasów elekcyjnych, znacznie rozkrzewiła, niepodobna było wiedzieć, komu się rozmaite nasze własności prawem spadkowem podostawały; bo nie było głowy, któraby mogła myślą objąć całe nasze rodzeństwo.—Dlaczego później, straciwszy już wszelki rachunek, poznawaliśmy się jedynie po niektórych znakach zewnętrznych, tak: jak naturaliści poznają rozmaite chwasty, robactwo, gadziny i zwierzątka różne a różne. Ja do dziś dnia każdego mojego krewnego, za pierwszem spotkaniem się poznam, choć się nie zawsze do familii przyznaję. Dla gminnych albowiem przesądów, największa część odstąpiła od wiecznego naszego imienia, owszem i wypiera się go dla rozmaitych światowych względów. Czego ja przez sumienie nigdy nie uczynię i jestem przekonany najmocniej, iż nie ma piękniejszego i dawniejszego domu nad nasz dom próżniaków. Ci, co nas ogadują, są najczęściej znakomitymi członkami naszego rodu, ale paplać zwykli, albo przez chytrość i udawanie się za coś lepszego (jak gdyby co lepszego być mogło), albo pochlebiając jakim znakomitym osobom, które w samej istocie do naszego rodu nie należą. To pewna czytelniku, że ile razy mi przyjdzie spotkać jakie białe, okrągłe i i pulchniutkie ciałko; lub jaką osóbkę sążnistą, karczystą i jak rydz czerwoną, zaraz się uśmiechnąć muszę. Bo się odzywa natura; bo człek czuje zdaleka, i nawet mimowolnie kocha własną krew swoję, choćby też i niewdzięczną. Przy tem, jak to pospolicie bywa, mamy i naszę familijną fizyo-

gnomią i skład całego ciała. Mamy nawet własne nasze choroby dziedziczne. Jeszcze nikt z nas, dzięki Bogu, na suchoty albo na konsumpcyą nie umarł; ale chorujemy zazwyczaj na zbytek humorów, niestrawność, różne dolegliwości żołądkowe i podagrę, która rzadko kogo w naszem rodzeństwie opuści.

Ja, kochany czytelniku, nie powiem ci, w którém województwie i w którym się urodziłem powiecie; bo to do czasu dla związków sejmikowych zataić muszę. Dość powiedzieć, żem się urodził w majątku moim dziedzicznym *Śpoczynkowie.* Mój ojciec był naprzód podsędkiem w swoim powiecie; ale z czasem, dla znakomitych w obywatelstwie zasług, został podstolim wendeńskim, a pod koniec życia i szambelanem Dworu. — Ja zaś w pierwszej zaraz młodości, gdy mię oddano do szkół, wystąpiłem na świat z tytułem szambelanica.—Zaszczyt ten, razem z tłustemi gęsiami i półgęskami, młodem masłem i dubeltową kminkówką, którą matka moja nieboszczka z własnej apteczki opatrywała JX. professora, były powodem do szczególnych dla mnie w szkołach dystynkcyi i względów. JX. professor, człowiek bardzo uczony i poważny, zawsze mię za rękę wprowadzał do szkoły i sadzał blizko siebie, żeby mię miał ciągle na oku. A ja pod tak znakomitą opieką, najczęściej drzymałem bezpiecznie. Nie wolno było nikomu wyzwać mię de loco, albo de plagis; bo to ubliżało godności szambelanica; ale ja otrzymywałem niekiedy pozwolenie, dać dla uciechy rozciągnionemu na pieńku winowajcy pięć lub dziesięć. Jakowy zaszczyt, był znakiem szczególnej łaski i uradowania JX. professora; a spotkał

mię wkrótce po nadesłaniu dubeltówki. Naówczas ucieszony nauczyciel, patrząc na tę eksekucyą uśmiechał się tylko łaskawie, i chwalił niekiedy moję zręczność i przytomność umysłu.

Tak odbywałem nauki z honorem, pociechą i znacznym pożytkiem. Zdarzyło się wszakże raz, że gdy dla niewiadomych zatrudnień matki mojej JX. professor długi czas nic orzeźwiającego nie otrzymał, a przeto wpadł w atrabilarny humor; a ja, puszczając podług zwyczaju prztyczkiem pestki od wisien na kollegów moich, nieszczęśliwym wyrokiem losu, JX. professora w sam nos ugodziłem; takim szanowny nauczyciel zapalił się gniewem, iż nietykanego dotąd JPana szambelanica na ławce rozciągnąć kazał, i własną mu ręką pięć bardzo zamaszysto i dotkliwie wyliczył. Co tak wielkie na umyśle moim zrobiło wrażenie, iż tego samego wieczora, wymknąwszy się ze stancyi, pieszo aż do Spoczynkowa umknąłem. Szła wprawdzie za mną pogoń; ale ja uchodząc od niebezpieczeństwa, a miłością sławy zagrzany, stanąłem w domu godziną pierwej. Nie zaraz się atoli pokazałem, nie wiedząc, jakie ta emigracya zrobi na umysłach wrażenie, i czekając rozwiązania mojego losu w konopiach tuż pod domem, zasilany i uwiadamiany o zachodzących w Spoczynkowskim gabinecie poruszeniach, przez szafarza Jakóba, z którym się skommunikowałem potajemnie. Ten jako przezorny dworak, wcześnie się starał skarbić łaski panicza; ile że ojciec mój nieboszczyk, pan szambelan, ciężko już naówczas skołatany podagrą z łóżka nie wstawał, a podstarzałym węgrzynem resztę niknących sił z biedą pokrzepiał. — Skoro się nieboszczka matka

moja dowiedziała o mojem nieszczęściu (tak je albowiem nazywała), nie przestała wyrzucać W. szambelanowi, ojcu mojemu, jego okrucieństwa i nieuwagi, że mię w tak okrutne, w tak katowskie oddał ręce; a to, dla nauczenia mię trochę łaciny, która się nikomu na nic nie zda, z narażeniem na wyraźne niebezpieczeństwo zdrowia i życia.—„Bo Bóg wie, co się teraz z biednem dzieckiem stało, może się z rospaczy utopił". Są własne słowa nieboszczki matki, które tak rozrzewniły ś. p. szambelana ojca mojego, iż ani postrzegł, jak kilka łez uronił.—Co gdy obecna tej rozmowie sąsiadka, W. Piwniczyna, co do słowa z naciskiem i przekąsem powtórzyć raczyła, dodając dla ozdoby niektóre stosowne powieści, zawsze się nieszczęśliwie kończące, o jakie u W. Piwniczynej Dobrodziejki cale nie było trudno; stanęło postanowienie na domowej radzie, aby mię, aż do dalszego postanowienia, jak najprędzej ze szkół odebrać. Co skoro przez usłużnego szafarza Jakuba doszło do wiadomości mojej; opuściłem natychmiast konopie i stanąłem w obliczu mamy Dobrodziejki, która się z radości w czułych uniesieniach swoich uspokoić nie mogła i która mię natychmiast stawiła w obliczu ojca, przekonywając go naocznie, jakem niesłychanie zmizerniał i z łaski jego zdrowie zupełnie utracił. Miałem zaś naówczas lat dwanaście skończonych i, kończąc już chwalebnie infimę, miałem niezawodnie postąpić do drugiej klasy.

Nazajutrz w przytomności JX. kanonika, naszego plebana i kilku sąsiadów, na usilne naleganie matki mojej i W. Piwniczynej, ojciec mój, jak zazwyczaj, zgodził się na ich żądania. JX. kanonik

podjął się znaleźć dla mnie guwernera, a ja zostałem, dla dokończenia edukacyi, w domu.—Miał zaś nieboszczyk ojciec mój rozmaite ważne do tego powody, iż zazwyczaj szedł za zdaniem W. szambelanowej, swojej małżonki. *Naprzód*, że W. szambelanowa tak zawsze mocno, dobitnie, wymownie i dopóty popierała zdanie swoje, ani na jotę w niczem od raz powziętego przedsięwzięcia nie odstępując, a ciągle dzień i noc o tem rozprawiając; iż W. szambelan z natury spokojnego umysłu, wszelkim sporom i dysputom przeciwny, a odpoczynek najdrożej ceniący, pospolicie nakoniec zezwalał na wszystko, aby tylko mógł zasnąć lub zjeść spokojnie. *Powtóre*, iż matka moja, nigdy mu w niczem nie ustępując, a przy oporze wpadając w ciężkie maciczne cierpienia, zawsze stałością umysłu i tęgością przedsięwzięcia doprowadziła rzeczy do tego, że jej nakoniec trzeba było ustąpić. *Nakoniec*, że i wysokie jej urodzenie wymagało pewnych względów. Była albowiem matka moja z domu starościanką Gnuśnicką, a zatem z jednej z najznakomitszych familij. A choć nie wniosła w dom nasz żadnegò posagu; ale nas urodzeniem swojem nie poniżyła, na co w całem naszem rodzeństwie największą mieliśmy zawsze uwagę. Nie chwaląc się albowiem pilnowali wszyscy poprzednicy moi najskrupulatniéj, ażeby nigdy żaden artysta, kupiec, lub jakimkolwiek rodzajem towarzyskiej pracy poniżony człowiek, do domu i krwi naszej nie należał, nie tylko w linii męzkiej ale i żeńskiej. Tym sposobem będąc zawsze szlachetnego rodu, nie tylko od miecza, ale i kądzieli mieliśmy zupełną zdolność i otwarty wstęp do wszystkich kapituł krajowych i zawsześ-

my przed innymi brali pierwszeństwo, zajmując nie tylko kanonije i beneficia zyskowniejsze, ale i pierwsze w kraju prelatury. Co nawzajem do utrzymania możności i godności rodu naszego znacznie dopomagało.

Oprócz tego liczne w całym kraju pokrewieństwo, dom rozrodzony niezmiernie, poczynione przez zamężcia i inne sposoby najobszerniejsze związki, służyły nam do zajmowania znakomitszych po powiatach, województwach, a nawet w całym kraju placów; któreśmy piastowali bardzo dostojnie, a sprawowali przez sekretarży dobieranych z familij niższych i niespokrewnionych z nami. Tym sposobem patrzaliśmy na wszystkie starostwa, jako na familijną własność naszę; a jeżeli się które dostało do innego domu, nie przestawaliśmy się nigdy skarżyć i w głos narzekać na niesprawiedliwość i uchybienie należytych zasłudze względów. To wszystko służyło matce mojej za oczéwiste w oczach ojca dowody, iż się bez nauki obejdę i że nie do pracy ale do wyższych stworzony byłem rzeczy. A wreszcie gdyby mię i to wszystko minęło, sam Spoczynków, który wystarczał na przystojne utrzymanie rodziców moich, mógłby wystarczyć po najdłuższem ich życiu i dla mnie. Masz albowiem wiedzieć, czytelniku kochany, iż się urodziłem jedynakiem. Miałem ja wprawdzie i mam trzy siostry, które bardzo przepraszam, żem się urodził; musiałem im albowiem odebrać trzy części ojcowskiego majątku, ponieważ tak chciało statutowe prawo. Gdyby nie to, Spoczynków wyszedłby był z naszego domu, cały kraj w tem niezmiernieby ucierpiał, a jabym nie był czem jestem. Ta przezorna ustawa sprzyja

utrzymaniu wyższości naszego domu, lubo nie tyle ile majoraty, zaprowadzone po najoświeceńszych w Europie narodach. Dom nasz zawsze wzdychał do tego i na wielu sejmach zawsześmy obstawali za powszechnem zaprowadzeniem majoratów po całym kraju; ale brak oświecenia zawsze przyjęciu tej ustawy był na przeszkodzie.

XLIII.

Dokończenie mojej historyi [1]).

Skoro więc zaszła zgoda na kończenie edukacyi w domu; JX. kanonik wystarał się dla mnie o nauczyciela, który do Spoczynkowa zjechał.—Był to człowiek bardzo łagodnego humoru, niezmiernie skromny i cichy. Miał lat około trzydziestu: rumiany i pulchny; oczy miał jaskrawe, cokolwiek na wierzch wysadzone, wejrzenie żywe ale bardzo skromne; tuszę piękną; wargi pełne, okrągłe i często otwarte; twarz bardzo przyjemną i zawsze ozdobioną lekkim uśmiechem; nos we środku wklęsły a na końcu pękaty. Wzrostu był raczej nizkiego, ale któremu okrągłość całej postawy wiele dodawała ozdoby. Chodził w sutannie długiej aż do ziemi; apetyt zawsze miał dobry, ale nadewszystko sen smaczny, w którym się kochał niezmiernie. Jadaliśmy w Spoczynkowie wieczerzą o godzinie szóstej, a o pół do ósmej regularnie udawaliśmy się z X. profesorem na spoczynek, i takeśmy odpoczywali do ósmej rannej. Wstawanie, ubieranie się, pacie-

---

[1]) „Wiadomośści Brukowe“ nr 247 z d. 27 sierpnia 1821 r., str. 141—144 (P. W).

rze i śniadanie zajmowały nam cały poranek. Co do nauki, X. professor (takeśmy go bowiem w Spoczynkowie nazywali) spuszczał się po większej części na mój gust i moję ochotę. Leżały na stole porozkładane rozmaite książki i mapy, któreśmy bardzo oszczędzali.—X. professor naznaczał mi czasem małe lekcye na pamięć, np. pięć lub sześć wokabuł, a w tłumaczeniach bardzo był ostrożny i, gdzie tylko zachodziła jaka wątpliwość, zawsze polegał na mojem zdaniu; tak, że pomagając sobie we wszystkiem nawzajem, byliśmy właściwie najpierwwszymi wynalazcami wzajemnego sposobu uczenia czy nieuczenia się, co później Anglik jakiś niesprawiedliwie za swój wynalazek ogłosił.—Tak się pięknie układałem w domu aż do lat 16-stu, kiedy ojciec mój, z powszechnym żalem w ojczyźnie, nagle życia dokonał; a matka, dawno już chorująca na kołtun, upadać także na siłach poczęła. — Ja nie mając jeszcze lat 18-tu, a zatem ani sposobności rządzenia Spoczynkowem i siostrami, zostałem, naturalnym rzeczy porządkiem, pod opieką stryja, Pantaleona Torpeta Próżniaka, podczaszyca pilżnińskiego. Ten atoli znakomity mąż, znacznie był od nas oddalony. Gdy go albowiem dziad mój, a ojciec jego, za młodu jeszcze wysłał na krótki czas do majątku swego, Drzymopola na Ukrainie; stryj mój od lat czterdziestu przeszło zawsze się wybierał powrócić, ale aż do śmierci wybrać się nie mógł.—Takto, kochany czytelniku, życie ludzkie jest krótkie! — Ojciec wprawdzie mój nieboszczyk, codziennie się go spodziewał i razy kilkadziesiąt konie na najbliższą pocztową stacyą posyłał, które tam po kilka i kilkanaście niedziel cze-

kały, ale cóż było robić, kiedy zawsze zaszła jakaś do wyjazdu przeszkoda.

Po śmierci więc ojca mojego ułożyliśmy z X. professorem list do kochanego stryja; co nam niemało kosztowało pracy i mozołu, ale który za to dziwnie był piękny. Dowiedliśmy naprzód w nim z Cycerona, Seneki i innych starożytnych autorów, iż człowiek jest śmiertelny; co się nam przedziwnie udało; a z czego wziąwszy assumpt, pokazaliśmy mu nieznacznie, że podobną rzeczy koleją i ojciec mój musiał ustąpić z tego świata, a skończyliśmy zaproszeniem go do Spoczynkowa, dla zajęcia się moją opieką.. W półtora roku odebrałem odpowiedź stryja, który nie mogąc się sam wybrać dla rozmaitych zatrudnień, kazał mi do siebie przyjechać, i zalecił, ażebym natychmiast sobie i siostrom sprawił żałobę; ażeby dla siostr wziąć guwernantkę francuzkę, a ułatwienie interesów odłożyć do jego przyjazdu. Po naradzeniu się więc z mamą Dobrodziejką, stanęło na tem, ażeby stosownie do woli stryja, naprzód przyjąć guwernantkę, a potem wybrać się z X. professorem na Ukrainę.

Mama moja miała oddawna poufałą przyjaciółkę w Warszawie, JPanią starościnę, która się tam od dwóch lat kurowała na kryspacye nerwów, i do której natychmiast napisała o madamę. Tej siostry moje oczekiwały ze strachem, a ja z wielką ciekawością. Po długiem więc oczekiwaniu, odebraliśmy grzeczne zalecenie, ażeby posłać po nię karetę, jeżeli się podane do kontraktu warunki podobać będą. Te zaś były następujące: 1) Ażeby madame miała przy pannach osobny dla siebie apartament. 2) Ażeby miała lokaja jedynie do jej usług

przeznaczonego, to jest: któryby u stołu stał cały czas za nią i jej tylko talerze odmieniał; któryby na spacer zawsze szedł prosto za nią i któryby nosił liberyą jaką ona naznaczy. 3) Ażeby miała, ile razy zechce, czterokonny pojazd na spacer z furmanem i forysiem. 4) Ażeby jej panna służąca od niej tylko zawisła i miała przyzwoite wygody. 5) Ażeby jej piesek *Joli*, miał wszelką wygodę, a u stołu, aby zawsze stawiano dla niego krzesełko obok madamy. 6) Aby panny miały metrów do wszystkich lekcyj; madame zaś da im tylko polor, i dobrej *turniury* pilnować będzie. Do tego założyła sobie 200 Czer. zł. pensyi; a co do prezentów, spuszcza się na delikatność pani szambellanowej.— Przeżegnaliśmy się wszyscy, skoro przeczytano takie warunki, a w matce mojej nieboszczce tak się zburzyły wszystkie humory, iż rozumieliśmy, że to ciężką przypłaci chorobą. Skoro zaś odzyskała mowę i przytomność, żałosnym wykrzyknęła głosem: „A mnież na co to utrapienie w domu. Wszakto dla takiej Pani i Spoczynkowa mało! — Jedź WPan zaraz do stryja i powiedz, że on chce mojej śmierci"! — Zacząłem więc odtąd doprawdy myślić o wyjeździe, zamówiwszy sobie X. professora za towarzysza podróży. A ponieważ stryj chciał guwernantki, zatem postanowiono wziąć tymczasem do Spoczynkowa JPannę rotmiStrzównę, siostrę W. piwniczynéj, która była na dewocyi przy pewnym niedalekim klasztorze i bardzo miała być zacna i światła osoba.

W drodze wiele widziałem kraju, ale nie pamiętam com w nim widział. Popasałem zawsze i nocowałem w karczmie u żydów. Po dwutygodniowej wreszcie podróży, przybyłem do stryja, który

mi się mocno przypatrywał; a potem obróciwszy się do JW. szambelana, *kuzyna* i przyjaciela swego, i do W. regentowej kuzynki rzekł: „Łepski chłopiec, kontent jestem z niego. No mój Hilarku! rozlokuj się:—przecie tu z nami zabawisz. Pani regentowa, zmiłuj się, ulokuj tego chłopca". Jakoż Pani regentowa natychmiast wyszła i urządziła wszystko, po czem nastąpiła wieczerza.

Stryj mój nieboszczyk, był obywatel wielkich talentów i wielkiej zasługi. Chodził pospolicie w szlafroku, żółtych pantoflach i czerwonej krymce, i ledwo czasem w niedzielę, za wielkiem naleganiem W. rotmistrzowej, dał przewieść na sobie, że włożył frak lub surdut i to tylko na obiad. Mało mówił, mając zawsze usta zajęte lulką, której nigdy z rąk nie wypuszczał, a którą lokaj Mateusz często odmieniał, pilnując, aby natychmiast podać drugą, skoro Pan pierwszą wypali; i dla tej posługi stał w pokoju pode drzami od rana do nocy. Rzadko też stryj mój dla otyłości i pobrzękłych nóg wstawał z kanapy, ale siedząc grał pospolicie z JW. szambelanem lub kuzynką w kalabraka [1]) lub arcaby, a niekiedy i w szachy; którą grę doskonale posiadał i nie miał równego sobie w tamtych stronach. Gdy poczta przywiozła gazety, czytał je wieczorem JW. szambelan lub kuzynka; a potem na mnie włożono ten ciężar. Naówczas stryj jeżeli nie zasnął, czyuił polityczne swoje postrzeżenia i uwagi. JW. szambelan był zazwyczaj innego zdania, uśmiechał się lub kiwał głową, ale się stryjowi nie sprzeciwiał.

---

[1]) Kalabrak—dawna gra w garty (P. W)·

Był zaś JW. szambelan blizkim naszym krewnym, a bratem W. rotmistrzowej. Za młodu bawił w Warszawie i dostał order, z którym się nigdy nie rozstawał. Miał wielkie wiadomości: nie było albowiem rzeczy którejby nie znał, ale nadewszystko miał niezgłębioną genealogiczną znajomość wszystkich a wszystkich naszych familij. Nie można było żadnego wspomnieć imienia, żeby natychmiast nie zatrzymał na tym punkcie uwagi słuchaczów; nie wyliczył wiele jest członków wspomnianej familii; czem który jest; kogo ma żonę i z kogo się rodzi; a to, bez najmniejszego zastanowienia się lub zająknienia. Wiedział oprócz tego imiona i zasługi wszystkich kucharzy warszawskich; w jakim który był domu i jakim się sosem lub przysmaczkiem odznaczał. Mógł mówić półtory godziny o samej sztuce mięsa na rozmaitych stołach i w różnych narodach; wiedział ze szczegółami historyą hultajskiego bigosu, którą bardzo opowiadać lubił. U stołu mógł natychmiast dać doskonały rozbiór każdej potrawy i wyliczyć, jak wielu ulega odmianom w ręku rozmaitych artystów. Z resztą był JW. szambelan bardzo skrupulatny w etykiecie, o której nigdy nie zapominał. Nie przychodził do stryja inaczej jak zupełnie ubrany; mówił bardzo płynnie i mówić lubił, ale nigdy nikomu głosu nie przerywał i nie zabierał.

W. rotmistrzowa mało się mieszała do rozmowy i zawsze polegała na gruntownem zdaniu JW. szambelana, brata swojego. Dla znakomitej otyłości, mało się zajmowała gospodarstwem sama przez się, ale się spuszczała zupełnie na małą swoję wychowankę Józię. Klucze atoli zawsze leżały przy

niej, a mała Józia ustawicznie je to odnosiła, to brała. W. rotmistrzowa zaś, należała do klasy owych uczonych jestestw, które zawsze dochodzą przyszłości; a przeto siedząc za stolikiem, ciągle rozkładała to jedną talią kart, to drugą, czytając z ich położenia teraźniejsze i przyszłe losy pokoleń tudzież najskrytsze myśli ludzkie. W tym układzie uważałem: iż dama czerwienna zwracała największą jej uwagę na siebie i często bardzo uwiadamiała nas wszystkich o pomyślnych jej losach, lub niefortunnej wróżbie.

Kto nie był w domu nieboszczyka stryja mojego, nie może mieć wyobrażenia, co to, jest słodka jednostajność życia.—Codzień to samo. Stryj mój na kanapie, w szlafroku i z lulką w gębie, zajęty grą w kalabraka, szachów lub arcabów, i zawsze zamyślony. Nasz kuzyn szambelan, ciągły towarzysz gry, rozprawiający z wielką powagą i namysłem o jakiejś wielkiej familii lub pieczeni. Kuzynka siedząca na boku przy stoliku i ciągnąca kabałę. Stary Mateusz w wytartym granatowym surducie, oparty o drzwi i drzymiący lub nakładający lulkę; a mała Józia ustawicznie się szastająca z kluczami lub roznosząca na wszystkie strony rozkazy. Ja, czasem czytałem głośno gazety, czasem się przypatrywałem grze lub ciągnieniu kabały, a częściej wychodziłem na spacer sam, lub z X. profesorem, który do nas na obiad tylko i wieczerzą przychodził, a wreszcie cały dzień drzymał nad literaturą i naukami we własnym pokoju.

Ależ ten Waćpana profesor, odezwała się raz kuzynka do mnie, jest człowiek niezmiernie uczony; wszakże się on nad książkami zabije. Zmiłuj się

Panie Hilary, nie ucz się tak jak on, bo zdrowie stracisz.—Taka nauka, rzekł szambelan, na nic się w naszym stanie nie przyda; ale Panu Hilaremu potrzebny jest dla dokończenia edukacyi, wojaż. „Co mówisz braciszku?... Prawda, i ja to myślę, i już moja kabała kilka razy wróżyła Hilaremu daleką podróż! Tak!... oto i teraz... ale jak wielka podróż!—Dalibóg pojedziesz do Paryża. Ale co mówię, do Paryża! nierównie dalej.—A tu!... patrzaj... to są pieniądze. Tak; na wojaż potrzeba pieniędzy. Kuzynku! pomyślno o tem, żeby nasz Hilarek miał za co jechać do Paryża“.—Na to mój stryj uśmiechnął się tylko.

Że z przyrodzenia miałem jakąś skłonność do włóczęgi, więc projekt jechania do Paryża bardzo mi przypadł do smaku; a widząc, że mój stryj nic o tem nie mówi, prosiłem często kuzynki, ażeby mi wróżyła, kiedy pojadę za granicę, i zawsze odbierałem przychylną od mojej Sybilli odpowiedź. Stryj, który to bardzo uważał, odezwał się raz do szambelana, iż widzi we mnie wielki gust do nauk i wielką ciekawość. — Tak, rzekł szambelan, trzeba go wysłać na wojaż, niech pozna świat.—Już ja dawno o tem myślę, odpowiedział kochany stryjaszek. Na to oświadczenie nie posiadałem się z radości.

Drzymopol, rezydencya kochanego stryja Dobrodzieja, tak był szanowany od sąsiadów, iż nigdy nikt w nim nie postał. Zdziwiłem się więc nie mało, gdy pewnej niedzieli zajechał do nas W. sędzia N., jeden z odleglejszych sąsiadów; pół dnia zabawił, i często brał na konferencyą stryja do drugiego pokoju. Nazajutrz, stryj przywoławszy mię rano do siebie, rzekł: Mój Hilarku! skończyłeś już

edukacyą domową, chcę, żebyś pojechał za granicę, bo tak robią wszyscy kawalerowie dobrze urodzeni. Musiałem wprawdzie zaciągnąć na twoje imię dług u W. sędziego; ale ty za powrotem łatwo to opłacisz, teraz zaś podpisz się tylko na obligu.—Jakoż podał mi natychmiast gotowy papier, który podpisałem.— Jest to, rzekł, dokument na 2,000 czerwonych złotych; tysiąc weźmiesz z sobą, a drugi ci nadeszlę później. Bądź zdrów, możesz się wybrać kiedy zechcesz, a szambelan, kuzyn nasz, da ci potrzebne na drogę instrukcye. Słuchaj go, bo to człowiek światły i mający wielką znajomość świata.

W kilka więc dni, zostawiszy X. professora w domu stryja, i poleciwszy jego opiece, wyruszyłem na Lwów do Krakowa, gdzie przenocowawszy tylko, pojechałem prosto do Wiednia.—Jest to miasto dość piękne i duże, ma kilka teatrów, ale niemieckich; a że ja tego języka nie umiem, więc obejrzawszy publiczne spacery, pojechałem przez Strasburg do Paryża. Miasta niemieckie cale mi się nie podobały, a Paryż trochę mię nudził, alem tego nie śmiał nikomu powiedzieć. Oporządziłem się podług ostatniej mody; bywałem codzień w *palais royal* i na różnych teatrach, i przyjąłem kamerdynera Francuza, który mię wszędzie obwoził. Odbierałem codziennie wizyty nieszczęśliwych Polaków, którzy szukali wsparcia lub pożyczenia pieniędzy. Tymczasem stryj mój nic mi nie przysyłał, a ja zacząłem cierpieć niedostatek i nakoniec żyć na kredyt. Pisałem więc niemal co poczta to do stryja, to do matki Dobrodziejki, której opisałem cały mój stan. Nakoniec doczekałem się od niej dosyć smutnych wiadomości. Doniosła mi albowiem, iż stryj wkrót-

ce po moim wyjeździe umarł, a dłużnicy zatradowali Drzymopol; pomiędzy temi najznakomitsze były pretensye kuzynki i kuzyna JW. szambelana. Sama matka moja ciągle dręczona chorobą, nie wstawała z łóżka i nie miała żadnego pieniężnego zapasu, długu zaś na Spoczynków bez mojej plenipotencyi zaciągnąć nie może. Posłałem więc tę plenipotencyą jak najprędzej, prosząc matki, ażeby mi na opłacenie długów i powrót do kraju przysłała 3,000 czerwonych złotych.—Nieszczęśliwa matka zaciągnęła ten dług z płaczem; a ja wykupiwszy się nakoniec z kozy, gdziem już od trzech bawił miesięcy, powróciłem do domu w nowym fraku i z okularami na nosie. Siostrom zaś przywiozłem po kilka par rękawiczek paryskich i po flaszce wódki pachnącej. Ale cóż! nowe zastałem w domu smutki i kłopoty.

W. sędzia N. zatradował większą część Spoczynkowa na fundamencie obligu, który podpisałem u stryja. Zmartwiona tem nadzwyczajnie matka żyć przestała. Znalazły się też niektóre długi ś. p. szambelana ojca mojego, które wzięte razem z mojemi robiły w Spoczynkowie wielki niepokój. Nabożna guwernantka W. rotmistrzówna, przez zbyteczną żarliwość w swoich napomnieniach moralnych, ugryzła najmłodszej siostrze mojej kawałek ucha i wykręciła dwa palce, a służącej oko wybiła. — Znaleźli się mniemani sukcesorowie mojego stryja, którzy wynaleźli jego testament, a którzy nie tylko sobie rościli prawo do Drzymopola, ale nawet do części Spoczynkowa. Zastałem przeto trzydzieści dziewięć pozwów, częścią za długi i rozmaite urojone pretensye, częścią przez dobroć są-

siadów, którzy rozebrawszy pomiędzy siebie wielką część mojej ziemi, pozywali o rozgraniczenie i zabory.

Wpośród tylu kłopotów, jeden z bliższych sąsiadów, W. regent kondemnata, odezwał się o rękę starszej siostry mojej. Sąsiad ten prawdziwie przyjacielski i sentymentalny, nie chciał żadnego posagu; owszem, obiecał wyposażyć pozostałe dwie siostry; abym się tylko całkiem zrzekł na niego odłużonego i zewsząd już zakłóconego majątku. A gdym mu przekładał, iż tym sposobem żyć nie będę miał z czego, odpowiedział: że będąc filozofem niczego nie potrzebuję; a wreszcie ofiarował mi małą dożywotnią pensyą, i rewersową dla sejmików possesyą. Cóż miałem robić? — Po długich namysłach, okładany coraz bardziej pozwami i zajazdami nękany; wypędzony niemal z własnego domu, przystałem nakoniec na wszystko. A tak pozbywszy się majątku i kłopotu, postanowiłem sobie pędzić życie filozoficzne na bruku. I w samej rzeczy nie będąc niczem, nic nie mając i o nic nie dbając, jestem w ścisłem znaczeniu wyrazu filozofem, i nikt mi tego tytułu zaprzeczyć nie może. Tak sobie filozofuję od lat dwudziestu kilku. A żem u siebie przeniósł wileński bruk nad inne sławniejsze; miałem do tego ważne powody. Jaki zaś jest mój sposób życia i jakie zabawy, jużeś czytelniku mógł dostatecznie osądzić. A zatem bądź zdrów i wesół.

XLIV.

Obwieszczenie. [1])

Ja niżej na podpisie wyrażony, szlachcic na łopacie, znajomy już poczęści światu przez moje latanie bez skrzydeł; po odbyciu rozlicznych wypraw w różne a różne strony, powróciłem nakoniec do domu bez szwanku i osiadam nanowo na górze Zamkowej. Pałając zaś chęcią służenia Prześwietnej publiczności i nadal, a nie chcąc się w obserwatoryum mojem oddać gnuśności, którejem się wyrzekł przy pierwszem wyleceniu na powietrze, jak złego ducha na chrzcie; kurs obserwacyj moich rozpoczynam na nowo i już nastawiam teleskopy na różne strony. A zatem ostrzegam Prześwietną publiczność, aby się miała na baczności. Tymczasem, gdy w podróżach moich do niektórych części świata i położonych w nich krajów, prowincyj, miast, miasteczek i wsi, nazbierałem i nakładłem to do głowy, to do torby bardzo rozmaitych rzeczy; — gdy, spuszczając się, to w dzień, to w nocy przez kominy; wpadając przez otwarte okna, lub wciskając się przez szybki; nocując często na poddaszach lub za parawanem w samychże pokojach napatrzyłem się rozlicznych przygód ludzkiego życia i nasłuchałem, Bóg wie czego; a zatem zwąchałem poczęści przyrodzenie człowieka i słodkiej jego połowicy; — gdy, bawiąc czas długi w księstwie żmudzkiem i przestając tam z wielu uczonymi, mianowicie w sądach i kancelaryach, wydoskonaliłem się

---

[1]) Wiadomości Brukowe Nr. 263 z d. 17 grudnia 1821 r. str. 205—208, (P. W.)

w strojnym stylu polskim; — gdy nadto, przez kilkokrotne zwiedzenie Babilonu, nauczyłem się wielu słów nowego kroju, które nadają prozie i wierszom prawdziwą szczytność (górność) a myślom, poufałym nawet, niepospolitą pękatość (nadętość); — przeto obciążony takim zapasem światła, nauki i smaku, postanowiłem ulżyć sobie nieco, rozsypując te zbiory po mieście i kraju. To jest: stosując się do ducha naszego wieku, przedsięwziąłem wydawać peryodyczne pismo. — A jakieżto, zapyta się kto, będzie pismo? Oto, żebym starganych sił moich nie nadużył i czytelników nie utrudził, myślę raz w roku około Nowego roku, wypuścić z pod prasy tomik jeden; nie wielki wprawdzie, ale ważny, ładny i bardzo uczony; o czem słowem szlacheckiem upewniam. Rozumiem..., powie może literat jaki; to będą roczniki? — Bardzo przepraszam; po co mi takie koncepta? — Ja wiem, że od niepamiętnych czasów wychodziły u nas właśnie raz na rok kalendarze, pisma prawdziwie peryodyczne, które ojcowie i dziady, babki i prababki nasze, nie tylko z wielką czytały ciekawością, ale nawet zapisywały w nich rozmaite peryodyczne i nieperyodyczne zdarzenia, nigdy ich dla tego rocznikami nie nazywając.

Krótko mówiąc, ja szlachcic z łopatą, idąc za przykładem przodków moich, zamyślam wydawać kalendarze, nie polityczne wprawdzie ani gospodarskie, bo ktoby się tam trudził takiemi fraszkami!— ale stosownie do tegoczesnej mądrości, *encyklopedyczne*. A cóż to dziwnego? — Czy ja nie widziałem, jak po wielkich uniwersytetach encyklopedyi uczą! — A potem, w moim kalendarzu będzie wszystko a wszystko: a czasem jeszcze i coś więcej. I dla-

tego na okładce, która będzie ciemno popielatego koloru z niejaką pstrocizną, ujrzy czytelnik wymalowany *ad vivum* chaos, jako porządny zbiór wszystkich rzeczy. Lecz że tak ozdobne dzieło potrzebuje mocnych literackich pomocy, to jest: cokolwiek głowy a dużo pieniędzy; zatem ja całe przedsięwzięcie moje zaczynam od otworzenia prenumeraty, a po liczbie prenumeratorów pomiarkuję jak będę miał pisać. Jeżeliby się zaś Prz. publiczność znała na rzeczy, tedy w pierwszym zaraz numerze wytłoczę wielkiemi literami imiona, nazwiska i dostojeństwa wszystkich JJOO. JJWW. WW. i mnie wielce Mciom panów prenumeratorów i Dobrodziejów. Otóż, patrz czytelniku! jeden numerek tak pięknego dzieła nie będzie kosztował więcej nad sześć śrebrnych rubelków. — Prześwietna publiczności i płci nadobna! do ciebie się odwołuję, jak w teatralnym afiszu. Widzisz we mnie prawdziwą i żarliwą chęć służenia Ci koniecznie (bo o sześć rubelków się nie mówi, to bagatela!). Więc racz pomyślić, ażeby tak wielkie, tak chwalebne, tak chlubne (zaszczytne) dla narodu przedsięwzięcie nie upadło. A jeżeli upadnie, to dali Bóg nie moja wina.

Plan dzieła, jaki mi się snuje po głowie.

Ponieważ kalendarz zamykać będzie rozmaite rozmaitości; przeto żeby rzeczy nie były pomieszane jak groch z kapustą, podzieli się, trybem wielkich i porządnych dzieł, na kilka części; a mianowicie:

Naprzód. Na część czasową.

W której się ułożą dni każdego miesiąca podług balów, maskarad, redut, tańcujących wieczorów, pikników i innych tym podobnych zabaw i uciech.

Przy każdym z takowych dni położy się ostrzeżenie, jak długi będzie wieczór; tudzież dla wiadomości woźnic, jaka będzie pogoda: samych albowiem Pań i Panów cale się to nie tyczy. Redaktor przeto uprasza wszystkich dam i znakomitych osób, aby mu raczyły przysyłać corocznie wiadomość: kiedy myślą dać obiad, wieczór, kawę lub herbatę, dla umieszczenia w kalendarzyku.

A nadewszystko, ponieważ się teraz na pięknym świecie dają imiona chrzestne, których nikt w żadnym pospolitym kalendarzu nie znajdzie; upraszają się damy i kawalerowie pięknego imienia, aby mi krótką o swoich świętach wiadomość przesłać raczyły lub raczyli; a to, dla umieszczenia w mojej Encyklopedyi. Ja także z mojej strony umieszczę niektóre imiona całkiem nowe, jakie wywiózłem świeżo z Azyi i Afryki, a jakie się nawet do nowych romansów przydać będą mogły. Tym sposobem, każda dama za przejrzeniem kalendarza wiedzieć będzie, wiele strojów i nowych sukien na cały rok potrzebować może, i wcześnie mężowi poda rachunek, zastrzegając sobie drugie tyle, na nieprzewidziane wydatki.

Pod tą samą rubryką wymienią się wszystkie szczęśliwe dni i feralne, a mianowicie: w których można ostrzygać, przypiekać, lub farbować włosy? Kiedy najlepiej robić peruki i peruczki? kiedy obcinać paznokcie i nagniotki wyrzynać? W które dni wyjeżdżać na spacer? oddawać wizyty? lub przyjmować? W które można grać szczęśliwie? a szczególnie kiedy w ćwika lub kontra,wiska lub bostona, a kiedy w maryasza? W które dni kłaść suknie ciemne, a w które jasne? kiedy jakich używać pomad i wódek pachnących?

i tysiąc podobnych rzeczy, wszystkich wyrachowanych z aspektów niebieskich, to jest: rozmaitego humoru i sposobu myślenia gwiazd i księżyca.

Pod tą samą rubryką, wyszczególnią się dni kontraktowe (niech to nikogo nie straszy! będzie te jedynie ostrzeżenie kiedy wyjechać) dni kiermaszów czyli jarmarków, z doniesieniem: czy tam będzie gra faraona lub stosa? kto będzie trzymał bank? jak wielki? i jakie wypadną którego dnia faworyty? tudzież, czy będzie można grać na fanty? Co do aspektów niebieskich, wymienią się czasy, w których słońce łaskawsze dłużej u nas zabawi; dni w których twarz jego będzie wypogodzona, a w których posępna i złego humoru; tudzież, kiedy muszkami, czyli, jak astronomowie mówią, płamami pokryta. Toż samo się uczyni i względem księżyca, który czasem nie daje się widzieć (NB. nim mu rogi urosną): czasem ma twarz pełną jak nasze darmojady lub pieczeniarze; a czasem jest z wielkiemi rogami. To wszystko zaś, dla wytknienia nieznacznie stosunków, jakie zachodzą między ciałami niebieskiemi a ziemskiemi.

Powtóre. Na część żołądkową.

Która zawierać będzie dwa poddziały mniejsze, tojest: część pożywną albo pokarmową, i napojową, czyli trunkową. Pod tą rubryką będzie sama erudycya; czyli opisanie topograficzne, architektoniczne, żołądkowe i ekonomiczne rozmaitych jadalni, jako to: traktyerni, restauracyi, resursów, garkuchni, cukierni, kawiarni, winiarni rozmaitych, i różnej rangi szynkowni, zaczynając od angielskiego lub dubeltowego piwa, aż do prostej kotłówki. A to dla tego: aby każdy stan znalazł dla siebie

rozweselenie lub zabawę i żeby wiedział, gdzie się udać w potrzebie lub strapieniu. Tu, wyszczególnią się osobne zalety każdego miejsca i da się ich plan litografowany, z obrazem rodowitego herbu, jaki się zwykł wywieszać na drzwiach lub na oknie. Dla tym większej zaś ozdoby i zupełności dzieła, umieszczać się będą przy każdem miejscu w szczególności ryciny gospodarza lub gospodyni, tudzież znakomitych praktykantów, z twarzami i nosami illuminowanemi tak, jak są w naturze. Dla zapełnienia zaś tej części i uradowania miłośników, opiszą się żywoty niektórych sławnych biboszów, żarłoków i pieczeniarzy; da się należy i uczona wiadomość o gatunkach win, ich nazwiskach i przydomkach, z wymienieniem cen w każdej w szczególności winiarni. A nadewszystko, da się uczona i gruntowna rozprawa o śniadaniach adwokackich i kancelaryjskich, które są, jak wiadomo uczonej publiczności naszej, duszą każego interesu, przemową do każdego dzieła, i tak nieodbicie do każdej sprawy potrzebne, jak smarowidło do pojazdu.

Potrzecie. Na część naukową.

Ta się znowu podzieli na nauki dokładne i sztuki nadobne. Do pierwszych, jako nieomylna i bardzo u nas wydoskonalona umiejętność, należeć będzie faraonologia. Prawdziwie zacni uczeni tej klasy zwykli się zgromadzać, jak niegdyś mędrcy ateńscy w akademijach i gimnazyach, które się u nas nazywają salami. W tem miejscu, dla zbudowania czytelników, da się rycina każdej sali czyli akademii; opisze się jej skład i urządzenie wewnętrzne, i przyłączą się portrety znakomitszych akademików, z wyrażeniem, czem się który odznacza.

Jurologia, tak powszechnie ulubiona i wiecznie u nas modna umiejętność, zajmie także rozdziałek niemały; gdzie będzie rozprawa o postępkach i rozszerzeniu się tej ładnej nauki. Dla piękności dzieła, i tu się wymienią i zlitografują znakomici w tej części mędrcy, i da się obszerne opisanie ich przykładnego żywota.

Kruczkologia, umiejętność bardzo-korzystna i pewna; niedawno wprawdzie zaprowadzona, ale dzień w dzień olbrzymim postępująca krokiem.

Gapiologia, której publiczne kursa odbywają się w lecie przed ratuszem, na rozmaitych spacerach, lub w ogrodach; a w zimie na teatrze, maskaradach i redutach; a do której piękna młodzież wielką pokazuje skłonność.

Do sztuk nadobnych należeć będą: koncepta i obroty sejmikowe, nowe wynalazki urzędników sprawnych po powiatach, równie jak eksdywizorów i dłużników, tudzież cuda magnetyczne. W tej rubryce, umieszczać się będą rozprawy wsławionych i doświadczonych mędrców: o sumieniu najętych świadków, sztuce naśladowania dokumentów i obligów, tudzież o wynalezionej niedawno w pewnem księztwie sztuce fabrykowania i szczepienia kopców granicznych.

Najistotniej zaś do nadobnych sztuk należeć będzie literatura i recenzya niektórych dzieł, ale tylko szczytnych. Tu znowu tuzinkowi literaci nasi podzielą się na rozmaite klasy, podług ich użytku. Któż albowiem z oczytanych czytelników nie wie: iż jedni są na sen, drudzy na poruszenie żółci, inni na poty, a niektórzy nawet na womity; chociaż

dotąd, co jest rzecz dziwna, żaden nasz lekarz o użyciu ich w medycynie nie pomyślił.

Do naukowej należeć będzie i część historyczna, w której się opiszą rozmaite anegdoty, zdarzone tak w mieście jako i na wsi. Naprzykład: przypadki młodych paniczów, którzy się zgrali, panienek, które z domu uciekły; starych pań, co się rozwodzą lub idą za mąż; i wyjazdy za granicę, z wyrażeniem czy do Paryża, czy tylko dla zdrowia. A że wyjazd dla zdrowia dwojako się uważać może, dla tego, że jedni jadą tracić zdrowie, a drudzy szukać zgubionego; więc się zawsze doda: że np. taki a taki Jegomość wywiózł za granicę pieniądze i zdrowie, a taka lub taka Jejmość pojechała zobaczyć, azali ich gdzie nie znajdzie.

Do części historycznej należeć będzie i opisanie wszystkich separacyj i rozwodów, z doniesieniem wiele który kosztował.

Poczwarte nakoniec. Część sentymentalna.

Obejmie wiadomość o ładnych i gustownych ekwipażach, o nowo z Francyi przybyłych guwernerach i guwernantkach; o modach i modniarkach; o ubioracb i strojach, o meblach paryzkich i londyńskich. A zakończy się cały kalendarz białemi welinowemi kartkami z amorkami lub motylkami na wierzchu. Tu, każda tkliwa dusza, w momentach rozrzewnienia i czułych zachwyceń, bądź myśli swoje radośne, bądź żale i jęki, różowym lub czarnym atramentem własną rączką zapisywać może, jako drogą puściznę dla córek lub przyjaciółek od serca. Nad takiemi kartkami wysztychują się ulatujące amorki, dla odniesienia na przeznaczone miejsce każdego czułego westchnienia. Tam, gdzie poważni

literaci mają zapisywać nowe myśli, do wielkich dzieł służyć kiedyś-mające, wybiją się na wierzchu wózki z zaprzężonemi motylkami, dla przewiezienia tego ładunku do potomności. Gdzie zaś mają zapisywać coś młode panięta, będzie u góry wierzgający koziełek z nadstawionemi rogami.

Spiesz się więc, Prześwietna publiczności, i nieś prenumeratę do redakcyi pism peryodycznych.

Dan na Zamkowej górze dnia 1 grudnia 1821 roku.

(podpisano) *Bogumił Aquafontis, herbu Łopata.*

XLV.

Lament i rapport szlachcica na łopacie.[1]

Co to ma znaczyć, Mości Panowie czytelnicy i szanowne Czytelnice Dobrodziejki, że po ogłoszeniu dnia 17 grudnia roku przeszłego prenumeraty na najpiękniejszy kalendarzyk w świecie, nikt a nikt nań nie prenumerował? Czy u was tak pusto w kieszeni czy gdzieindziej? — Ja, jako poczciwy szlachcic, założyłem sobie, jedynie przez gorliwość obywatelską, wziąść po sześć rubelków za exemplarz i chciałem szczerze, bez najmniejszego interesu, przysłużyć się uczonemu światu naszemu. A ten świat (proszę, co za grubijaństwo!) ani się odezwał; ani mi nawet w Kuryerze za moję gorliwość nie podziękował. Cóżem ja temu winien, że kręcąc się i szas-

---

[1]) „Wiadomości Brukowe" Nr. 277 z d. 25 marca 1822 str. 45—48. (P. W.)

tając to tu, to ówdzie; to po starym to po nowym świecie, nie mogłem się znajdować na ostatnich sejmikach? — Ta sama gorliwość, która teraz mną powoduje, byłaby mię zaprowadziła na jaki urzędzik szlachecki, na którym zasłużyłbym niewątpliwie na pochwałę współobywateli, a może i na co więcej. Gdybym, na przykład, był został jakim znakomitym sędzią, tobym kalendarza nie pisał; bo gdzież tam sędziemu czytać i pisać? — Alebym za to wstawał dostojnie o godzinie dziewiątej; obwinąłbym się zamaszysto w wielki turecki szlafrok, a ziewając i przeciągając się na środku pokoju, kazałbym sobie podać lulkę z długim cybuchèm. Naówczas, kiedy lokaj czy pokojowiec, dla przeprowadzenia bez szwanku znakomitej fajki, drzwi jak szeroko otworzyć musi; kiwnąłbym głową stojącej w przedpokoju hołocie. A gdybym wpośród motłochu, cisnącego się do przybytku Temidy, postrzegł jakąś osobę, u której jasno na piersiach albo w kieszeni, powitałbym ją uprzejmie, zaprosił do pokoju i na kanapie posadził. Za to chwalonoby mię z przystępności i wyrozumiałości obywatelskiej, i zostałbym zasłużonym, a zatem i poważanym człowiekiem. Teraz, kiedy latając i tłukąc się po świecie o własnym chlebie, (bo dalibóg bez najmniejszego publicznego wsparcia; kiedy pędząc się a pędząc nibyto za rozumem, podróżuję w najszlachetniejszym i ostatniej mody zamiarze, bo dla poznania ludzi [1]); kiedy, mówię, po takich przedsięwzięciach i trudach chciałem się z wami, Panowie Czytelnicy, mojemi zdo-

[1]) Nasza oświecona młodzież zawsze po to za granicę jeździ, bo u nas zna się tylko z końmi, psami, hartami i ponczem.

byczami literackiemi podzielić, chciałem was przecie oświecać jak należy... Wy uciekacie odemnie! Wy mojej nauki nie chcecie! Wyście nieciekawi, jaka filozofia i mądrość w głębi Afryki, lub w Nowej Hollandyi!... A!... już też tego nadto!

Gdybym ja z podobnem oświadczeniem wystąpił w jakimkolwiek innym kraju uczonym, gdzie przecie umieją cenić talenta; ani wątpię, żebym miał jakie dzięsięć tysięcy prenumeratorów. Chwalonoby mię zaraz i wielbiono po wszystkich a wszystkich pismach publicznych, dziwiąc się mojej odwadze i nauce. Ot to człowiek, mówionoby i pisano! — Tacy ludzie tylko w naszym kraju się rodzą! — My to! my jedni umiemy wszystko, a wszystko najlepiej! — Co to za głowa nadzwyczajna! Kalendarz encyklopedyczny! — Kurs encyklopedyi afrykańskiej i australskiej; a do tego kurs empiryczny! — Dalibóg napiszemy o tem przynajmniej sześćdziesiąt woluminów in 4to; a wy zagraniczni laicy przychodźcie i uczcie się. Otożto w takim kraju, Mości Panowie i Panie Miłościwe, aż miło mieć rozum! aż miło pisać! — Człowiek samem piórem i żyje i tyje. A u nasże co? — Prawda, ja nie przeczę, można i u nas żyć z pióra; owszem można milioników nazbierać; ale to niełatwo, nie każdemu się uda, na to trzeba szczęścia; trzeba zostać opiekunem, plenipotentem, sekretarzem, a przynajmniej regentem, i pisać z węgierska popolsku, a ja tego nie umiem. Nie biednejto szlachcie zdobyć się na taką naukę! Inaczej cóż? — Ot, trzeba chyba książki rozdawać darmo, a za czytanie płacić. Gdybym ja np. był obwieścił, że każdy prenumerujący dostanie exemplarz i sześć rubli — to cale insza ma-

terya, inny obrót rzeczy. Naówczas byłoby prenumeratorów bez końca, i żadne pismo, w żadnym a żadnym kraju, nie miałoby takiego odbytu. Ale zkądże się mnie biednemu szlachcicowi zdobyć na taki expens!

Tak rozmyślając i żaląc się w duszy, wyczyściłem nieznacznie łopatę, wdziałem moje wytarte baranki, a dla rozweselenia serca i rozbicia myśli strapionych, puściłem się na powietrze i już bujać, jak orzeł, począłem, kiedy mi przecie przyszła myśl zastanowić się, w którą polecę stronę i po co. Nie śmiej się, Czytelniku i wybacz; zrobiłem to zwyczajnie po autorsku: bo my najpierwej zaczynamy pisać, a potem myślimy, o czem — a dlatego piszemy dobrze. Więc ja zadumany, takem sobie rozbierał rzecz w głowie. Podobno teraz wieczór, a wieczory jeszcze dosyć długie. Wstępujmy, kochana łopato, do rozmaitych pałaców, dworów, domów i miejsc publicznych; zobaczmy, czem też teraz ziomkowie moi zajęci? czego się uczą? czem bawią? — Zapewne po ułatwieniu zatrudnień dziennych, po odbyciu prac urzędowych lub gospodarskich, zgromadzone rodziny, przyjaciele i przyjaciółki, poufali, czytają gazety, dzieniki, rozmaite peryodyczne druki, nowe wyszłe z pod prasy dzieła uczone, i udzielają sobie nawzajem postrzeżeń swoich i uwag. To inaczej być nie może. Przecież w oświeconym i piśmiennym żyjemy wieku. Wszyscy teraz czytają; wszyscy się uczą, a wielu oświeca i pisze. Zapewne z powołania uczonych zastaniemy ślęczących w gabinetach nad ważnemi pracami, które literaturę wzbogacą, nauki wspomogą i pomnożą. Ruszajmy.

Ledwom to wyrzekł; kiedy moja łopata, która

niewątpliwie ma zmysły i ludzką pojętność, która nie tylko mowę moję rozumie, ale nawet, kiedy na niej siedzę, myśli przenika i jest wyraźnie w mistycznym ze mną stosunku; która, słowem, nie uwierzysz Czytelniku, jak jest sprytne i przenikliwe licho; receptyby nawet pisała, żeby ją tylko ktoś poduczył; kiedy, mówię, moja łopata zaczęła się nieznacznie spuszczać w jakiś wązki komin i wkrótce postawiła mię cicho, bez najmniejszego hałasu, w pokoju, który wziąłem za literacką pracownią. Dowodziły tego albowiem i szafy założone dosyć zapylonemi książkami, i stół pełen papierów i pootwieranych woluminów. Na środku izby stał stolik, a na nim dwie świece; około stolika siedziało czterech mędrców, a z boku młoda niewiasta, przypatrująca się i trzymająca szczypce w ręku. Zatrzymałem się rozumiejąc, iż co ciekawego usłyszę. Cichość była wielka. W tem jeden z zasiadujących uderzył ręką w stół i zawołał à *tout*—na to słowo, drugi mędrzec uchwycił się za łysinę, westchnął, a potem z wielkim gniewem wyrwał kartę z lewej ręki i rzucił na środek. Wkrótce potem walczący rycerze złożyli broń; a zwycięzca, ten sam, który się wprzód był odezwał, zawołał, *quatre levées*. Na to nastąpił śmiech dwóch naprzeciw siebie siedzących, a wymówki i łajanie się dwóch drugich. Ja tymczasem, korzystajac z niewidzialności, zbliżyłem się pocichu do stołu i zacząłem przeglądać książki; ale widząc, że są wszystkie w obcych językach, a między niemi ani śladu naszych pism peryodycznych; pomyśliłem sobie, że łopata zbłądziła, i dałem jej poznać, że chcę jechać dalej. Jakoż anim postrzegł, jak mię wyniosła na powietrze. Straciłem

zupełnie kierunek i sam nie pamiętam, gdzie mię powiozła. To tylko wiem, żeśmy się znowu spuszczać zaczęli, a ja ujrzałem się w pięknym i strojnym pokoju, gdzie, jakem potem poznał, gospodarz siedział przy stoliku, mając przed sobą stos druków rozmaitej postaci. Trzech innych mężczyzn stało zamyślonych przed nim, a dwóch się przechodziło po pokoju. Wszyscy zaś razem żwawą byli zajęci rozmową. Tuśmy, pomyślałem ścisnąwszy łopatę, dobrze trafili; tu czytają, czytają peryodyczne pisma. Przysłuchując się wszakże rozmowie, która raz była po francusku, drugi raz z francuska po polsku, postrzegłem natychmiast, iż rozprawiano o gazetach, i że to były jedyne peryodyczne pisma, które w tym domu czytano. Poznałem wkrótce i to, iż między gospodarzem a przybyłymi gośćmi żwawa zaszła sprzeczka, o wzięcie lub niewzięcie pewnej warowni tureckiej. „Ale jakże, odezwał się jeden z gości, kiedy to jest w dzisiejszym Kuryerze; proszę zobaczyć!" i rzucił się natychmiast do druków leżących na stole. Próżno WPan szukasz, odpowiedział gospodarz, ja Kuryera nie trzymam, ale kiedy chcesz, poszlij do mego kommisarza. Ja wiem, że tego nie ma ani w Hamburskiej gazecie, ani w żadnej zagranicznej, i to dosyć.—Uciekajmy, szepnąłem do mojej łopaty. Kuryer jest widzę gazeta najniższego rzędu. Czy oszalał redaktor pisać ją popolsku! Nie—i tuby na mój kalendarz nie prenumerowano.

Wyniosła mię więc moja nosicielka znowu nieznacznie i w mgnieniu oka ujrzałem się, sam nie wiem jak, wpośród kompanii graczów. Rozgniewało mię to cokolwiek, i takem się z cicha odezwał: Moja łopato, pocoś mię tu przyniosła? Gracze nigdy

nie czytają, bo nie mają czasu, a ja nie mam co przegrać. Zniknęło więc jak sen to zgromadzenie przedemną i postrzegłem wkrótce, iż już na owem jestem miejscu. Byłto pokój niewielki i mocno napalony. Przy ścianie widziałem stół zielonem suknem pokryty, a na nim leżało kilkadziesiąt plik papierów i stara jakaś księga in folio. Przed kanapą stał stolik, a na stoliku ogromna waza; z niej wznosiła się dusząca para, która wypełniała cały pokój zapachem rumu; około wazy było kilka szklanek, które siedzący na kanapie troskliwie nalewał. Postać zaś zgromadzenia była rozmaita. Jedni rozwaleni na kanapie lub na krzesłach i w głębokich pogrążeni myślach, ocierali w ciężkim znoju kurzące się czoła i łysini, lub z głębi serca wzdychali. Inni, z rozpaczy widać, siedzieli na stołkach całkiem na bakier i wpół obwiśli, a inni przechodzili się po pokoju, i kiedy niekiedy zatrzymywali przed stolikiem, dla pociągnienia napoju.—Ja stanąłem cicho w kąciku, słuchając i uważając pilnie, o co rzecz idzie. — „Ale *tandem* cóż będzie, moi Panowie? na czém staniemy?" odezwał się nalewający szklanki. Co będzie? zawołał jeden z siedzących na bakier, trzeba oświadczyć eksdywizyą, ja nie widzę innego ratunku; — a majątek okryjemy zapisami żony.— Jakto? odezwał się rozwalony na krześle, kiedy zapisy późniejsze! Wstydź się WPan takiego zarzutu, odpowiedział pierwszy, alboż ich nie potrafimy antydatować? — Spuśćcie się WPanowie na mnie; ja to potrafię z regentem. Albożto u nas takie się bagatele robią? Pokażcie mi drugi powiat taki; my umiemy i dekreta w protokułach przerabiać, i obligi w potrzebie improwizować. Oh! nasze w tém głowy!—

Naturalnie, będzie to kosztowało cokolwiek; ale któż żałuje wydatku tam, gdzie idzie o całą sytuacyą?

A przeklęta łopato, odezwałem się w gniewie ledwo nie głośno; czyto między takich zanosisz mię czytelników.—Poprawiła się więc natychmiast; wyniosła mię znowu na powietrze i wkrótce postawiła gdzieś pode drzwiami w sieni. Domyśliłem się przecie, że tu jest mieszkanie, do którego kominem ani okienkiem wkraść się nie można.—Otworzyłem więc drzwi do przedpokoju, i zastałem czterech służących grających w karty. Porwał się jeden natychmiast i pobiegł ku drzwiom; ale, nie widząc nikogo, zaczął się z zadziwieniem na wszystkie strony oglądać. Co za djabeł! zawołał wyłupiwszy oczy, słyszeliście, wszak ktoś wszedł? Albo co! odezwali się drudzy.—Albo co? a toż nikogo nie widać.—Przywidziało ci się, rzekł jeden siedzący nieporuszenie przy stole. Oj nie! odezwał się drugi, jest tu w tym domu jakieś licho! co noc jaki figiel! Wszak i mnie djabeł na koniach jeździ. A to nic, odpowiedział drugi spokojnie; powieś w stajni srokę!

Ja, nie słuchając tej rozmowy dalej, przystąpiłem ku drzwiom do pokoju i zacząłem je cicho otwierać, co mi się dość dobrze udało.—Nie zastałem nikogo w pokoju pierwszym, ale posłyszałem, aż w trzecim, który był, jakem pomiarkował potem, Jejmościną *gniewalnią* (boudoir) [1]), dosyć mocny hałas do łajania podobny. Poszedłem tam więc prosto, i zastałem chodzącego szybkim krokiem Je-

[1]) Nasi mądrzy ludzie, każde słowo francuskie tłumaczą i ubiegają się w tym zawodzie o niepospolitą chwałę. Otóż

gomości, a Jejmość zapłakaną i rozrzuconą na długiem krześle, jakby od niechcenia. — Na stolikach pełno było książek i książeczek czule rozsianych; a naprzeciw Jejmości otwarty kantorek z rozmaitemi papierami, kałamarzem, dzwonkiem, i innemi sprzętami tego rodzaju.

„Już ja widzę, rzekła Jejmość ze łkaniem, że WPan chcesz mojej śmierci — Zagryziesz mię tem ustawicznem gdyraniem".

Jegomość. Ależ moja Pani, kiedyżto są rzeczy do niezniesienia. WPani nie żyjesz po ludzku. Ubierasz się o czwartej po południu; jadasz o piątej albo o szóstej. Sprowadzasz mi na obiad pełno trzpiotów, albo nieznajomych, albo takich, z którymibym się rad nie znał. Grasz całą noc i przegrywasz; a całe rano zgryziona, zasępiona i dręczona od spazmów, zamykasz się z temi szpargałami, na które tyle wychodzi pieniędzy, a których ja nic nie rozumiem, a może i WPani niewiele.

Jejmość. To cóż? Czyż mi już nawet czytać nie będzie wolno? — Wszak lektura jest całą moją pociechą, całą rozrywką. Cóż ja mam za towarzystwo z WPana?

Jegomość. Mniejsza o to. Kupujże WPani przynajmniej takie książki, którebym i ja mógł czytać, to się zabawimy razem. — Ale to same jakieś licha francuskie; z jakiemiś obrazkami, które mi się często cale nie podobają. A potem jakieś żurnale, jakieś francuskie gazety. Na co to potrzebne?—To

---

i ja biedny kręciel na łopacie, mam zaszczyt ofiarować im słówko z mojego warsztatu. Jeżeliby miało szczęście przypaść do smaku, będę mógł naklepać więcéj podobnych.

dla francuzów pisano; a my czytajmy nasze krajowe pisma i gazety.

Jejmość. Dobrze.—Czy nie chcesz WPan żebym czytała Kuryera, Gazetę Warszawską, Dzienniki, Pamiętniki, albo Wiadomości Brukowe?—Ja tę literaturę WPanu zostawiam.

Jegomość. A jabym ją rad z WPanią dzielił. Oto jeżeli zechcesz, moja duszo, czytywać ze mną, gotów jestem prenumerować wszystkie a wszystkie krajowe pisma.—Naówczas pojedziemy na wieś, bo w mieście teraz życie drogie. Będziemy gospodarzyć, a wieczorami, jeżeli gości nie będzie, będę ci czytał co zechcesz, nawet nowe dzieła i romanse, które w kraju wychodzą.

Jejmość. Wyśmienity sposób zanudzenia mię na śmierć. Już proszę WPana, rób sobie co chcesz, ale zostaw mi przynajmniéj moje książki. Ja WPana polskich szpargałów nie rozumiem.

Na to taka mię wzięła złość, że chciałem łopatę o mur potrzaskać. A! niegodziwa psotnico! pomyślałem gniotąc ją w garści, to mię ty do elegantek chcesz nosić!— Co za przeklęte licho! — Że to jak tylko się kończy na *a*, to koniecznie uparta i musi postawić na swojem. Poczekajno!—Nieś mię do innego domu, wreszcie do innej kobiety, ale gdzie nasze pisma czytają. Lecz przejrzę wprzód pootwierane książki i papiery. Tu muszą być rzeczy ciekawe.

Rzuciłem się więc chciwie do stolika, porwałem za pierwszą otwartą i czytaną naówczas książkę i postrzegłem *Sydonie.* — Fuj do licha! to jakiś romans!—Więc cap za drugą we dwuch tomach ładnie oprawnych i znalazłem *Wertherie*, *roman sentimen-*

tal. To jeszcze lepiej!—Dalej: *Les mystères d'Udolphe* sześć tomów. *La forêt ou l'Abbaye de St. Claire.*— A kiedyż się to skończy!— Rzuciłem więc stolik, a poszedłem do kantorka. I tu jakaś książka otwarta. Patrzę: *Lalla Roukh!* — A toż znowu co za cudo!—Musi i to być romans.

Spojrzawszy na papiery, widziałem kilka paczek biletów powiązanych wstążeczkami rozmaitego koloru. Już chciałem pochwycić za jeden, alem sobie przypomniał, że to niepięknie i niegodziwie przeglądać cudze papiery. Więc dałem znać łopacie, żeby mię ztąd wyniosła, co się i stało natychmiast.

O szczęśliwe francuzy! myślałem sobie, poglądając z obłoków na pokryte nocnym płaszczem marności i sprosności światowe. Wam co tylko się z pióra wyślizgnie, wszystko dobre, wszystko ładne; wszystko u nas pokupne, chwytane, wielbione!— O szczęśliwe brednie i fraszki!—Nasz literat, chudy czy tłusty, żartobliwy czy mędrzec głęboki, choćby się dzień i noc pocił przy stoliku zgarbiony i na łokciach oparty; choćby zjadł całą ludzką mądrość i wylał na papier; choćby ją nieporównanym okrasił stylem: nikt go nie przeczyta, nikt nie kupi. Owszem nikt nie wydrukuje, jeżeli przy najlepszym zapasie w głowie, pusto u Jegomości w kieszeni. Napiszesz co u nas, to wydrukuj własnym kosztem, opraw i przyjaciołom rozdaj; lub panom, poczekawszy wprzód z godzinkę w sieni, z przyzwoitą ofiaruj uniżonością. —I cóż z tego? — Oto wezmą, obejrzą oprawę, i tytuł zobaczą, a potem położywszy na stoliku, lub pokojowcowi oddawszy, odezwać się łaskawie raczą: „Dobrze, że też przecie i u nas coś piszą. Tylko, że to! — tyle jest rzeczy, których

w naszym języku wyrazić niepodobna. A potem", (d. c. p.).'

XLVI.

Dalszy ciąg raportu szlachcica na łopacie. [1])

Byłbym może daleko zabrnął w myśli i krytyczne uwagi, gdybym nie był posłyszał mocnego pod sobą wrzasku, podobnego do głosu kobiety. Łopata albowiem krążyła ponad dachem i już się spuszczać miała przez komin, z którego głos ów wychodził; ale ja postrzegłszy ogień na dole, gwałtem ją skierowałem na bok. Ciekawość mię wprawdzie zdjęła, poznać przyczynę takowego krzyku; ale nie mogąc przez komin, myślałem którędyby się dostać do owego domu. Wtem otworzyło się nagle z trzaskiem okno, przez które wcisnąłem się natychmiast, ale tak: żem o włos nie zawadził o samę aktorkę, która drżące i oniemiałe sługi donośnym napominała głosem, że dym zastała w pokoju. Otóżto tak!— mówiła rozdąsana Jejmość — wychylić się z domu na moment nie można!... Przepalony piec!... pełno drew na kominie!... a teraz drwa drogie! Ah! ja nieszczęśliwa!... a toż co?... Któżto zbił mój imbryczek?—Kto?... zaraz powiedz, zawołała, rzucając się w oczy małej dziewczynie, która stała najbliżej. To... Jegomość... odpowiedziała napadniona, ze strachem. Co?... Jegomość! krzyknęła przeraźliwym głosem słodka niewiasta i jak błyskawica wpadła do drugiego pokoju. Wcisnąłem się więc i ja za nią.

---

[1]) „Wiadomości Brukowe" Nr. 284 z d. 13 maja 1822 r. str 73—76. (P W.).

W obszernej dosyć izbie palił się na kominku ogień, a przy kominku stał okrągły stół, książkami i rozmaitemi drukami okryty. Przy stole siedział siwy z poczciwą twarzą staruszek, mający pół arkusza w ręku i zielone okulary na nosie. Huk i trzask, z jakim rozdąsana samica wpadła do pokoju, nie poruszyły go bynajmniej. Czytał spokojnie dalej, niezachwiany gęstemi pociskami jadu, jakie na niego miotała.

Czy tak!... to już i moje imbryczki i filiżanki niepewne... Wszystko mi niezabawem wytłuczesz!... Otóżto taką mam z ciebie w gospodarstwie pomoc!... Książki!... przeklęte książki! bodaj przepadł, kto je wymyślił... Żal się Boże czasu i pieniędzy!... Albożto mało za to wychodzi?... A cóż, nic nie mówisz? — To ja do muru gadam?... Bo teżto już nadto mojej ciekawości!... Dalibóg wszystkie popalę?...

To wyrzekłszy uchwyciła za kilka numerów jakiegoś peryodycznego pisemka i rzuciła całą siłą w komin. Porwał się zaczytany staruszek z krzesła i ledwo okopcony, owszem już podwędzony, druk uratował. Gdyby nie gębczasty i cokolwiek do bibuły podobny papier, zginąłby był nieochybnie. Niechże się więc czytelnicy przestaną skarżyć na podobny w peryodycznych pismach papier. Widzę oczywiście z doświadczenia, że to jest jedyny sposób ochronienia ich od pożaru, a zatem dochowania dla potomności; widzę, że się nie omylili przodkowie nasi twierdząc, iż niema złego coby na dobre nie wyszło.

Ochroniwszy więc kawałek literatury naszej od ognia, stanął spokojny ów czytelnik w samym

otworze komina, tak że inne dzieła własnem ciałem od pożaru ochronił, wystawując grzbiet na literackie pociski. Jakoż kilku autorów zgrabnie i szczęśliwie użytych boleśnie dotknęło, to grzbietu to innych ku nim obróconych części. Ale jejmość, widząc, jak ten szturm mało skuteczny, przyskoczyła nagle do męża i wyrwała mu druk, który trzymał w ręku. Ledwo rzuciła nań okiem, gdy z niepojętym zawołała gniewem: Co... Wiadomości brukowe... Ła...ku! to ty paszkwile czytasz?... tak, paszkwile na kobiety i na poczciwych ludzi! — Otóżto mądry człowiek!... Chciałabym ja którego z tych oszczerców dopaść! — Oj!... Ale moja pani, odezwał się staruszek, to niewinna krytyka.

Niewinna!—wołała dalej, tak... niewinna. Oto patrzaj, jak ja takie krytyki szanuję!... To mówiąc poszarpała nieszczęśliwe pisemko na kawałki, a rzuciwszy pod nogi, deptać je i lżyć poczęła; a ja wpadłszy nakoniec w niecierpliwość, porzuciłem tę złośnicę w jej gniewie.

Co się teżto zdawało starym Grekom, pomyślałem sobie odetchnąwszy za oknem, kiedy za coś osobliwego opisywali swoję Sokratesową, z domu Xantyppę [1]). Czy oni doprawdy jedną tylko mieli Xantypkę? czy też lubili bazgrać o najmniejszych drobiazgach? — Jabym im takich modelków krocie pokazał, a przecie u nas nikt o tem nie pisze. Prawda i to, że starzy Grecy byli wielcy bazgracze, a my mamy, chwała Bogu, niepospolitą powściągliwość autorską. Ale, choć się też u nas cza-

---

[1]) *„Madame Socrate née Xantyppe“*, musiała ta dama pisywać na wizytowych biletach.

sem coś napomknie; to nieznacznie, grzecznie, delikatnie, bez osobistej urazy. Ale oni!... gdzież tu prawidła dobrej krytyki?—po imieniu wyszydzili tak zacną damę!... Fuj! to się nie godzi!... Próżno, rzekłem potem sam do siebie, zaglądać w miejskie kominy. Nie tyle wprawdzie, ileby należało, wszelako w mieście jakkolwiek czytają i piszą; alebym rad widział, co się też dzieje po miasteczkach powiatowych i dworach. Wyniosła się więc domyślna łopata ponad obłoki, a niezbyt długo mię niosąc, spuszczać się nakoniec zaczęła. Czytelnik daruje, że żeglując po powietrzu w nocy i bez magnesowej igły, nie jestem pewien kierunku i mylę się może sądząc, żem się posuwał ku wschodowi. Stanąłem nakoniec w sądowem miasteczku i wysiadłem w domu drewnianym, w mieszkaniu p. regenta. Niezmordowany urzędnik był wzorem rzadkiej pracowitości. Piastując albowiem adwokacką dostojność, był razem i regentem sądowym, a stawając przez nauczonego zastępcę, sam w swoich sprawach wzorowe pisał dekreta. Zajęty był naówczas układaniem pozwu o kopy, których przegrywająca a krnąbrna strona nie płaciła, dla tego, iż W. regent, podług niezmiennego swego zwyczaju, naliczył pięć razy tyle, ile prawo wskazuje; ale prawnie, bo za zgodą całego kompletu. Równie były kosztowne i sądowe wyroki, chociaż wielu prostaków, nie znających się na ich wartości, uporczywie i złośliwie twierdziło, iż dawniej przestawano na szóstej części tego, od czego W. regent nie mógł odstąpić. Z czego to tylko mojem zdaniem wypada, iż teraźniejszy urzędnik od wszystkich poprzedników swoich sześć razy jest lepszy.

Wpośród tej pracy i podczas mojego przeglądania papierów, wszedł W. pisarz i wprowadził lityganta [1]) za rękę. Słuchaj, panie regencie, rzekł z miluchnym uśmiechem, oto byłem teraz u prezydenta i sędziego, bo jutro przypada Jegomościna sprawa. Jego przeciwnik ma pieniądze, więc zmiłuj się, niech zapłaci choć półtrzecia raza tyle ile wypada, a nasz poczciwy przyjaciel odstąpi nam połowy. — To powiedziawszy serdecznie lityganta uściskał. Prócz tego, pamiętaj regencie, dobrze przeciwnika kopami obłożyć i za dekrecik sobie każ suto zaliczyć. Na kimże się nam obłowić, jeżeli nie na takich Ichmościach. Sędziego zawszem był pewien, a prezydenta już em przekonał; więc jutro decyzya krótka. Obetniem go i cóż nam zrobi?... A co tam w dzisiejszym Kuryerze? — Niewiele, odpowiedział regent; są dwa pozwy i trzy eksdywizye, bo ja reszty nie czytam. — A toż jaki druk przy Kuryerze?—Wiadomości Brukowe, rzekł regent.—Jakto zawołał W. pisarz, alboż je WPan czytasz? któżto takie niegodziwości czyta? wstydź się WPan!... Potwarze na urzędników i ludzi dostojnych. Prawda! odpowiedział regent; coto za bezczelność, przetrząsać sprawy magistratur sądowych, lub ogłaszać co się dzieje w namowie; kiedy to są rzeczy, o których nikt wiedzieć nie powinien. Ale ja też ani ich, ani nawet Kuryera nie czytam. Naco się to przyda?—A zkądże masz ten szpargał? odezwał się pisarz.—Odebrałem z poczty, rzekł regent, i zaraz odsyłam JWmu N.—Jakto!... i on, tak obywatel dostojny, doprawdy czyta? — A cóż WPan poradzisz!

[1]) Litygant—procesujący się. (P. W.).

Nie on jeden; wszak powiat nasz trzyma całe trzy egsemplarze Wiadomości Brukowych; więc, rachując najwięcej po dwóch czytelników na jeden egsemplarz, będzie może osób sześć, które u nas czytają.—Fuj! do licha! zawołał W. pisarz, wstydzę się za mój powiat. Ale mniejsza o to; tam gdzie jest do dwóch lub trzech tysięcy szlachty, sześciu głupców nic nie stanowi. Dobra noc, regencie!

Na tem się skończyło wieczorne posiedzenie u W. regenta. Ja zaś zbudowany i przykładną sprawiedliwością i miłością literatury w owym obszernym powiecie, ruszyłem ramionami i posunąłem się dalej. Jeżeli dobrze pamiętam, przeniosła mię łopata na powrót przez Wilno i nosiła po najbliższym powiecie. Obniosła mię więc i po subselliach, i po dworach i po plebaniach, a nawet zaściankach. Krótko mówiąc; zlustrowałem cały powiat od końca do końca, zajrzałem we wszystkie kąty i zbudowałem się niezmiernie. W całym albowiem zamożnym powiecie, nie postrzegłem nigdzie ani Dziennika, ani Tygodnika, ani Wiadomości Brukowych, ani książki, ani książeczki, ani żadnej rzeczy tego rodzaju; ale samych różnego, a różnego gatunku sędziów, podkomorzych, pisarzów i regentów. Wszędzie po domach pliki szpargałów i porozkładane mapy ze znakami i przypiskami. Rzeczywisty dowód otwartej i czynnej powiatowej kampanii. Najzamaszystsi w tej walce rycerze siedzieli nad mapami, lub zbutwiałemi szpargałami zamyśleni głęboko. Układali plan dekretu, który mieli przyzwoicie nabyć i wytykali granice między rozlicznemi dwówłocznemi lub ośmiodymowemi potencyami. To oczywiście wojenny kraj, a nie literacki, pomyśla-

łem sobie ruszając dalej. Tu się nie darmo rozlewa atrament. Każda linia, każde zdanie, każdy zapisany szpargałek przynosi intratę. Ależ jaką intratę?—pewną, czystą i znakomitą. Tym sposobem przychodzi się do znaczenia, urzędów, przyjaciół i majątku. Sic itur ad astra. — Nie skończyłbym, gdyby mi przyszło wyliczać com widział i co mi się przytrafiło w różnych powiatach i w różnych domach, tak prywatnych jako i publicznych. Widziałem rzeczy zadziwiające, rzeczy do zbudowania, a czasem niepodobne do wiary; słowem, widziałem wszystko, oprócz tego czegom szukał w teraźniejszej wyprawie, to jest, czytelników i pism publicznych. Wszakże się na to nikt z ziomków moich nie rozgniewa: bo każdy wie, że nie masz prawidła bez wyjątku. I w rzeczy samej, chociaż znalazłem powiaty, w których wielu jest, co nie wiedzą, że jest na świecie Dziennik albo Tygodnik, że są Dzieje Dobroczynności albo Wiadomości Brukowe; chociaż są oświecone krainy, które nie pojmują na co się przyda czytać i pisać i rzadko dzieciom nawet swoim takiemi drobiazgami zaprzątają głowę; wszelako znalazłem w pewnym obszernym i bogatym obwodzie aż trzy egsemplarze Dziennika, a ośm Wiadomości Brukowych; co mię naprzód niewypowiedzianie ucieszyło i zbudowało, a z czego po zastanowieniu się niejakiem wniósłem: iż handel i podróże do miast nadmorskich znacznie się do zamiłowania nauk przykładają; tudzież, że łatwiej tam o światło gdzie jest trocha pieniędzy. Jakoż zwiedzając dalej krainy położone nad morzem, przekonałem się najoczywiściej o tej prawdzie ostatniej. Nie najwięcej wprawdzie, ale przecie znalazłem co-

kolwiek druków i tak trzymam dla sławy kraju, że je tam czytają.

Pamiętam, jak spuściwszy się do pewnego dworu zastałem trzech obywateli dostojnych i jednego duchownego, siedzących nad Wiadomościami Brukowemi i ponczykiem, a mocno zajętych decyfrowaniem (jak mówili) numerów 265-go i 266-go. Spór szedł o znalezienie: kto był ów sędzia grodzki, pierwiastkowo przeznaczony dla W. kommisarzowej na forysia. Pan podkomorzy utrzymywał, że to był jego sąsiad, z którym miał zaciętą sprawę graniczną; a na dowód uśmiechając się półgębkiem namieniał, że on najlepiej zna tajemnicę jego urodzenia, i że „wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi“.—Pan starosta upewniał słowem honoru, że to cale o kim innym mowa; że pan sędzia jest człowiek dobrze urodzony, jak całemu powiatowi wiadomo, i że się sam gotów na jego wywodzie za świadka podpisać. Że pan sędzia nigdy nie był chłopcem u sprawnika, ani się za piecem wychował, są żyjący dotąd świadkowie, którzy z nim razem w Datnowie do pierwszej klasy chodzili. Prawda, mówił dalej, że potem ze szkoły uciekł, ale nigdy u sprawnika nie służył. A potem, to bardzo dobry sędzia; ja miałem, dzięki Bogu, trzy sprawy w grodzie i wszystkie z jego łaski wygrałem. Wreszcie, naco daleko szukać? powieść oczywiście obwiniona w bawełnę, a opisany ad vivum nasz sędzia ziemski N. który mię na ostatnich sejmikach przekreskował. Któżby go w tem opisaniu nie poznał?

Wstydź się starosto! zawołał pan rotmistrz, to zupełnie kto inny. Ja całą rzecz decyfruję z zegarka.—Nie o waszymto powiecie mowa. Bo to so-

bie ci panicze tere fere niby o sędzim grodzkim, a w rzeczy samej o naszym grodzkim prezydencie. Mądry to panicz, i na sejmikach mi nie chciał pomagać, i córki za mnie nie wydał; a przecieżem ja wart czegoś lepszego.

Ha! ha! ha! odezwał się X. pleban, dobrze mówisz panie rotmistrzu, to wielkie oszusty, te Szubrawcy. Oni zawsze niby o kim innym piszą, a do kogo innego mierzą. Sędzia grodzki! ha! ha! ha! — Właśnie tu idzie o sędziego. Ja was moi Dobrodzieje upewniam, że to ani sędzia, ani prezydent. Ho! ho! mam ja dobry węch na takie rzeczy. To mowa o naszym dziekanie, co zawsze u sprawnika przesiaduje. Uważacie!... ale cyt!.. dobrze mu tak!— Jak sobie pościelesz tak się wyśpisz. Nie opisuj, nie będziesz opisanym. A zaco mię Jegomość za każdą wizytą do biskupa opisuje? Ot masz za swoje.

Starosta. Ot to przywidzenie!—Co sędzia, to nie dziekan.

X. Pleban. A ja WPanu mówię, że to dziekan. Ho!... wiem ja co mówię.

Starosta. A jażto w czoło bity?

Widząc ja, że się na długą zanosi dysputę i że już czas myśleć o noclegu, opuściłem tę literacką kompanią. — Miły Boże, pomyślałem sobie, jakto człowiek w każdej rzeczy siebie tylko i swój interes widzi. Każdy z tych Ichmościów widzi w opisanym sędzim osobę, do której ma urazę, kiedy autor zapewne o żadnym z nich nie myślał. Coto za śmieszne wyobrażenie o pismach krytycznych, że te, opisując wady i ułomności człowieka, zawsze mają kogoś na widoku, i nie ogólne obrazy, ale malują portrety. Cóż winny Wiadomości Brukowe, że jakiś

złośliwy człowiek, w szpetnym obrazie występku, widzi portret nienawistnej sobie osoby? Nie pismo wykracza, ale ten co źle tłumaczy i złośliwie do kogoś stosuje. A jeżeli czasem w odmalowanym obrazie ktoś sam siebie widzi, to także jego wina. Jeżeli jest bez winy, więc źle do siebie stosuje; jeżeli występny, niech się w piersi uderzy i poprawi. Wady ludzkie należą do ludzi w powszechności, a poprawa tylko do ludzi wyższych i prawdziwie uwielbienia godnych.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

Str.

XXXI. Ś. Jerzy 5
XXXII. Druga lekcya w Trokach 15
XXXIII. Znowu wyprawa—i krótkie zastanowienie się nad napisami 25
XXXIV. Rozmaitość, czyli: Ni to, ni owo . . 35
XXXV. Rozmyślanie w dzień zaduszny . . . 44
XXXVI. Trzecia lekcya w Trokach 55
XXXVII. Posiedzenie przy kominku 65
XXXVIII. Noc i wyprawa nocna 82
XXXIX. Dokończenie wyprawy nocnej . . . 91
XL. Pochwała światłych ludzi i miast . . . 101
XLI. Wyprawa na wieś 111
XLII. Moja historya, czyli żywot Hilaryusza próżniaka filozofa 121
XLIII. Dokończenie mojej historyi 131
XLIV. Obwieszczenie 142
XLV. Lament i raport szlachcica na łopacie . 150
XLVI. Dalszy ciąg raportu szlachcica na łopacie 161